

RODZIEWICZÓWNA MARIA

LATO LEŚNYCH LUDZI

For

BIBLIOTEKA

Wocz. Męskiego

WIEDZKIEGO

WIEDZKIEGO

Wiedza



Rodz.
LATO

500



Genealogia.

O starodawnym, bo jak bór odwiecznym rodzie
mowa tu będzie.

Ma on przodków we wszystkich wiekach i trady-
cyę we wszystkich szczepach ludzkości; boć nie ród to
ciała, lecz duszy — nie ród lasu mieszkańców, lecz
lasu miłośników, przyrody czcicieli.

Z rodu tego był poeta, co w Helladzie wyśpiewał
myt Pana i Faunów, i ten co stworzył Baldura w Skan-
dynawii, i ten ich krewniak duszny, co w obchód reli-
gijny Arjom dał Kupalną noc czarowną. I patrona
swego ów ród ma, gdy ludzkość weszła w Pana Jezu-
sowe szeregi.

Ich duszę miał, z ich rodu był słońca miłośnik
i śpiewak, ptasząt i ryb kaznodzieja, wszelkiego stwo-
rzenia przyjaciel Seraficki Święty Franciszek.

Mędrców i uczonych mają w swym rodzie i po-
zornie teraz wchłonięci w miliony ludzkości, zachowali
przecie odrębność i właściwość swych leśnych dusz.

Ogarnęły ich ziemskie przewroty, życie gorącz-
kowe, skomplikowane warunki, materyalna walka
o byt. Odsunęła ich od przyrody cywilizacya, postęp
tak zwany, niszczenie natury przez rozrost przemysłu,

straszny ciężar nowoczesnego bytu, nowoczesnych praw i obowiązków.

Pozornie niema dla leśnych ludzi ni miejsca ni życia. Przystosowali się do warunków i już teraz ni czem się jakoby od reszty ludzi nie różnią. Spełniają swe obowiązki powszednie, pracują wśród innych z innemi, obcują z cywilizacją, biorą udział w postępie, korzystają z wynalazków, umieją się obchodzić z pieniędźmi, mieszkają w miastach, ubierają się przeciętnie, bywają w teatrach. Czyżby ród i tradycja leśnych dusz zginęła? Przenigdy! Nieśmiertelny jest duch i ród ducha nieśmiertelny—tylko kto rodu tego ciekaw—z rodu tego być musi—i wtedy krewniaka odnajdzie.

Nie trzeba koniecznie szukać go wśród cichej wsi i głębokich borów, wśród ludzi stojących u warsztatu przyrody, w jej królestwie—można tam szukać długo i napróżno—a znaleźć w wielkiem fabrycznem mieście. Można znaleźć w uczniowskim pokoiku, gdy chłopak po odrobieniu algiebry, zamiast iść szukać rozrywki w dusznej sali knajpy, z gilem chowanym się bawi i dogląda, w suterenie szewca, co ledwie wie nazwę ptaka, co mu ćwierka przy robocie. I w tłumie ulicznym znaleźć można po szczególnem zachowaniu w nadzwyczajnych wypadkach miejskiego życia.

Gdy wychodzą wieczorem dzienniki z ostatniemi depeszami wojny, skandalicznego procesu, sensacyjnego mordu, a ktoś nie bierze do rąk gazety, ale przypatrjuje się z uśmiechem sadowieniu się wróbli na nocleg—z rodu leśnego jest.

I z tegoż rodu jest taki, co wśród uroczystego

pochodu ulicznego, gdy wszystkich pochłania muzyka, stroje, ekwipaże, paradne szeregi wojska lub korporacyi dojrzy zziębniętego psiaka przed zamkniętymi drzwiami sklepu i otworzy mu z dobrem słowem życzości.

Wśród ogłoszeń dziennikarskich członek tego rodu wyszuka adres sprzedawcy słowika w klatce, zna handlarzy ptaków, więźniów tych wykupuje z niewoli i z wiosną puszcza na wyraj—równie jak one radośny.

Leśni ludzie zwykle trzymają się samotnie, duże swe kryją, o swoim wnętrzu z nikim nie mówią, wiedząc, że to innych nie zajmuje.

W potwornym młynie ziemskim, gdzie bożyszczem jest interes, walka o zbytek i użycie wykwit cywilizacyi—obcując z innemi mają w oczach często zgrozę lub krytyczne zdumienie, ale milczą—i spełniając swe społeczne obowiązki—baczą tylko, by się nie dać zgnieść, zmiażdżyć. O dusze swe nie trwożni są—tych zaraza świata nie skazi.

I tak trwają, rzadcy wśród świata i obcy mu zupełnie. Czasami znajdują druha. Otwierają się na ścieżaj wrota duszne, krzepią się wzajem, marzenia, potrzeby, tęsknice zmieniają się w słowo. Wyrażają ufnie głos swobody, ciszy, obcowania z naturą, przetwarzają swe żądze—aż utworzą czyn, aż wypracują sobie rzeczywiste, żywe, wedle swej duszy bytowanie.

I takie jedno lato leśnych ludzi tu będzie zawarte. Dla tych co je przeżyli—kronika szczęścia; dla tych co po świecie rozproszeni o niem samotnie marzą—bratni upominek i może do czynu pomoc.

Było ich tedy trzech.

Najstarszy, za wodza i kierownika obrany, był przemyślny, uparcie w postanowieniu zawzięty, w wykonaniu zamiaru prędki, naukowo z przyrodą zżyty i obeznany.

Ziemi szmat posiadał, a wśród tej ziemi bagna i lasy, leniwemi rzeczulkami jak siatką porżnięte—od ludzkich dróg dalekie, dla ludzkich chciwości nie łakome.

Tam w głębi tych tajni, ukryta jak gniazdo, powstała pewnej wiosny chata samotna. Jakiś czas białał gontowy dach i trzaski i czerniały koleiny wozów, co z dała przywiozły materyał—po roku zasnęła zieleń traw—i mchy—wszelki ślad osady.

Dzikie wino i róże pokryły ściany, chata się stopiła, wrosła w okalający szczelnie las.

Nazwali ją leśni ludzie swoim wyrajem.

Wódz przez życie potracił swych blizkich i żadnej rodziny nie posiadał. Dom jego natomiast był pełen Bożych domowników, nad którymi rząd i opiekę trzymał towarzysz jego i druh, którego sobie wychował i w swym duchu urobił.

W gwarze leśnej swojej—wódz miał przydomek Rosomaka, ten drugi został nazwany Panterą.

Najmłodszy ze trzech—cały złożony ze stalowych muskułów, chybki, zwinny—miał też swej imienniczki drapieżność i dzikość. Znał naturę ze współżycia z nią, rozumiał bór i wodę i pole—i duszę miał nawskroś leśną.

A potem do tych dwóch stowarzyszył się trzeci, którego Żurawiem nazwano.

Ten uchował w życiu najczystsza duszę. Był uosobieniem dobroci, łagodności i wewnętrznej słonecznej pogody. Cieszył się leśnem życiem jak się młodość tylko radować może. Marzyciel był, zawsze trochę roztargniony, rad się śmiejący—pracowity za wszystkich a zdrowia i wytrzymałości żelaznej.

I byli ci trzej, siebie wzajem dopełniający, stałymi letniami osadnikami głuszy, twórcami tego pierwotnego bytowania, stanowili jedno z puszcza, żyli w niej jak wszelkie stworzenie co do niej ściągало z wiosną na wyraj—odlatywało jesienią.

Zimą, zamknięta na głucho—z latem razem zasypiała chata. Osypywały dach żółte liście, potem śnieg—niknęły ścieżki letnie, a za to zwierz swoje po śniegu rysował.

Sikory nocowały pod dachem, wiewiórki po skrzynkach gniazdowych, zające żywiły się na żarnowcu, w szczeliny podwalin na sen zimowy wciskały się węże; na zmarzłe jagody wina i głogi przylatywały gile, a niekiedy podsuwały się do ogrodzenia sarny i skubały uschłe łodygi letnich kwiatów, które Żuraw wypielegnował.

A daleko, wśród ludzkiego mrowia leśni ludzie o tej chacie swojej marzyli tęskniący i myślą byli z sikorami, gilami i z całą tą rzeszą swych letnich współtowarzyszy.

I czekali — wiosny.

Przedwiośnie.

Rosomak i Żuraw zimowali w mieście; na straży leśnego raju został Pantera. Wieści zamieniano rzadko — i ptaki zimą nie śpiewają, a tylko czasem witają się i żegnają krótkiem, a wymownem hasłem zimowym „cierp, cierp, cierp“.

Więc gdy w końcu lutego ujrzał Rosomak kopertę z patykowatym pismem druha, rzekł tylko:

— Będzie wczesna wiosna; musiały już przybyć skowronki, kiedy się Pantera odzywa.

Otworzyli chciwie list — i czytali razem, dla pośpiechu i oczy im błyszczały uciechą:

— Wodzowi i druhowi pozdrowienie leśne. Donoszę wam, że wczoraj obudził się ze snu nasz domownik, Tupcio. Zasnął tak gruby, że ledwie się w bucie zmieścił, a wczoraj wyszedł tak szczupły, że cholewa mu była jak korytarz. Wgramolił mi się zaraz na kolana i pokłół na przywitanie, fukając: jeść! Pożarł masę sera i mleka, od razu rozpęczniał, a dziś, gdy to piszę, gania po całym domu, czyniąc nocną policyę na myszy. Ma się tedy ku wiośnie.

Ale Kuba twierdzi znowu inaczej.

Kuba w październiku zrobił na piecu gniazdo. Zaciągnął tam parę ścierek, moje ciepłe rękawice, czepek Drozdowy, dużo waty z gościnnej kołdry, na wierzch przywłókł parę gałęzi z oleandrów, a gdy szopa była pod sufit, wsunął się do środka, wejście zasunął i chrapnął. Onegdaj też wyjrzał. Temu sen służy. Szubę ma popielatą, lśniącą, kitę jak strusi pióropusz, na uszach pendzle zawadyackie. Wylazł, przeciągnął się, chlapnął wody, zagryzł orzechem—i wyskoczył do ogrodu. Mało wiele bawił, wrócił zły, szubę zmoczył, nogi obłocił—pączki wypłuł.

Powiada, że gorzkie, bez żadnego wigoru, i że najlepiej jeszcze spać—a dobre przyjść musi. Powiedział mi to z pieca, otwór chałupy zasunął—i tylem go oglądał.

A Bogatka, co u nas też zimuje i ćwiczy môle po całych dniach, zaczęła się jednak na wolę napierać. Ano dobrze—otworzyłem okno—poszła jak na wesele z wyrwasem. Obiera robactwo z klonu pod oknem, i ćwierka do mnie: już czas, już czas.

I komu z nich wierzyć, boć i skowronki są—a jakże! Poszedłem z nimi się przywitać—aż daleko w pole.

Po zapadach śnieg leży, lód trzyma, a po haliżnach goło i czernieją stare kretowiska. Wicher jak mięta—niby zimny, a smali i skowrończy gwar już posiadł nasz łąn aż do jesieni.

A o innych wędrownikach takie wieści. Zapadły na nocleg w zeszły piątek pierwsze gęgawy, i gomon wielki podniosły, poszedłem też posłuchać, jakież z za

morza wieści prawią. Czysta, echowa była noc, ale jeszcze mroźna, brzegi zalewów lodem się ścięły—i tak trwał aż do południa. Co noc na sad nasz czarny opadają rzesze podróżnych ptasząt. Spadną, mało co mówią, o świcie ruszają dalej — to nie te co z nami lato apędzą. Ruszyły dopiero te pulki, co dalej na północ mają przeznaczenie.

Kuropatw trzy pary mam na górcie, znalazłem w sidłach chłopaczych po śniegu—i te mnie co rano pytają—ile jeszcze niewoli?

Rajcuja o tem wróble, zmówiny już między nimi jak w zapust. Te już się klną, że wiosna tuż.

Pszczoły—jak Kuba! Zastukałem do jednych: pytam: matko, czy wiosna? Zaburczały sennie: cyt, cyt—matka śpi.

I komu wierzyć—i jak tu wytrzymać!

Nie wiosna to—i nie zima jędza. Nie pochód to hetmański raj—ale już przednie wici rozesłane: „spobić się czas“.

Więc się kto gorętszy sposobi. Leszczyna kutasiki karminowe jeszcze od chłodu otula, ale kotki już puściła na wicher—we wodach lodowatych—na dnie widać pęczniejące kaczeńce, pod liśćmi w gaju można wyszukać zawilce. Wszystko gotowe—czeka i ucho do ziemi przyłożywszy—słysząc, że coś grać zaczyna, aż człowiek dorozumieć się nie może—ziemia li gra, czy jego własna krew—jedno! Żyć, żyć, żyć!

Jak wszystko w jeden głos to krzyknie, zawołam do was: bywajcie!

Tymczasem sposobie chodaki, konopacę czółno,
kosze i więcierze narządzam—i czekam, drżąc z ochoty.

Tyle było listu. Rosomak go raz jeszcze przejrzał.

— Dżdżownice nie ruszyły, rzekł.

Jędza jeszcze wróci.

Westchnęli oba. Tęsknica skrzyła ich serca i Żuraw dodał:

— Zaleciało barwą, wonią, smakiem, muzyką aż
boli—tak tęskno. Wymknijmy się choć za rogatki,
posłuchajmy, popatrzmy, wichru się napijmy!

— Choć z wizytą do swoich! potwierdził Roso-
mak. Bo czekać nam jeszcze długo. Do przesilenia
i dalej—całe dziewięć niedziel!

Przesilenie.

W marcu jędrza zima bezczelna, wściekła wstała jeszcze raz do boju.

Całe hufce zegnała, szare pulki chmur, watahy wichrów północnych i cisnęła tę armię na pęczniejące drzewa, na wyzierające źdźbła, na rzesze ptasze, co jej urągały weselną pieśnią.

Na poczynające życie z chmur tych, przy ryhotaniu wichru, poczęły się walić śniegowe zwały, jak gzło śmiertelne.

Słońce, jak widmo, stało za tą czeredą chmur, cierpliwe w poczuciu swej siły i pewne tryumfu. Jak mocarz wszechpotężny—dawało wrogowi folgę pozorną—wszystkie siły w bój wprowadzić, napaścią się wyczerpywać, by potem swą światowładczą potęgą błysnąć i zwyciężyć.

— Biedna nasza Bogatka! rzekł Żuraw, patrząc na tumany śniegu.

— Bogatka pewnie przy pierwszej zadymce zastukała do okna i wróciła na zimowe leże do Pantery, odparł Rosomak.

Gorzej tym w lesie—jeśli struga wezbrała i poży-

wienia im dostarczyć nie można. Byle, na dobitkę niedoli—jędza mrozu nie wywlekła sobie w sukurs.

Drzewa wiosennej krwi są pełne — gałęzie nabrzmiące, bolące, gdy tknąć. Trzeba ratować.

Puścili się we dwóch za rogatki, trafili na zagajnik, śniegiem zawalony, jeśli otrząsać biały całun.

Rozpoznali drzewiny i mówili do nich jak do serdecznych przyjaciół.

— „Korale wyhoduj, jarzębiu smukły! śmigaj brzózko srebrna. Ostrożnie się odginaj kloniku, boś kruchy. Za ciężka nawet tobie szuba, świerczku, zuchu zimowy“. Odginały się z ulgą gałęzie, a oni się śmieli, zgrzani, rozradowani, upojeni mroźnem, marcowem powietrzem.

Zmierzch dopiero spędził ich od roboty, a w nocy stało się co przewidział Rosomak. Mróz-kat pięść z kleszczami ścisnął. Jęknęły lasy z bólu rwanych tkanek, na całun śmiertelny padały ich członki, jędza cieszyła się zgubą młodego życia.

— I po co to, szepnął Żuraw.

— Prawo! odparł Rosomak. Nad nasze zrozumienie Prawo! Ale to nie zguba! Bywa twarde i potężne, gdy niszczy i także potężne, gdy tworzy. Ale to nie zguba! Zguba to mała, nikła istota, bez gromu, wichru, nijakiej widocznej mocy, bez kłów i pazurów, jak robak goła. Kędy ta zguba przejdzie, tam nie ostanie ni puszcza leśna, ni zwierz potężny, ni ptak najśmiglejszy, ni żadnego stworzenia schron. Zostaje tylko on!

Trzy dni mróz katował ziemię, trzy noce wichry się szamotały, za bary się wodząc i zmagając, w tumanach śnieżnego kurzu, z wyciem, poświstem, warczeniem, jękiem—aż pewnego ranka na nowiu miesiąca z południa jak fala runęła powietrzna: hetmański hufiec wiosenny.

Jak chmara nikczemna, pierzchły przed nią tumany śnieżne i na błękit promienny wstąpiło, na swój majestat: zwycięskie słońce. Fala powietrzna niosła ze sobą jego moc krzepką, żywą, moc zdrowia i zaroiło się na ziemi, zatętniało, zawoniało, zagrało — jeden hymn odrodzenia.

Do leśnych ludzi przyszła wieść od Pantery krótką—jak okrzyk zdyszanego gońca: „Las ożył — woła, gra! Bywajcie!“ Zerwali się, zbierali gorączkowo, ogarnięci jakimś szaleńcem, potrzebą, musem, żądzą swych dusz, jak ptaki wędrowne.

Wołało coś w nich, wszystko inne głusząc:

— Na byt swój, na byt swój!

Na wyraj, na wyraj, na wyraj!

Na wyraj.

Przed domem Rosomaka rankiem panował ruch i rozmowy.

Ranek był kwietniowy, pogodny, słoneczny, wylatywał od deszczu, co przeszedł z wieczora. Przeszedł—człowiek tworząc. Rozkleił lepkie obsłony liści, zmył z traw resztkę pleśni, roztworzył oczy białych zawileców i fijołkowców, wywabił z wody złoto kaczeńców, obmył i w kwiat wywarował kocanki łóz i wierzb.

W ciszy nocnej szmerem kropel budził, na gody namawiał, a gdy słońce wstało—ziemia ku niemu wystąpiła już strojna, wonna, barwna i rozśpiewana.

Pod gankiem stał długi, drabiasty wóz, i ładowano go przemyślnie wszytkiem, co w bytowaniu letniem było lub mogło być potrzebnem.

Żuraw pakował żywność, odzież, zielniki swe, niezbędna apteczkę, Pantera prowiant zwierząt-towarzystwa, sieci, więcierze, kosze, chodaki, narzędzia rzemieślnicze, Rosomak jakieś swoje specjalne skrzynki, tyczki, puzderka, książki—cały balast do badań przyrodniczych, a każdy tak był zaafierowany, że imo

Wóz stawał się kołystą.

Lato leśnych ludzi.

— Teraz już tylko towarzyszy! rzekł Rosomak, zlustrowawszy wóz. Jeżeliście zapomnieli—cierpie!

— Pewnie, że ja coś zapomniałem! troskał się Żuraw stękając.

Teraz przez wrota od folwarku wkroczyła karmielka leśnych ludzi, latująca z nimi co roku w puszczy gniado-srokata Hatora. Chuda jeszcze była po ciężkiej zimie, z sierścią nastroszoną i bez blasku.

Znało bydłatko, co znaczy to ładowanie.

Podeszła do Pantery, obwąchała ludzkie ręce dostała chleba z solą, obejrzała wóz, skubnęła siana spenetrowała czy czuć na dnie kartofle i osypkę, wytarła szyję o luśnię i stanęła żując powoli, łagodne mi oczami śledziła ruchy ludzkie.

— Hator, chcesz bamboly? zagadnął Pantera wynosząc z domu blaszaną krowią klekotkę na rzemieniu.

Hatora przecząco poruszyła uszami i odwróciła niechętnie swą rogatą głowę.

Nie! — Hatora nie lubiła „bamboly“.

Przed paru laty, gdy ją ustrojono w to straszny dło, bezustannie gadające—oszalała z trwogi i wstrętu umęczyła się okropnie, starając się pozbyć, zedrzeć ze siebie po gąszczach obmierzłego stracha.

Nawet w rozdrażnieniu i dzikim buncie popełniła czyn zbrodniczy, rzuciła się z rogami na Panterę rycząc ponuro: mord, mord. Ale to było dawno, w samych początkach jej leśnej służby. Potem Hatora zrozumiała, że nałożenie „bamboly“ oznaczało rozkosz z żywot w puszczy, w obfitości pastwisk, wody w nieograniczonej swobodzie.

Nie było pastucha i jego bata, nie było psów, ani łańcucho w dusznej oborze, ani zdradliwych rogów zawistnych towarzyszek. Bo Hatora przez te lata straciła instynkt stadny, i skierowana przed dom—najkrótszym nawet pomrukiem nie pożegnała zimowej kompanii. Bez zapalu, ale i bez protestu pozwoliła sobie nałożyć naszyjnik.

— Pantero, zaprzęgaj Łataną Skórę. Idę po domową czeladź. Zabierz klatkę z ptakami! komenderował Rosomak, wchodząc do domu. Żuraw lokował właśnie na wóz kosz, okryty krasno przetkaną serwetą. Pantera i Hator zawęszyli z lubością. Pachniał świeży razowiec.

— Wódz tak goni, że i śniadanie się wściekło, rzekł Pantera. Nie wytrzymam, tak pachnie! sięgnął po nóż za pas, odchylił płótno, bochen jeden krzyżem przeżegnał i spory głon odkroił. Przełamał i z lubością obadwa jedli. Wilgotny pysk Hatory wsunął się także do spółki.

— Aha, wódz kazał zaprzęgać! przypomniał sobie Pantera ruszając do stajni.

Po chwili wyszła na słoneczne podwórze klacz srokata, stępując z rozwagą i ostrożnością, Pociągnęła Panterę do studni, napiła się do syta, a potem niekierowana poszła ku wozowi.

Spróbowała smaku siana, poszukała na dnie worka z obrokiem, parsknęła, ziewnęła, przeciągnęła się i z rezygnacją podała głowę do chomonta.

— Nie zezuj na ładunek, rzekł Pantera. Wiemy żeś żrebna; w błocie i piachu pójdziemy piechotą.

Zachodź w holoble! Przyciągnął rzemienie, zaprzął i stał w gotowości do jazdy, pojadając chleb na spółkę z bydłatkami.

— Powiedz, Żurawiu, wodzowi, że gotowe; szmat drogi, ledwie zdążymy na odwieczerzę.

Rosomak tymczasem miał kram z domownikami. Tupcio i Kuba, jeź i wiewiór, byli szczytem sprzeczności obyczajów i upodobań.

Mało się znali — ale dość, by się nienawidzieć, chociażby dlatego, że jeden drugiemu nie dawał spać.

W nocy Tupcio bezustannem dreptaniem płoszył Kubę, że wyprowadzony z cierpliwości wysadzał pyszczek z gniazda na piecu i wymyślał.

— Czołgaczu plugawy, zjadaczu stonogów, pantoflarzu obmierzły, bodajesz się żabą udławił. Oka zmrzyć nie daje ten robaczarz!

W dzień Kuba szperając po kątach zaglądał i za poręcz kanapy, zatykał tam orzechy, które spadały na śpiącego Tupcia, że się budził i fukał rozsierdzony.

— Hecarz, sowizdrzał, błazen, ryże straszydło. ptasie pośmiewisko! Bodaj ci żywica ogon do nosa przylepiła, bodaj ci się gęba na zębach nie zamykała!

Całą zimę warchoł trwał, a jeśli mieli kiedy coś wspólnego, to tylko nienawiść dla taksicy Dziamdzi. Ta wprawdzie mieszkała w stajni, ale wpadała kiedy niekiedy wszędzie węsząca, wszystko pędzająca, wrzaskliwa i dokuczliwa nad wszelki wyraz.

Było to zatrucie zimowli. Kuba, chociaż bez pieczny na szczycie pieca, dostawał palpitacyi serca

i oburącz cisnął wzburzoną pierś; Tupcio pod kanapą dostawał wątrobianego ataku i astmy.

A tego dnia właśnie, korzystając z zamętu wyprawy, Działdzia wśliznęła się do domu, wznieciła straszny popłoch.

Zapędziła Kubę na szafę i do utraty tchu naszczeakała mu pogrózek i impertynencyi; potem zwęszyła Tupcia w starym bucie Pantery i, nie mogąc się doń dostać, włóczyła go wraz z butem po całym pokoju. Na tem ją zeszedł Rasomak, złapał za kark i sromotnie za drzwi wyrzucił, ale domownicy byli w zupełnej rebelii.

Tupcio był tak rozsierzdzony, że razem z butem podskakiwał i fukał:

— To to tak! Nie chcę was, nie chcę do lasu! Nie tykajcie, precz, precz, zdrajcy, fałszywe opiekuny i przyjaciele! Ta wasza służka chciała mnie zjeść, może zjadła! Nie czuję, czy jeszcze żyję z alteracyi.

— Fiut, niema głupich! skrzeczał Kuba, z ręką na sercu, z wyżyn szafy. Ani zejść stąd, ani z wami jadę. Nikt w moim rodzie nie słyszał tyle obelg, co ja od tej pokracznej karlicy. Albo ona, albo ja, wybieraj! Nie zejść—choć ciekawym, co masz w garści. Choćby i słonecznikowe ziarno. Mam swą ambicję. Daleś mnie na pastwę tej poczwarze. Gdzieś był, jak mi tu uragała. Nie, nie zejść.

— Nie, to nie!—rzekł Rosomak, garść orzechów chowając w zanadrze, i wziął but z Tupciem.

— Tupciu, bestyi nie będzie w lesie. Bonować będziesz spokojnie. A pamiętasz, ile tam tłustych glist

i robaków, jakie miękkie wykroty do spania! A w chacie ile i kiedy zechcesz mleka i sera i rybie wątróbki. Wyleżże z tej cholewy! Czy ci nie wstyd, by cię jak dzikusa wozić razem z butem!

— A właśnie, chcę spać w bucie! fuknął już spokojniej Tupcio i znieruchomiał.

— No, Kuba—zostajesz? Bo mi się spieszy. Żegnaj cię—okno otwarte.

— Co masz w kieszeni, pokaż! Kuba spadł mu na głowę i dał nurka w zanadrze. Rozległo się zajadle piłowanie skorupy orzecha i mruczenie zadowolenia. Pokój był zawarty.

— Gotowo! wetknął głowę przezedrzwi Żuraw. Zabierz jeszcze skrzypce i ruszajmy.

— Na wyraj—jazda, zakomenderował Rosomak, lokując but z Tupciem i siadając sam, byle jak, z nogami poza drabiną.

Uczepił się wśród tobołków Żuraw, przysiadł na drażku Pantera woźnica, parsknęła ochoczo klacz, zabamboliła Hatora i tabor ruszył.

Wyjechali za wrota, na drogę polną, wyboistą i błotnistą, spojrzeli w dal, na siniejącą linię borów, objął ich dech szerokiej przestrzeni, rozprężył płuca, barwą się wybił na lica, zapalił ogniem radości stęsknione żrenice.

— Hejnał wodzu! upomniał się Pantera.

A Rosomak — ziemi, błękitu, borów i pól rzucił wezwanie:

Czas ci już wstać, czas ci już iść
Hetmanko polnych rot!
Oto ci na hełm borowy liść
Oto ci w rękę rozmaju kiść,
Oto twój złoty grot.

Powiedziesz ty, powiedziesz nas
Na ten słoneczny szlak,
Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas,
Gdzie szumu czeka uśpiony las,
Gdzie czeka lotu ptak!

Powiedziesz ty, powiedziesz świat
W zwycięski pochód twój,
Gdzie z prochów świeży wynika kwiat,
Gdzie brzask wybucha z za nocy krat,
Gdzie stoczysz życia bój!



Osiedle.

Mijali łąny orne i siewne, ludzkie osady, rozstaje, łąki od kaczeńców złote i kierowali się wciąż ku borom.

Szlak się czynił coraz niewyraźniejszy, a bory z wąskiej smugi stawały się ciemną ścianą. Aż, jak przednie straże zabiegły drogę stare sosny na wzgórku, a za nimi szeroką ławą, bez kresu stanął zwarty wał chojarów, podszytych jałowcem i wrzosem. Powitał ich poszum cichy i uroczysty jakby modlitewny, a niosący kadzidlane wonie żywicy—i wjechali w Boży chram boru. Wszyscy odkryli głowy, spojrzeli w górę, poruszyły się wargi odzewem dusznym owego powitania. Nikt się nie odezwał, słuchali cali w sobie skupieni.

Prowadziła klacz. Bez namysłu wybierała jakieś szczeliny wśród drzew, ledwie widoczny ślad, nie wahała się na zawrotach, na wąskich przesmykach wśród mokradeł, odnajdywała jakieś kładki na zdradnych oparach, kołowała, kluczyła, tak pewna swej pamięci, że, tak sobie stępa idąc, obrywała to kiść szuwaru, to gałązkę brzożową, to łozowe kocanki i gryzła dla zabawy.

Grunt się obniżał. Jechali przez grobelki klecone przed wiekami z berwion dębowych, kędy może kie-

dyś szły szwedzkie lub kozackie wojska, obrzeżali szmaty torfowisk, wycierali ślad wśród łoż sążnistych, ginęli w haszczach trzciny i sitowia; słońce mieli w oczach i plecy, na lewo i prawo, a wreszcie szlak był już tylko ich własny—tyle znaczny, co ścieżka przez łoża wydeptana.

Aż, z gęstwiny błysnęła woda, ruczaj w długi bród rozlany, ginący dalej w łożach; graniczny ruczaj ich letniego królestwa.

— Ot i nasz Tęczowy Most! rzekł Żuraw. Wszyscy trzej wydali długi, specjalnie swój okrzyk, zwykły akord, którym się, rozproszeni na wyprawach, zwoływali.

Klacz weszła ochoczo w bród, schyliła głowę i, muskając wodę wargami, szukała najżywszego prądu, tam stanęła i zaczęła pić. Hatora poszła za jej przykładem i ludzie zaczęli też wody w dłoń.

— Pijmy jak z Lethe. Zapomnienie tamtego świata! rzekł Rosomak.

— Smaczna, jak brzozy sok. Niczem wino, dodał Pantera,

— Roi się od zarybku. Widzicie na piasku ćma! zauważył Żuraw. O i kaczor zielonogłowy tam pod łoża!

Zwierzęta napojone podniosły ściekające wodą nozdrza, rozejrzały się. Zarżała klacz, targnęła postronek Hatora, czuły już swe letnie pastwiska. Nawet Kuba, na ramieniu Rosomaka rozsiadły, mierzył okiem odległość do pierwszej brzozy za wozem i ledwie z brodu się wydostali—dał susa i już był na szczycie.

Ludzie zeskoczyli. Puszczono na wolę Hatorę. Rosomak wziął klatkę z przezimowanemi kuropatwami i koszyk z zajacem, który też pod opieką Pantery chował się w domu. Wypuszczony szarak, niebardzo się kwapił, stanął słupka, zawęszył, słuchy nastawił, obejrzał się na człowieka i powoli pokicał ścieżką wśród wrzosowisk. Kuropatwy, jak szare kulki, pociekły rzędem za nim.

— A nie złorzeczenie ludziom, choć wy niebogie zwierzęta męczenniki! My waszej niedoli niewinni! szepnął Rosomak.

Gdy do wozu wrócił—był sam. Towarzysze, porwani szalem swobody, pognali na piechotę, Kuba im towarzyszył wierzchołkami drzew, klacz ruszyła też już zupełnie bez drogi, w wiadomym sobie kierunku.

Dopędził ją Rosomak i siedł obok pieszo, kierując, by wóz o drzewa nie zaczepił, ale i on był innem zajęty.

Czytał historję zimy swego raję.

Tu już znał każde drzewo, każdy kęś ziemi i wszystko witał jak najmiłsze towarzystwo. Las, który dlań nie miał tajemnic, opowiadał, pokazywał, chwalił się, skarżył.

Oto sosna ze starem gniazdem rabusia krogulca, a oto druga, co się wygięła i okaleczała, zdeptana kiedyś za młodu, a oto brzoza z ogromną czeczotą i olbrzymią jarzębina, którą nazwali Krasawicą, tyle miewała koralu jesienią i piorunem napół rozdarty grab, co się po ciosie odmładzał, czerniejąc smugą rozdartego poły pnia, i oto brzoza zwalona ciężarem zimo okiści, i pękata wierzba z dziuplem, w którym już go-

spodarzyły dzikie pszczoły. I oto olbrzymie mrowisko, już rojne, państwo wielkich czarnych borowych pracowników, usłane białymi grudkami żywicy i ze śladami zimowego grzebania cietrzewi, a oto wykrot olchowy, pełen dziur, szczelin, przepaści korzeni wydartych do połowy z ziemi mocą huraganu, kryjówka węzów i żmij.

Bór gwarzył cichutko, to znów słyhać było jak dyszał potęgą odrodzenia wiosny, a człowiek zapałtrzony, zasłuchany, zatracił się w tej wielkiej potężnej całości i czuł, że te siły ogarniały go, że sam się staje potęgą, że w nim gra, śpiewa, tworzy, rośnie moc przyrody.

Za brodem grunt się podnosił. Osiedle leśnych ludzi było jakby wyspą wśród nizin, błot, bagien, porzniętych siatką rzeczulek, porośłych nieprzebytymi haszczami.

Na wyspie tej, żyznej bajecznie, bujała puszcza w całej sile wzrostu, śmigały ku słońcu brzozy jak taneczniczki smukłe, zielone swe gazy kołysząc, mały się graby urodziwe jak parobczaki, parły się jedne przed drugimi do nieba olchy, jesiony, dęby, lipy, jarzębiny, klony, a dołem, jak snopy, leszczyny, kaliny, czeremchy, kruszyna, aż, zupełnie przy ziemi, słały się zwały malin i jeżyn. Na polankach wśród boru białło było od zawileców i puszczała się trawa, jak tło kobierców, które lato tkać miało. Przeciągły okrzyk towarzyszków zbudził z zachwyty Rosomaka; spojrzął na słońce, trącił z lekka żerującą klacz.

— Do chaty, Łatana Skóro! Nam się też obiad należy. O jest i posłaniec!

— Chr, chr! ozwało się wśród gałęzi i Kuba mu spadł na ramię, otarł o policzek i już był w kieszeni—po orzechy.

W lewo, w prawo, pod warkoczami brzóz, przez wieńce i bramy z kwitnącej czeremchy, aż zaczerniał wielki krzyż dębowy z figurą pod daszkiem—i roztoczyła się szeroka polana, ścianą boru odcięta, a w jej głębi chata leśnych ludzi.

Ściany złociły się patyną żywicznych bali i jak koronka snuły się po nich pnące róże i wino. Nizka, dostatnia, z podsieniem wygodnem, ale jeszcze po zimowemu zawarta, ubezpieczona okiennicami.

Przed nią był ogródek—otoczony płotem, „wirydarzyk Żurawia“, który tam hodował różne leśne kwiaty, starannie uzbierane i przesadzone, i lipa cieniła ją nieco od skwaru południa.

Pantera i Żuraw czekali u furtki i wnet zaczęli raport.

— Kos ma gniazdo w winie, przy ścianie. Modraczka mieszka w skrzynce na lipie. Konwalie się wytykają. Żmiję znaleźlim na podsieniu. Jeść się chce!

Małomówny Rosomak wyłożył klacz, zawiesił uprząż na kołku pod dachem, i wtedy dopiero wydobyl klucz i otworzył chatę. Wionęło na nich chłodem zimowego wnętrza. Minęli sieni—za nimi do izby weszło słońce i ozłociło glorią Koronę Częstochowskiej Pani królującej na ścianie wprost drzwi.

Odkryli głowy i Rosomak powitał Majestat narodu pierwszym słowem i pokłonem.

— *Salve Regina, Mater misericordia, vita dulcedo et spes nostra*—*Salve*.

Trój-głos zgodny, uroczysty, radośny nappełnił izbę.

Potem Rosomak zapalił lampkę przed obrazem. Żuraw położył na stole bochen chleba. Pantera zdjął sztaby okiennic. Wiosna całą barwą i ciepłem wionęła do izby.

— Oho, kwaterunek zimowy nie chybił, zaśmieli się.

W jednym kącie na ławie myszy leśne zbudowały gniazdo wielkości snopa, w drugim kącie roztaczało się pod ławą mrowisko. Zaczęto wypraszać intruzów, a Żuraw zabrał się do gotowania posiłku. Dym wybiegł na dach—chałupa odżyła.

W otwartem oknie siedział Kuba, przypatrując się robocie. Kite miał na głowie zadartą jak pióropusz i udając głodnego gryzł szyszkę, wypływając ogryzki na czołgających się pod ławami ludzi.

Ale, że oni, bardzo zajęci, nie zwracali uwagi, zajął się Żurawiem.

Ten, nastawiwszy garnki na kuchni wziął się do rozpakowania wozu, i znosił worki i supelki, garnki i pudełka do spiżarni w sieni. Podobalo się to Kubie. Wszystko obwąchał, spróbował, przeprowadził, wreszcie wynalazł pudełko ze słonecznikowem ziarnem i bez ceremonii zaczął je przegryzać.

— Nie psuj! usunął go Żuraw, tedy się Kuba rozjuszył.

— Moje, moje, moje! zaskrzeczał.

— Twoja, ale nie na teraz. W skórze się nie mieścisz, obżarciuchu!

— Moje! Dawaj! wrzeszczał Kuba.

— Nie dam, łakomecze! zniecierpliwił się Żuraw.

Nastąpiło kotłowanie, rejwach i nagle ze spiżarni wyleciał Kuba rozfukany, z nastroszonym pióropuszem, wdrapał się na szczyt lipy i stamtąd skrzeczał i kruczał.

— Co się stało? Co Kubie za krzywda, zawołał Rosomak troskliwie.

— Krzywda — właśnie! odparł Żuraw. Zepsuł trzy worki, pogryzł pudełko, ukąsił mnie w ucho, a teraz krzeczy ratunku! Kończcie, bo krupnik gotowy.

— Oj, i moje kiszki gotowe! wyprostował się Pantera. Przepłoszyliśmy mrowie, umietli, reszta na potem! Jeść.

— Najprzód domownicy! przypomniał Rosomak.

— Prawda! zakrzętał się Pantera.

Rzucił się do spiżarni, do sieni—i wyniósł przed furtkę dwa pełne wiadra—jedno kartofli, drugie owsa. Wtedy zdjął ze ściany w izbie trąbkę i zagrał pobudkę.

Dźwięk uderzył w ciszę, poleciał w las, rozdygotał powietrze; a był to sygnał dobrze znać znany, bo odpowiedziało mu rzenie i daleki odgłos kołatek Hatory. Oparci o płot leśni ludzie czekali. Pierwsza zdążyła klacz i parszając z uciechy wnurzyła łeb do obro-

ku, negmatycznie nadciągnęła. Pantera przy-
kucnął do jej boku ze skopkiem.

— Pięknie proszę o „mlinili“, Hator ... a-
luj, bośmy zdrożeni i świeżo osiedli! przemawiał do
niej przychlebnie.

— Obiad na stole! zawołał Żuraw z izby.

Na białym, klonowym stole pod obrazami leżał
bochen chleba—parowała misa pięknie malowana, le-
żały drewniane łyżki.

Gospodarny Żuraw już nawet więzią kaczeńców
ozdobił nakrycie. Zajęli swe miejsca na ławach i jak
ludzie rzetelnie głodni czerpali z misy w milczeniu.
Asystował Kuba próbując z każdej kromki chleba, aż
z niesmakiem otarł pyszczek o rękaw Rosomaka, sko-
czył na ramę okna i zabrał się do południowej drzem-
ki. Stanowczo, ludzie jadali niesmaczne rzeczy, po-
myslał z grymasem, przymykając oczy.

Gdy łyżki zagrzechotały po dnie misy, Rosomak
rzekł.

— Ja zaraz czołnem ruszę, rybne tonie obejrzę
i kosze zastawię. Pantera obejrzy i do porządku do-
prowadzi stajenkę dla domowników. Żuraw chałupę
do reszty wyczyści i obejrzy warzywnik. Jutro wszy-
scy razem grzędy skopiemy i obsadзим.

— Przedewszystkiem jabym rad zmienić skórę,
rzekł Pantera, patrząc po swem ubraniu.

— Ano—idźcie do komory i przebierajcie się, ja
ino ja ... wypalę! Chodaki też trzeba namoczyć.

komora była za sienią—szeroka, widna. Tam też

nocował Rosomak z Żurawiem. Pantera miał swe posianie w alkierzu za izbą.

Gdy leśni ludzie wrócili do izby—byli zmienieni zupełnie. Mieli na sobie tylko szare płótno, na nogach lekkie lipowe chodaki, pas rzemienny, z nożem w pochwie obcisnął luźną kurtę, na głowie filcowy kapelusz.

— Dopiero las nas za swoich uznał zaśmiał się z uciechą Pantera, biorąc siekierę i zabierając się do swej roboty około stajenki. Żuraw zaczął zmywać statki—więc się i Rosomak ruszył.

Przebrał się i on, rozprostował z rozkoszą członki, wyładował z wozu swoją osobistą skrzynkę, pełną książek zoologicznych, przyrządów do kolekcji przyrodniczych i tysiące drobiazgów, których do studyów używał i strzegł jak oka w głowie.

Potem umieścił wysoko w podsieniu u pułapu stary rękaw od kozucha, nocne mieszkanie Kuby i but z Tupciem podłożył u węgła, a wreszcie obładował się koszami na rybę, wziął wiosło, siekierę i poszedł do czołna. Miało swą przystań za krynica, pod starą olchą nad strugą. Rosomak wylał ze dna deszczową wodę—władował kosze, odczepił łozową wić — i odbił od brzegu.

Droga była bez kresu, bo błotne obszary zalane były wodą i płynąć można było kędy wola wśród łód ledwie zieleniejących i młodych pędów szuwarów. Na wodzie słał się „czarnyglów” ulubiona wiosenna pasza Hatory i kłaczy, to też je spotkał żerujące po brzuch w wodzie.

Podniosły łby i rozmówili się „po leśnemu“.

— Dobrze, zdrowe! parsknęła Łatana Skóra.

— Trochę za wodniste! zamruczała Hatora.

Pogłaskał je z czołna i przestrzegł.

— A pamiętajcie nie iść do topieli za krynicę, skąd was wywlekliśmy na sznurek zeszłego lata. I nam i wam mało brakło do śmierci wtedy. Pamiętajcie, łakomec!

Chmury błotnego ptactwa rajcowało nad tą płytką wodą. Hryce, czajki, kuliki, bekasy wrzask czyniły weselny; miodem pachniały złote kiście łożowe, balsamem pękające brzozy i olszyny — wiosło zgarniało złote kaczeńce i kępy wodnej mięty — a cuda czyniące śmiało się do swego dzieła — słońce.

Rosomak dopłynął do chruścianego płotu rybackiego i świadomy gruntu, czołno o kołek wicią zaczepił i wszedł w wodę.

Zrewidował, brodząc, całość płotu, szczeliny łoża obetkał i w gardziel, kędy nurt biegł, kosz zastawił.

Nie spieszył, robił powoli, obserwując, zachowując rybackie praktyki, wnioskując o połowie wedle spostrzeżeń różnych, robotą swą tak zajęty jak skrzydlate rybołowy krążące nad nim bez trwogi.

Bo leśni ludzie znali zasady obcowania z naturą. Unikali gwałtownych ruchów, hałasu, płoszenia, gonięcia, trwogi.

W chałupie była strzelba od wypadku, ale wypadek zdarzał się niesłychanie rzadko, chyba sąd nad niepoprawnym zwierzęcym zbrodniarzem. Z kołatką Hatory, z trąbką obiadową zwierz i ptak oswajał się

rychło—i wiedział bór cały, że od tych trzech ludzi nie przyjdzie żadna napaść i krzywda.

Szara, mała łódka, szary w niej człowiek, garnący wodę powolnym ruchem wiosła był to obraz znany ptactwu, codzienny, pospolity—tak, że czajki nie urządzały swych forteli, by go od gniazda odprowadzić, a stadka cyranek żerowały nietrwożne przy szlaku łodzi.

— Założył Rosomak drugi kosz i trzeci, opłynął najlepsze tonie i zatoki, przepatrzył różne rybie kryjówki, odnowił zeszłoroczne znajomości ze współtowarzyszami leśnego bytu i zupełnie o czasie zapomniał.

Bobrował właśnie po zakątkach jeziora, w które się ruczaj rozlewał u wzgórzy piaszczystych na zachodzie, gdy nagle rozdarł powietrze drapieżnie okrzyk wielogłosy przeciągły.

Była w tem chrapliwość bojowych starodawnych surm i jakby wołanie i odzew strażniczej czujności.

— Hej — czuj — stróżuj! — Hej — czuj — stróżuj! Wieczorne tuż zorze — wieczorny — tuż — czas! Hej — czuj — stróżuj!

To z błot niedostępnych—dawały wieczorny sygnał—żurawie wartowniki.

Rosomak spojrział na słońce i posłuszny hejnałowi—zwrócił łódź ku chacie.

Czuby drzew były już czerwono złote, z ziemi wstawały srebrne mgły, ptactwo spieszyło kto z czem: z posiłkiem, z ostatniem zdźbłem na gniazdo—bo czas nadchodził wieczorny pacierzy i spoczynku.

— Spóźnię się! pomyślał Rosomak, bo pospieszyć nie mógł, by nie płoszyć i trwożyć reszty mieszkańców.

A hejnał leciał po trzykroć — coraz przeciąglej-szy — stanowczy.

— Wieczne tuż zorze! Wieczorny już czas. Hej czuj, czuj!

Zawrzało całe błoto rajkotem kum-żab, zielono-głowe kaczory poczęły pluskać na szersze wody i chrapliwie wabić — mgły zakolysały się do tańca, ruczaj się pomarszczył od żerujących ryb — górą na niebie białe obłoczki jak róże zakwitły, drozd śpiewak na szczycie olszyn począł wydzwaniać na pacierze. Wieczór był!

Gdy Rosomak przybił do chatniej polany i tam panował ruch kończącego się dnia.

Żuraw z Kubą na głowie wracał z wiadrami od krynicy, Pantera w obórcie rozprawiał z Hatorą, klacz przed furtką dopominała się wieczornego obroku.

— Witajcie, wodzu! Nie mogliśmy się doczekać.

— Albo co?

— Bo mamy mnóstwo nowin. Na strychu zimowała sowa, i dotąd mieszka — pełno mysich skórek. Kuśnierz niecnota.

— Pewnie tuż nie brak piór sikorzych. Trzeba ją będzie wyprosić.

— A w obórcie jest ten sam wodny wąż, wyrósł na z pół łokcia.

— W trzech skrzynkach przy chacie już osiedliły się bogatki, a w jednej krętogłów.

— Nasza dzika grusza — biała jak panna młoda.

— Orzechów będzie mnóstwo. Leszczyna czerwona od kutasików.

— We wrzosach, przy warzywniku cieciora siedzi na sześciu jajach.

— Tupcio już poszedł na swój chleb.

— Pszczoły żyją w barci—mocno chodzą.

Staął Żuraw z wiadrami, z obórki wyszedł Pantera ze skopkiem mleka, przyszła do kompanii klacz i gwarzono na środku polany. Łatana Skóra powtarzała wciąż jedno: Obroku, obroku, obroku.

— Zapchajże jej gardło, Pantero, zaśmiał się Rosomak.

— Ale! Tej sztuki nikt nie dokaże. To nie brzuch to otchłań! Chodźże, beczko bezdenna.

— Olaboga — woda mi kipi! dosłyszał Żuraw, i kopnął się do chaty.

Rosomak wziął w ręce zaspanego Kubę i wsunął w rękaw u pułapu, zaskrzypiały wierzeje stajenki za klaczą, chwilę słyhać było rąbanie szczap, brzęk statków w izbie—powoli cichły odgłosy pracy i starunku, na niebie gasły zorze zachodu.

Ale oni się nie kwapili do izby i jadła.

W koło po wszystkich drzewach i krzakach, łozach i szuwarach, po wodach, ziemi i niebie rozpoczął się ostatni akt dnia i wieczorne wszelkiego stworzenia pacierze.

U podsieni swego gniazda leśni ludzie usiedli na dębowej podwalinie—zapatrzyli się, zaśłuchali, umilkli.

I z cicha Rosomak zaczął:

— Pochwalony bądź Panie, coś te cuda uczynił. Pochwalony bądź i błogosławiony—głosami i sercami nas tu wszystkich—w boru żyjących. Dzięki Ci, Panie, za to niebo pogodne, za dzień słoneczny, za zieleń drzew, za ten wieczór, za życie! Święci się Imię Twoje w tej ptasiej pieśni i w naszej duszy ku Tobie otwartej, jako te ptaki i kwiaty, i Królestwem Twem niech będzie ten zakątek, a wolę Twą uszanujemy, jako ją szanuje wszelkie stworzenie—uznając Twą mądrość, moc i miłość. I ufni jesteśmy, że jako mrówce i kwiatom tak i nam pożywienie zgotuje słoneczny dzień jutrzejszy na Twe rozporządzenie. A winom naszym wybaczaj, Panie, bośmy przed Tobą głupi i mali, i przeto grzeszni.

A nie daj nam, Panie, złą myślą lub czynem zakłócić tego bezludzia, gdzie rządzi Twoje tylko przedwieczne prawo i ład, i zachowaj nas Ojcie—jako robaczka w dłoni—bezpiecznie.

— Amen, amen, amen—świergotały ptaszki, szemrały brzozy, ćwierkały owady—i stłumionym szep-tem potwierdzili leśni ludzie. Cichło wszystko, pociemniały tajemniczo gąszcza, gasły barwy.

Ale z nad drzew wystąpił sierp miesiąca i osrebrzył Oblicze Chrystusowe na krzyżu, który od dołu w mgły wtulony—zda się nad ziemią płynął, jak zjawisko.

Ochłodzone rosą powietrze wionęło wonią miodu i balsamu—na brzożkę u krynicy zleciał słowik-lutnista, zabie kapele uderzyły w basetle—bez szelestu krążył

nad polaną lelak polując na ćmy..... ukojona w ciszy wielkiego spoczynku zeszła na ziemię noc.

I tak się skończył pierwszy dzień bytu leśnych ludzi.

Dzień Chyżej Pantery.

Pantera sypiał w maluchnym alkierzyku za izbą, ale tej pierwszej nocy budził się co chwila, wyglądając ranka.

Zrazu z izby widział tylko rubinową lampkę przed obrazem, ale rychło otwór okienny począł się rozjaśniać nadchodzącym świtem, więc leżąc bezsennie słuchał, kto się pierwszy obudzi.

Słyszał bełkotanie cietrzewi—żałośnie: pau, pau—lelaków—dalekie pobekiwanie kozłów, chichot sowy—i rozełkane, namiętne trele słowicze—pieśń nocy.

Wreszcie odróżnił inną śpiewkę.

— Ledwuchna zaczyna! szepnął.

Jakby na dany sygnał—słowik scichł. Basetle żaby zatrzymały dłużej swój wtór—ale już z kryjówek ozwało się pojedyncze cirkanie: Czy już, czy już?

I nagle z błot uderzył ranny hejnał żurawich stróży.

— Hej—świt—luzuj—luzuj. Bywaj—na dzień—Pan idzie na świat—Hej—czuj—hej świt.

Trysnął odrazu cały tysiączny chór—Świt, świt. Pan jest. Życie, życie. Las witał dzień!

Pantera się zerwał i w bieliźnie, bosi wyskoczył oknem.

Polana była wybrukowana opalami rosy, powietrze wilgotne, wonne, ciepłe, ptaki chędożyły pióra, przeciągały skrzydła, leciały do wody.

Pantera też rozprężył ramiona, otarł twarz wilgotną gałęzią brzozy i pobiegł do ruczaju—do kąpieli.

Gdy wyszedł z wody—wytarzał się w trawie, pobiegał po łące—i czerwony jak rak wrócił do chaty.

Z gniazda swego u pulapu wysadził pyszczek Ku-ba, ale tylko ziewnął i schował się napowrót.

— Maczałbym szubę na takiej rosie. Dobrze to dla gołych, zamruczał lekceważąco.

Pantera się brał, wziął skopek do doju—i poświs-tując poszedł do swych obowiązków. Wypuścił klacz i zbudził Hatorę.

Stalowo-szary wąż wodny ogrzewał się u jej boku i ledwie nieco się usunął, gdy krowa wstała.

— Kis, kis—chcesz mleka? przemówił doń Pan-tera. Chciał zapewne—bo czekał, asystując.

Hatora, oddawszy swym opiekunom daninę, poszła za klaczą. Pantera ulął nieco mleka w skorupkę garnka.

— Masz Kis, Kis! I marsz po żaby, rzekł do węża.

Postawił mleko w sieni do dyspozycji Żurawia, zajrzał przez szczelinę do komory, ale było tam ciemno i cicho.

— Ot śpiochy! Z tego mieściska przywożą tylko złe obyczaje. Wstyd przed całym lasem. Ale dla mnie to w deseń.

Usiadł na przyźbie, ozuł chodaki, schował do kieszeni kawał chleba, zatknął za pas siekierę, z pod strzechy obórki dobył jakieś zawiniątko i ruszył do czółna.

Ale po drodze strzelił mu do głowy figiel. Złapał zabę—wrócił do izby i wpakował ją do pudełka od herbaty.

— Żuraw dopiero skoczy jak mu bestya pryśnie do oczu, pomyślał.

Teraz kolej na wodza. Pantera ruszył czółnem do koszów rybnych i każdy naładował jakimś cudacznym przedmiotem, przywiezionym w zawiniątku: do jednego włożył koński czerep, do drugiego stary kalosz, do trzeciego wypchaną, króliczą skórę—i chyłkiem czółno do przystani odprowadził.

W chacie już był ruch, rozmawiali, dym walił kominem—pachniała kawa.

Chwilę się Pantera zawahał. Wódz kazał kopać warzywnik—ale on tylko trochę w las poleci—kąty obejrzy—wyhula się, no i wróci z jakąś nowiną i zdobyczą. I pognał! Darł się przez najgęstsze łozy, przeslizgiwał się pod zwałami, taczał się po kobiercach z zawilców, przedrzeźniał ptaki, gwizdał, śpiewał—spłoszył z legowiska sarnią rodzinę—i chwilę gonił.

— Ot, na kark skoczyć, za rogi uchwycić i gnać, gnać! szepnął wreszcie zziajany bez tchu—patrzac jak sadziły przez moczary. Legł pod brzozą—począł głód, pragnienie i rozkoszną senność.

Chleb miał, wody nie brakło, ale jako smakosz,

brzozę zaciął, czarękę z kory zagiął i chleb sokiem popijał.

— Leniwie się sący. Poszedł w paki! Ziewnął wreszcie—wyciągnął się—i zadrzemał.

Zleciały się zaraz ciekawe sikory—obejrzały go—i wróciły do roboty—parę zięb, budujących gniazdo na tejże brzozie—udawały chwilę, że tylko w przelocie tam się znalazły—ale uspokojone—dalej kleciły kunsztowny domek—tuż niedaleko bekas zapadał pobekując. Słońce wytoczyło się wyżej—i zbudziło śpiocha. Spojrzał na niebo, na cień drzew—i zerwał się.

— Dziesiąta godzina. Oni pewnie przy robocie. Nie pokażę się bez jakiejś zdobyczy. Ale co? Zaczął szukać. Zaraz dojrzał podwaliny ziębniej chałupy—ale to nie było nic osobliwego—po chwili myszkowania znalazł na kępie dwa jaja bekasa—także pospolitość—wreszcie dopatrzył na dalekiej brzozie wśród błota—zółty bukiet jemioli.

— Aha, to dostanę. Wódz chciał w chałupie powiesić. Jazda!

Wody na bagnie było za mało na czółno, a o krok od lasu zaczynała się topiel.

Trawy i kępy tworzyły tylko cienką skorupę, która pod stopą się chybotwała i rozdzierała. Trzeba się było czołgać.

Pantera naciął łozy—związał w pęki, umocował pod pachami na piersi—w rękę wziął długi drąg—położył się—i rozpoczął awanturniczą przeprawę.

Czołgał się—nogami i łokciami popychał, zapa-

dał w szlam, kaleczył się o szuwary, darł bieliznę, wypłukał wodę i błoto—i po trudach nieludzkich dobrnął.

Był zlany potem, ociekający wodą, czarny od szlamu i już prawie bez odzieży—ale zwycięzca. Zaraz się wdrapał na brzozę — siadł konno na gałęzi—dał się słońcu osuszyć, a wiatrowi ochłodzić—i rozejrzał się.

— Głupiec ze mnie! Trochę wprawo jest garb—i grzebień z łoży. Wróćę jak szosa! Ale stąd widać i żurawie leże! Ot krążą! Trzeba się będzie do nich dostać tego lata. To będzie wyprawa!

Wyraubał jemiółę—i wziął się do odwrotu. Owa „szosa“ była na tyle wygodną, że na „garbie“ tylko dwa razy zapadł po szyję, a na „grzebieniu“ z łoży zostawił resztki garderoby i prawie tylko w czarny szlam odziany stanął na twardym gruncie.

Wtedy widząc, że blisko południa pognął do osady.

Po drodze usłyszał trąbkę—i spotkał Łataną Skórę, dążącą na obiad, więc na nią skoczył, i tak zajechał przed furtkę.

— Jezu Maryo! Leśny upiór—nie człowiek, krzyknął Żuraw.

— Jemiółę dla naszego Patrona na pierwszy bukię. Gwałtu jak mi się jeść chce. Ucho ci, Żurawiu, odgryzę jak misy niema na stole.

— Zaraz ci tu wyniosę wiaderko, brudasie, rzekł śmiejąc się Rosomak.

Pantera zeskoczył z klaczy, fiknął parę kozłów, i trochę na nogach, a przeważnie na rękach i głowie pognął do kąpieli.

— Ciśnijcie mi, wodzu—tu w krzaki świeży garnitur. Rozumie się, że do obiadu należy się przebierać. Biały krawat, smoking—gardenia w butonierce. A jakże! Hatorę pod rączkę do stołu poprowadzę! Kapal się, pluskał, szorował, przebierał, a wciąż myślał, czy Rosomak był u koszów. Zapytać było nijak—a po ich minach, gdy zasiedli do misy, nie mógł poznać.

Mówił każdy o swoich zdobyczach: Żuraw znalazł rzadki kwiat—obuwik, Rosomak wypatrzył gniazdo krogulca—skopali parę zagonów na kartofle, mieli jutro sadzić warzywa.

Po obiedzie spoczęli godzinę—i już we trzech poszli do roboty. Grzędy pod warzywo wykarczowali już od lat paru, więc ziemia była pulchna, piękny czarnoziem nad ruczajem, otoczony płotem przed łakomstwem Hatory.

Pantera kopał zajadle, założywszy sobie że nadrobi ranną „fugę”. Słońce grzało, pot im wystąpił na koszule—wreszcie miało się pod wieczór.

— Nie zrewidujecie koszów, wodzu? spytał narzeczcie Pantera.

— Właśnie chciałem ci rzec, byś mnie wyręczył, bom się bardzo zmachał kopaniem.

— A kiedy ja—to jest—mnie—ja nie wiem gdzieś—cie zastawili, wykręcał się.

— Gdzieżby? tam gdzie zwykle.

— Kiedybo—może do jutra poczekać.

— Nie—właśnie pora. Dogódź sobie! Lubisz bobrować!

Nie było sposobu odmówić. Skrzywiony Pantera poszedł do czołna. Niespodzianki swoje znalazł w koszach i z irytacją powyrzucał. Figiel był chybiony—tylko po dziś dzień Pantera się nie domysła—czy chytry Rosomak był rano u koszów czy nie. W każdym razie zgodnie ze swą nazwą nie dał się w pole wyprowadzić—i to zatrulo dzień Panterze.

Wrócił bez humoru do przystani, rzucił do wiadra pęk nawleczonych na łozinę szczupaków, zdobył rybą—i resztę dnia spędził piorąc mozolnie swe zaszlamione szmaty.

Dzień Czujnego Żurawia.

W komorze kędy sypiali we dwóch, okienica była zamknięta i koncert ptasi budził Żurawia. W pół drzemiąc rozkoszował się muzyką—ale się nie zrywał, bo czekał na rubinowy sygnał.

Wschód słońca uderzał w okiennice i prześwietlał żywiczne sęki jakby latarki czerwone. Wtedy Żuraw wstawał.

Szedł zaraz z wiadrami po wodę do krynicy—i czytał po polanie.

Ślady znać było na srebrze rosy. Okrągłe kopyta klaczy, podługne racice Hatory, lekkie stopy Pantery. Od obórki wił się jak tasiemka ślad węża.

Kis wypijał mleko i szedł na łowy. Ale miał zwyczaj skręcać do źródła, i Żuraw go tam często spotykał. Wysoko wzniesiony nad wodą przyglądał się jak w zwierciadle, kołysząc się zalotnie.

— Gdzie też próżność nie mieszka, filozofował Żuraw ubawiony. I ten się sobą zachwyca. Dobrze, że tu Ewy niema!

Wracał z wodą, rozpalał ogień, sprzątał izbę—i szedł do kąpieli. Gdy się wypucował i ubrał—zastawał zwykle w izbie całą kompanię—na śniadanie.

Wtedy rozważano robotę dzienną.

— Ja muszę ukosić szuwarów na ściółkę, rzekł Pantera. Lada dzień będziemy mieli urodziny. Gadałem z Łataną Skórą: córki się spodziewa.

— Będzie jej pewnie Sroka na imię.

— Ja muszę być aż za Proszalną Brzozą lizawki dla sarn zrobić, rzekł Rosomak.

— Możebyś poszukał raków w jezioru, Żurawiu.

— Chyba po południu. Jeszcze w ogródku nie doprowadziłem do porządku, i mam kram z mlekiem.

— To mi daj soli w torbę, i zostawaj zdrów.

Ozuli się, Pantera kosę wytoczył i poszli.

Żuraw statki pozmywał i zabrał się do swych ukochanych roślin. W małym ogródku przy chacie zabawiał się w aklimatyzację leśnych kwiatów. Przyносił z puszczy storczyki, dzwonki, amarantowe gladiolusy, rutewki, gruszycki, spiree, walerjanę—i miał to wszystko w amatorskim starunku.

Wyciągnął się u grząd i oglądał plantacje, gdy posłyszał szelest u płotka.

Usunął się szybko z obawy przed żmiją, ale ujrzał zdziwioną Tupcia.

— Dlaczego Tupcio nie śpi o tej porze?

Jeż podniósł ryjek jak mógł najwyżej, a człowiek leżał—byli tedy w pozycji do pogawędki.

— Może Tupcio głodny?

Nie, sądząc z tuszy, raczej był obżarty.

— Ale twarożku Tupcio zje? Prawda.

Wilgotny ryjek dotknął ręki. Miał jakiś interes, ale trzeba się było domyśleć.

Pogłaskał go Żuraw po łagodnie złożonych kolcach.

— Przyjdzie Tupcio do izby, są świeżutkie rybie wątróbki.

Wstał i obejrzał się. Tupcio sunął powoli i nakuliwał. Tedy go wziął na ręce i obejrzał.

Tylna nóżka Tupcia była spuchnięta, a gdy jej dotknął—jeż zaczął fukać i drgać. Usiadł Żuraw na przyźbie i kalectwo starannie zbadał. Okazało się, że cała stopka była oplątana włosieniem, który się wżarł w ciało i spowodował obrzmienie.

Odbyła się operacya, widocznie bardzo bolesna, bo Tupcio fukał i nóżkę targał, a nawet w najgorszej chwili ukąsił Żurawia, ale się nie jeżył i nie skręcał, a w końcu, gdy uczuł ulgę—rękę człowieka malutkim języczkiem liznął.

Dostał potem obiecanych rybich wątróbek i, jeśli możliwe, jeszcze napęczył—tak, że z trudem zasunął się w cholewę od buta i fuknąwszy pożegnanie zasnął do wieczora. Kuba przyglądał się operacyi z okna, gdzie się na słońcu wygrzewał.

— Także gust! myślał.—Taki cudny czas przesypiać w jaskini. Rozumiem, że to się robi zimą—ale teraz. Idyota!

Żuraw spojrzał na słońce i zabrał się do gotowania obiadu. Na skrzyp drzwi od spiżarni Kuba się też przystawił. Żuraw był rozczulony jego przywiązaniem, ale po prawdzie Kuba wskutek życia w dostatkach i bez troski pędzonego stał się skończonym typem sybaryty.

Wstawał późno; dla nabrania apetytu trochę fikał po lipie—przez parę pierwszych dni dawał się namówić Rosomakowi lub Panterze na spacer do lasu, ale przekonał się wkrótce, że orzechów nie było na leszczynie, ani ziarn w szyszkach—do ogryzania zaś pączków był za wielkim smakoszem—zostawiał to hołocie dzikiej.

Wiedział zaś, że pod opieką Żurawia w spiżarni była spora blaszanka z orzechami i druga z ziarnem słoneczników. Tedy nie odstępował Żurawia, a ten brał snobizm za przywiązanie i pał go—ile mógł szarpać.

Gdy Żuraw usiadł na przyźbie i obierał kartofle, Kuba ze swemi orzechami ulokował się obok.

Słońce podniosło się nad polaną, w rozgrzanem powietrzu bujały pierwsze motyle—ptactwo nieco ściłzło—jak zwykle ku południu i była taka cisza, że jednocześnie i Żuraw i Kuba podnieśli głowy na jakiś niezwykle szelest na dębie.

Na gałęzi, przy sęku, siedziała dzika wiewiórka i, gotowa do odwrotu, nieufna, zerkiała na pięknego, spasionego kawalera. Kuba nastroszył wąsy, skoczył na płot, wywinał parę koziołków.

—Chr-chr-chr! zagadali do siebie.

Dzika cofnęła się—i poczęła kawalera do siebie wabić—zaczęli się gonić wokoło pnia. Rozległy się chichoty, zaczepki, wreszcie popędzili oboje w puszcę po czubach drzew, na wiosenne gody.

Gdy leśni ludzie zasiedli do obiadu, Rosomak uważał brak współbiednika.

— Gdzie Kuba?

— Zbalamuciła go ruda zalotnica—odparł Żuraw.

— Także pora. Wszędzie po gniazdach już są małe, a ci się dopiero zbierają na gospodarstwo! rzekł Pantera.

— Jeszcze biedaka sowa w nocy uchwyci.

— Jak go znam — nie głupi nocować w wilgotnej dziupli—wróci do swego rękawa.

— Zgłodnieje niebożątko.

— To mu na zdrowie wyjdzie. Już się w skórce nie mieści—tak go pasiesz.

Zaraz po obiedzie Pantera założył klacz do wozu i ruszył po ściólkę — Rosomak popłynął do koszów rybnych—znowu Żuraw sam został.

Sprzątnął prędko statki, zabawił godzinę nad swym zielnikiem — wreszcie przypomniał sobie raki — i zaczął zbierać potrzebne do tego połowu narzędzia.

— Właściwie lepiejby było brać je na rybne odpadki, ale tak się biorą na głębinie z czołna. A że Rosomak czołno zabrał, chyba będą je brodząc z pieczar wypłaszać — radził się Pantery, który właśnie ze ściólką nadjechał.

— Poczekaj chwilę. Zwiozę resztę i razem pójdziemy. Znam najlepsze pieczary.

— Dziękuję. Pewnieś już jakiś figiel na mnie obmyślił. Dziś już miałem mysz w pudełku z proszkiem do zębów i zaszyte rękawy u koszuli. Dosyć na jeden dzień.

To nie ja. Dalibóg!

— Więc któż, może Rosomak?

— Nie—to „domowy“. Pewnieś mu nie postawił miodu w orzeszku—na przywitanie.

— Domowy też pewnie powiesił wypchaną sowę Rosomaka na podsieniu, że nam ptaki spać nie dały od szarego świtu.

— On dziwy umie robić—straszny psotnik.

— I „domowy“ węzową skórę włożył mi do pościeli.

— A nie mógł to wąż skóry zmienić w twoim łóżku? Ty też w niem koszulę zmieniasz.

I Pantera, śmiejąc się, popędził klacz.

Żuraw wziął siatkę na obręczy rozpiętą, torbę na raki i poszedł.

Dróg nie było w ich raju, ale każdy miał w głowie mapkę i nigdy nie błądził i zawsze szedł najprościej. Z biegiem czasu przecierali ścieżyny—tyle, co zwierzy i nigdy się w kierunku nie zawahali.

I Żuraw też zaraz z polany wnurzył się w gęstwą łozy—odnalazł zeszłoroczną kładkę nad wąską topielą, wydostał się na garb olszyną porosły, przebrodził parę strug, ominął grząskie torfowisko, i wykierował się jak strzała na wielki dąb na brzegu jeziora. Leżało gładkie, szeroko rozlane, zachodzące w ląd mnóstwem zatoczek. Naprzeciw białeły góry piaszczyste, jakby wyspa i znowu tło stanowiła czarna ściana boru.

Pod dębem Żuraw się przebrał—został tylko w bieliźnie i chodakach—przewiesił torbę przez ramię i wszedł do wody. Zanurzał się po pas i trzymał się brzegu. Spód był dość grząski, a grunt wybrzeża pełen dziur i pieczar.

Żuraw co parę kroków siatkę w wodę zastawiał do dna, a nogą po tych pieczarach ploszył.

Gdy sieć podnosił, znajdował w niej wielkie żuki, muł—a za trzecim razem ujrzał ciemną skorupę i podniesione wojowniczo kleszcze.

— Jesteś!—rzekł z tryumfem, chwytając ostrożnie za grzbiet zdobycz i rzucając do torby.

Ogarnęła go zaciekleść łowiecka. Już nie patrzył ani na toń jeziora, ani na otoczenie, ani na słońce; tylko sieć zatapiał, podrywał i napelniał torbę. Aż wtem stracił grunt pod nogami i wpadł z głową w jakąś bezdenną jamę pod olbrzymią olchą.

Zakotłowało się w wodzie, jakaś wielka ryba ośliznęła się po nim, polknął sporo wody, ale wnet oprzytomniał—wydostał się na powietrze. Musiał płynąć parę sażni zanim zgruntował, potem znowu wpław łapać kapelusz i siatkę, wreszcie na brzeg wyskoczył.

— No, tym razem, to chyba psota „domowego“.

Pomacał torbę—była pusta. Raki wydostały się na swobodę.

Wieczór był bliski, opar wstawał z wody, ziaćb chwycił przez mokrą bieliznę, ale Żuraw zawzięcie rozpoczął połów na nowo, wracając do dębu.

Zbiegłe raki musiały jednak zaalarmować swój szczepek, bo brały się tylko niedorostki, aż rybak zniechęcony zabrał się do odwrotu.

Dzwoniąc zębami biegł do chaty, na jednym przejściu nad topielą pośliznął i wpadł w szlam, i już zdaleka posłyszał trąbkę na alarm i pohukiwanie towarzyszy.

Wybrali się ku niemu niespokojni.

— Coś ty! zblądził? — spytał Rosomak.

— Nie, tyłkom się zgapił i wpadłem w tę jamę pod olchą.

— A suma nie było?

— Był. Okrutny. Mogłem rękami brać, ale o sobie myślałem — nie o nim.

Pantera już torbę obmacywał.

— Co tam? Kilka szczypawek.

— Bo wielkie drapnęły — jakem nurka dał. Brr jak zimno. A nie wiecie, czy Kuba nocuje w rękawie?

— Myśmy o ciebie byli trwożni. Nie patrzałem.

— A wieczery niema?

— Owszem. Zacierki na mleku ugotowałem, aleśmy ciebie czekali, i wreszcie poszli ratować.

W chacie było przyjemne ciepło, ale Żuraw nie dał się przekonać, i przedewszystkiem do cna się, na czysto, wykapał.

Gdy przyszedł na wieczerzę, rzekł z pewnym zawodem w głosie:

— Wiecie, Kuba jest w rękawie.

— Toć się troskałeś, by w lesie nie nocował.

— No tak, pewnie, ale zawsze to dowód straszego sybarytyzmu.

— Nareszcie przekonałeś się! Zaśmiał się Rosomak.

Żuraw zaczął jeść — rozmarzyło go gorąco, ogarnęła nieprzeparta senność.

— Nie wylej zacierki z łyżki do ucha! — droczył się Pantera.

— Jeszcze muszę statki pozmywać!—zamamrotał, opierając się o ścianę.

Ale oni dali mu drzemać—i dokończyli domowe porządki.

Nie pamiętał, jak się znalazł w łóżku, tylko wszystko sobie przypomniał rano, znalazłszy pod poduszką dwa raki—upominek Pantery.

Dzień Chytrego Rosomaka.

Rubinowe latarnie w okiennicach i krzatanie się Żurawia budziło wodza. Szedł do kąpieli i spóźniał się na śniadanie, bo tu i owdzie zajrzał. Ze wszystkich stworzeń leśnych najmilsze mu były ptaki i te obserwował i badał z amatorstwem. W okolo chaty pełno było skrzynek na drzewach i Rosomak doskonale znał historię i sprawy każdego skrzydlatego stadła. Żaden z leśnych ludzi nie mógł się pochwalić, że odkrył jakieś nowe gniazdo, bo ledwie zaczął, już wódz podpowiadał.

— W leszczynie, prawie na ziemi, wiem, to dzierzba—albo:

— Na sośnie za garbem, widziałem, to sikora czubatka zajęła stare wiewiórcze.

Miewał specjalnych faworytów.

W zmurszałym pieńku brzozowym niedaleko krynicy—odwiedzał codziennie raszkę siedzącą na jajach. Pierwszego dnia sfrunęła, gdy wróciła znalazła kilka mrówczych jaj w gniazdku. Na drugi dzień, gdy ujrzała nad sobą twarz olbrzyma-człowieka, zdrętwiała. Czarne jak paciorki oczki wyrażały bezgraniczną gro-

zę. Olbrzym rzucił znowu kilka mrówczych jaj i odszedł. Na trzeci dzień—już przysmak porwała odrazu i odtąd słysząc trzask gałęzi pod stopą olbrzyma—czekała odwiedzin nie trwożna.

Po śniadaniu Rosomak oprawiał lampkę przed Królową, rąbał smolne szczapy, ozuwał chodaki i szedł w las.

Brał ze sobą torbę, siekierę, sznur z hakiem na końcu i przepadał bez śladu. Szedł zwykle bardzo wolno, cały w słuch i wzrok skupiony, przystawał często do pnia wtulony, to wyciągał się pod krzakiem nieruchomy.

Las ledwie porastał w drobne liście, była to najlepsza, ale krótka pora do spostrzeżeń ornitologicznych.

Codzień też Rosomak odwiedzał pszczoły. Od paru lat zajmowały dziuplę w starej wierzbie. Znał je dobrze. Czarne były, małe, bardzo cięte—dzikie, borowe.

Gdy leśni ludzie zajęli chatę, już je zastali. Ale dotąd nie było z nich pociechy.

Dziupla była nieszczelna, zmurszała, drzewo marne. Dobierały się do niej dziecióły zielone, niszczyły myszy, po zimie ledwie zostawała garść narodu, a zanim się rozchodziły—nadchodziła jesień.

W tym roku działo się najgorzej.

Ledwie chodziły na kwiaty, robota szła ospale, nie przynosiły do ula pyłku.

— Niema matki! rzekł Rosomak po dłuższej obserwacji.

Ruszył w puszcę i rozmyślał.

Po leśnych fijołkach, co właśnie zakwitły, po łożowych kocankach, pszczoł było pełno.

Musiała istnieć druga dzika barć, bo od osad ludzkich, od osadów i pól, przez te bagna i moczary za daleko było pszczołom lecieć. Barć musiała być, ale gdzie? Przez lat parę Rosomak ten swój raj schodził z końca w koniec, z kąta w kąt, i nigdzie barci nie widział drugiej.

Teraz znaleźć musi, te sieroty obratować. Położył się na polanie liljowej od fijołków. Roboczy naród obierał słodycz skrzętnie i odlatywał. Każdą człowiek leśny oczami przeprowadził i zrazu nic się nie dowiedział. Snuły się tu i tam. Wreszcie dopatrzył, że jedne były małe i ciemne, inne większe i żółciejsze.

Po godzinie cierpliwości badacza już stwierdził, że te pierwsze wracały ku wierzbie, te drugie wznosiły się nad drzewa i kierowały się na wschód.

A miały przy nóżkach koszyczki złotego pyłku, a przy robocie nuciły wesoło.

Rosomak powstał z tryumfem.

— Tam są i mają matkę! rzekł, puszczając się za niemi na wschód.

Po drodze obejrzał każde stare drzewo, coraz na polankach przystawał, znowu owad śledził, znowu za niemi dążył, aż stanął nad nieprzewyciężoną zaporą. Była to smuga trzęsawiska.

— Aha—w borze barć mają. Żółte są jako żywica. Że mi to na myśl nie przyszło. Tam im raj w tej choinie.

Za trzęsawiskiem, jakby wyspa wśród morza, była wyniosłość niewielka, porośła starą sosną.

Widział wyraźnie ich złote pnie, grube konary i czarniawe korony. Jedna, jakby przodownica,niosła olbrzymią czapę bocianiego gniazda.

— Zda się ręką do nich sięgnąć, a „wara“ mówi topiel. Bezdenna jest—ani krzaka, ani drzewka, ale wąska. Nie więcej półtorasta kroków. Dostać się tam trzeba!

Położył się i zapatrzoney—plan układał. Zaraz też spróbował gruntu—cofnął się i zaczął rąbać łozę, układać w snopy i wiązać.

Robotę przerwał mu sygnał obiadowy. Gdy zasiedli do obiadu, każdy opowiedział swe przeżycia i wrażenia.

— Wiecie wodzu, dudek zagląda do skrzynki — pochwalił się Pantera z odkrycia.

— Toś rewidował skrzynki?

— A tak mnie ochota wzięła Kubę naśladować. Przejrzałem siedmnaście.

— Ładna porcyja—jak na jeden dzień.

— Byłoby więcej—ale na jesionie ładaco gałąź mnie zdradziła. Gruchnąłem o ziem i nadwichnąłem rękę.

— No i co?

— Ano nic—zhukałem Żurawia doktora, w mig mi nastawił, ale zabronił udawania Kuby przez parę dni.

— I bez mego zabronienia nie mógłbyś pokazywać łamanych sztuk w tej chwili, ścięgno masz mocno nadciągnięte.

— Cóż znalazłeś w skrzynkach?

— Najwięcej sikor bogatek—mają już pisklęta, w jednej naliczyłem dwanaście rozwartych gardzieli. To dopiero robota wykarmić taką chmarę. W kilku muchołówki te małe—nakładły błękitnych jająt, w dwóch są sikory modraczki—wysiadują tak twardo, że je można ręką brać; w jednej nasyczał mi krętogłów jak wąż, w jednej obłajały mnie szpaki, ale na tym jesionie właśnie miałem najgorsze przyjęcie. Zgadnijcie kto ją zajął?

— No któżby—może dzieciół.

— Trzmiele—niewielkie, szare. Sypnęły mi się do oczu, więc zmykałem co tchu i przez to na gałęzie nie zważałem i gruchnąłem.

— No, a w którejże było to gniazdo gołych mysząt—coś mi je łaskawie włożył do maszynki kawianej, spytał spokojnie Żuraw.

— Ja—myszeta? Jakie? Kiedy?

— Ach prawda. To także pewnie „domowy“. Żeś go nie wołał o pomoc przy zwichniętej ręce!

— Domowy na medycynę nie chadza.

— A ja mam złą wieść. Pszczoły we wierzbie nie mają matki.

Zafrasowali się obadwa i jęli radzić.

— Pójdę po czerw do Odrowąża.—Ofiarował się Pantera.

— Kładki do Odrowąża są jeszcze pod wodą, a takie kręte, że sto razy można zmylić i w bagno wpaść.

— Może do domu pojechać, bo i chleba już ma-

my nie wiele. Nawet nie mogę zrozumieć, gdzie mi tak prędko wyszedł—rzekł Żuraw.

— Gdzie? Pewnie domowy wyniósł i schował, lub przepasał Hatorą—zaśmiał się Rosomak.

Obadwa spojrzeli na Panterę, który z miną niewiniątka zaciągał sznurki w świeże łykowe chodaki.

— Do domu jechać temi dniami nie można, rzekł, jakby końca rozmowy nie słyszał, bo mi Łatana Skora powiedziała dziś na ucho, żebym jej akuszera sprowadził. Czy pan doktor będzie łaskaw? zwrócił się z ukłonem do Żurawia.

— Wypatrzyłem drugą barć! rozstrzygnął kwestyę Rosomak.

— No to i poco majaczysz i nas się radzisz?

— A poto—żem fajki poobiedniej nie dopalił, a wyście statków nie zmyli.

-- Jak się to skończy, to ruszymy wszyscy na ciężką robotę. Barć jest na Chojowej Górze—za topielą.

— Aha, musimy faszyną jakie takie przejście wyłożyć i jeszcze się skąpiemy po pas. Dobra nasza—jazda!—porwał się Pantera do zmywania.

Po chwili ruszyli wszyscy trzej—zostawiając chatę pod opieką Opatrzności. Nawet Kuba, zgorszony tą ogólną wyprowadzką—dopędził ich i wsunął się na poobiednią drzemkę do kieszeni Żurawia.

Szli bez drogi—za Rosomakiem i mówili o zamierzanej robocie.

— Co roku na Świętą Annę—poglądam na tę Chojową Górę i łeb suszę, jakby się tam dostać, rzekł Pantera.

— Dlaczegoż specyalnie na Świętą Annę spytał Żuraw.

— Bo Święta Anna grzyby sieje. Nie wiesz? Na Chojowej Górze rosną pewnie od początku świata co roku, i nikt nie zbiera, boć tam nawet zimą trudno się dostać. Przekłęta topiel.

— Komu przekłęta, a nam błogosławiona—poprawił Rosomak.—Mielibyśmy to taki swój świat i raj—żeby bite drogi szły do chaty? Ucieklibyśmy po tygodniu, bo ludzieby nam życie zatruli.

— Pewnie. Chłopy i baby do Żurawia z chorobami, żydzi po rybę—no i goście. Rany Pańskie! Jak kiedy posłyszycie w nocy, że jęczę—to wiedźcie, że mi się to śni.

— Niechno kładki do Odrowąża nad wodę się pokażą—stary wnet się zjawi prawić mi o łamaniu w kościach! rzekł Żuraw.

— Ten do nas pasuje. Temum rad, uśmiechnął się przyjaźnie Rosomak.—On mnie uczył leśnego bytu.

Stanęli nad topielą i zaraz zawzięcie wzięli się do roboty.

Wiązali faszynę i słali jakby pomost. Całe bagno chybotalo pod stopami, musieli omijać zupełnie nieporosłe bezdnie, szukać choć nikłej skorupy—białawego gąbczastego mchu—coraz to któryś zapadał, i towarzysze musieli go wyciągać na sznurze. Zmoknięci, czarni od szlamu, parujący znojem, mordowali się, walczyli, zdobywali krok za krokiem, tak w swym uporze zaciekli, że nawet się nie odzywali. A wszystko—o zdobycie tej krzyny czerwii dla sierociego roju pszczelego.

Gdy hejnał wieczorny otrąbiły żurawie—pół brodząc, pół pełznąc Rosomak wy dostał się z grzęzawicy i bez tchu legł pod sosną przodownicą. Towarzysze ślali bezpieczniejsze przejście, ale już też byli bez siły.

— Wracaj, pora do chaty!—zawołał Żuraw.

— Wracajcie, ja tu zostanę, zanocuję. Jutro rano przyniesiecie ile znajdziecie sznurów, garnek z żarem, kapelusz z siatką, co wisi na ścianie w komorze, no i chleba kawałek na śniadanie.

— Zgłodniejesz, zmarzniesz w mokrej bieliźnie—wołał Żuraw troskliwie.

— Zapalki i tytoń miałem w czapce, więc suche, siekiera i nóż jest, chróstu nie brakuje. Przenocuję doskonale, o świetle już barć znajdę i co trzeba przygotuję, zanim przyjdziecie. To nie ramowy ul, co ino daszek uchylić. Będziemy mieli jeszcze kramu coniemiarą. Spocznię przed ciężką robotą. Żegnajcie.

— Do zobaczyska! Będziemy o świetle.

Rosomak został sam. Wypoczął chwilę i wnet zaczął się rozglądać i po swojemu otoczenie badać.

Zdziwiła go dziwna cisza tego ostępu. Był pewny, że zastanie ptasie królestwo bezpieczne — a była pustka.

Ani uwijania się, ani świergotu, ani przedwieczornego rozgardyaszu.

Sosny stały, jakby nieme, nawet bagna wokóło wydawały się puste. Życie kipiało dopiero za topielą.

— Jakiś zaklęty kąt! szepnął, powstając. Obszedł brzegiem, rozglądając się. Ród starych sosen mieszał

się dalej ze zwartym świerkowym porostem, podszytym gęstwą paproci i jeżyn.

Gdy przystanął, szukając możliwej szczeliny, nagle na sośnie tuż nad nim zaszczeakał pies.

Rosomak instynktownie za pień się cofnął i spojrział w górę.

Na konarze, blisko siebie, siedziały dwie nieruchome, wielkie, bure postacie. Patrzyły na niego dwie pary jaskrawo pomarańczowych okrągłych oczu, mrugając, i te twarze starych skąpców czy zbrodniarzy wykończył w typ zbójecki czarny, potężny, zagięty noszów.

Bez ruchu i głosu—człowiek i para wielkopańskich rycerzy rabusiów patrzeli na siebie.

Zrozumiał Rosomak ciszę i pustkę tego ostępu.

Panowała mu burga tyrana bandyty w pióropuszu na głowie.

Zniszczył życie wokoło, wymordował wszystko i królował, i władał, mocarz siły nad prawem.

— Tuś mi, krzyżacka wywłokol warknął zajadle Rosomak. Tuś mi herbowy rakarzu, kacie leśnego stworzenia, bezbożniku możny, tyranie słabych, cichych i spokojnych. Teraz na cię sąd i prawo. Teraz na cię kres! Słyszałem nieraz w nocy twoje krwawe hasło i jęk ofiar i szukam cię już lata. Aż mnie tu przyprowadził opiekun pomordowanych ptasząt, byś za żywot łotrowski—gardło dał.

— Ostatnia to twoja noc!

Zawrócił i odszedł, rzuciwszy ten pozew. Jeszcze korzystając z ostatnich chwil dnia odszukał barć. Wska-

zały mu ją wracające z boru pracownice i ucieszył się, że była niewysoko i otwór miała dość szeroki.

— Teraz spocznę i ciszy posłucham! — rzekł, wyciągając się na mechach.

Ale spocząć nie mógł. Słońce zgasło, z bagien wstawały chłodne opary, ogarnął go ziąb. Więc się rozebrał, wytarł ciało do czerwoności mchem i znowu wilgotną bieliznę naciągnął. Teraz się rozgrzał, na glód fajkę wypalił i rozdmuchał na brzegu niewielki ogniaszek.

Oburzyło to panów ostępu.

— Uhu, uhu! rozległo się ponuro, groźnie — czarny cień wysunął się z gąszczy, miękkie skrzydła musnęły go prawie w locie, zakolowało straszydło nad ogniem i popłynęło nisko nad topielą — do lasu po łup.

Po chwili drugi za nim podążył.

— Uhu, uhu! Ungnibus et rostra! Szponami i dziobem! Herbową dewiza i bojowy zew! Uhu, uhu!

Wyciągnięty u ognia Rosomak słuchał. Od puszczy grzmiał weselny, wiosenny chór. Łkanie słowików, belkotanie cietrzewi, pobekiwanie kozłów. Na bojowe hasło rabusia, zaledwie chwila ciszy i znowu radośne hymny młodego życia.

Nagle rozdarł powietrze krzyk bólu, grozy, śmierci i znowu cisza.

— Zadarł zając! szepnął Rosomak.

Na niebo wypłynął księżyc. Mgły w jego widmowem świetle potworzyły korowody tańczących mar w głąbach powłoczystych. Żabie kapele im grały. powiew wiatru układał figury, grupy, koła.

Kędyś daleko chlupnęła woda, coś zatętniło, zaklekotało, rozdarło korowód mgieł.

— Łoś idzie przez pohybelnik! — szepnął Rosomak. — Dla tego niema topieli.

Jak widmo, bez szelestu piór, rabuś znowu nad nim przeleciał, zapadł w gąszczu.

— Z łupem wraca. Ma w gnieździe małe.

Ale wreszcie ze zmęczenia i trudu ogarnęła go senność. Jeszcze patrzył, jak dym ogniska ku mgłom ruszył i w tan się wmieszał, jeszcze słyszał ostrzegawcze krakanie krzyżówki — matki i nagle ruszył i on za dymem i mgłami.

I taki był lekki jak one, i zrobił się dzień, a on szedł przez topiele, zaglądał do gniazd, głaskał ręką ptaki, przepływał rzekę, objawszy ramieniem łosia za szyję, przypatrywał się o krok stojąc, jak bąk odludek zatapiał dziób w szlam i buczał donośnie, i odtrącał pięścią puhacza od srokatego kozłęcia łani.

I takim snem czarodziejskim skończył się pracowity dzień wodza-Rosomaka.

Zbudziły go żurawie, poranne trąby. Zerwał się. Ledwie bursztynowe były zorze na wschodzie i jeszcze senność w przyrodzie. Szpilki sosen miały na końcach paciorki z rosy, na próg barci wyszło kilka pszczoł wartownic i przecierały skrzydełka. Ptak żaden nie śpiewał. Czając się, unikając gałązki pod stopą, Rosomak ku gąszczom się przysunął.

Na tym samym konarze puhacze siedziały nieruchome, nadęte, ze złożonemi czubami i spały syte mordem.

Na dziobach i pazurach miały ślizgość świeżej posoki.

Cofnął się Rosomak, ognisko rozdmuchał i znowu omamiał głód tytoniem.

A tymczasem świat się zbudził, rozbarwił, rozśpiewał z taką ochotą i zapalem, że aż zarażony tem—leśny człowiek począł nucić, półgłosem.

— Codzień z rana, rozśpiewana

— Chwal, o duszo, Maryę.

— My som! Wodzu! — rozległo się za topielą. Porwał się Rosomak.

— Witajcie. Przynieśliście sznury?

— Całe mnóstwo.

— Zwiążcie razem. Przytwierdźcie jeden koniec do brzozy na brzegu — ciśnijcie mi tu drugi z hakiem. Weź cały rozmach Żurawiu, bo Pantera kaleka.

— Aha, będzie poręcz w braku mostów. A może mamy chodzić po linie? — wołał Pantera.

— Ty nie dworuj, ale wracaj pędem do chaty, przynieś strzelbę i cztery świeże naboje.

— Co się stało? Ryś tam może siedzi?

— Gorszy zbrodniarz. Śmigaj, Chyża Pantero.

Sznur padł w wodę niedaleko sosen. Rosomak go dostał, przytwierdził do drzewa i po chwili Żuraw wylądował obciążony.

— Chleba! — upomniał się Rosomak. Dostał pełną torbę.

— Na kogo śmierć? — spytał Żuraw.

— Zaraz ci pokażę.

Tymczasem jadł chleb, mlekiem popijał, aż pokraśniał na czerniawej twarzy.

— Barć jest?

— Jest, na tej sośnie z krzywą rosochą. Nie wzięłeś przypadkiem dłułka i małej piłki?

— Wzięłem.

— Toś zuch.

— Ano, tyle lat w twojej szkole. Wykształciłem się. A u nas nowina. Przyleciał ze dworu chłopak, że jakiś do ciebie gość przyjechał.

— Kto? Co za lichol!

— Mówił, że jakiś panicz.

— No, szczęście, że nie jaka stara ciotka. „Panicz” może poczekać. Jest tam co jeść i na czym spać. No, syt jestem.

— To mi pokaż zdobycz.

— Poczekał na Panterę. Nie można bestyi płoszyć.

Czekali tedy, zeicha gwarząc o swym bycie. Aż ukazał się laufer Pantery—po sznurze biegł Kuba, przywitał wodza i śmignął na sosny. Za nim, mozolniej, chlupał po wodzie, skakał po pękach łoży Pantera.

Zabrali się i wstali do pochodu, gdy Rosomak patrzący za Kubą, wskazał nań ręką.

Wiewiór wracał bez tchu—po ziemi, z gąszczy, oglądając się ze zgrozą.

Dopał Żurawia, wcisnął mu się za bluzę, głęboko—aż pod pachę. Dygotał całem swem mizernem ciałkiem i pisał żałośnie.

— Co mu się stało?

— Zobaczył kata lasu. Chodźmy, ino po łowiecku, cicho.

Wziął Rosomak strzelbę, założył naboje, i z gotową do strzału ruszył.

Podkradli się bez szelestu—wtedy lufę podniósł w górę, a oni za nią poszli wzrokiem.

— Mnisze plemię grabicieli, zbójów,—szepnął.

— Junkier Eduard i Kunigonda!—dopowiedział Żuraw.

— Bić, wodzu!—warknął Pantera.

Strzał padł, po sekundzie drugi. Eduard gruchnął z gałęzi jak gromem rażony, Kunigonda miała tylko czas skrzydła rozwinąć i zawisała na nich już martwa w świerkowej gęstwie.

— To był dublet mistrzowski, zawołał Pantera.

— Kiedyś, gdy byłem głupi i myślałem że wolno zabijać, uchodziłem za dobrego strzelca!—rzekł Rosomak, stawiając strzelbę pod drzewem.—Ale dzisiaj nie zabijałem, tylko spełnił wyrok. Na zasadę siły przed prawem przychodzi dzień sądu i wypłaty. Niech mi las potwierdzi, że mam prawo mściciela! A teraz szukajmy gniazda.

— Na ziemi?

— Odroważ mi mówił, że się gnieździ byle gdzie. Na pniaku, na kępie, przy pniu. Zresztą znajdziemy po trupiarni. Patrzcie, co tu piór i kości. O, zielone czapki kaczorów, resztki czajczych czubków, cietrzewie, lirowate sterówki. A ot, świeżutki zając marczak. Słyszałem jego śmiertelny jęk tej nocy. Weselniki

barwne, kraśne, młode—oszałale wiosną i miłością, tu lupem były nienasyconego obdzierecy, żarłoka, grabiciela. Wszystko grozą swych szpon jarzmił i pożerał. Toć ten jego ostęp, to cmentarzysko całej puszczy—Nikt nie miał prawa do życia i bytu—tylko on.

— Wodzu, tu na świerku jest jakaś kupa gałęzi, ale ja się nie wdrapię, zawołał Pantera z gąszcza.

Poszedł Rosomak między obwisłe gałęzie i z trudem przeciskał się ku górze.

— A jakże, stare orłowe gniazdo zagrabił i swój przeklęty lęg umieścił. Jest troje młodych. Jeszcze białe, ledwie wyklute, a już kłapią szczękami i za rękę mnie dziobią. Może żywcem wziąć i wychować na niewolników.

A wtem z pod świerka rozległ się żalosny okrzyk Pantery.

— O zbrodniarz! Toć tu leży skórka z naszego Tupcia.

— Co znowu!—zawołał Żuraw.—Alboż jeden jeż w lesie. Pokaż, ja poznam. Gdym mu nóżkę opatrywałem musiałem jeden pazur obciąć.

Zamilkli, więc Rosomak spytał.

— No i co?

— Tak. Niema naszego Tupcia,—odpowiedział Żuraw, a Pantera rozjuszony krzyknął.

— Nie żywić przeklętego plodu. Łby im pokręcić! Rosomak cisnął na ziemię gniazdo i lęg.

— Szczeźnijcie do ostatniego!—warknął.

Leśny człowiek spełnił odwet puszczy.

Wrócili pod sosnę przodownicę i założyli obóz.

— Na przyszłą wiosnę ten ostep stanie się ptasim wyrajem. Zatokują tu głuszcze brodacze, będą kuć dzięcioły, mysikróliki powieszą kunsztowne kołyski, w świerkach osiadą gołębie. Wrócą tubylce radne, zapobiegliwe, niedrapieżne, wesołe i łagodne. Teraz ci uczynili pustynię!

— Powiesić je po śmierci!

— Nie. Zabiorę i pięknie spreparuję. Zastąpią tę naszą nawpół przez mole zjedzoną sowę, co ją używasz na wrony jesienią. A teraz—do barci.

— Jeślim ci koniecznie nie potrzebny—idę do chaty!—rzekł Żuraw.—Puchnę od żądeł jak potwór, a Kuba nie daje się z zanadrza wydobyć, pogryzł mnie, podrapał i bezustannie się trzęsie z lęku.

— Mądry jest. Tupcio, nocny włóczęga, ufał swym kolcom i ot jak skończył. Tak, Kuba, niema jak rękaw ze starego kozucha. Tam cię i junkier Eduard nie znalazł i nie złupił.

Poszedł tedy Żuraw do chaty i tam dopiero Kuba ośmielił się na świat wyrzeć, ale od tej pory przestał zupełnie od domu się oddalać, nawet na wabienie rudej zalotnicy.

Nowi przybysze.

Nazajutrz po straceniu pary morderców—wśród nocy Żuraw się zbudził na kołatanie do komory.

— Zaraz, zaraz! zamamrotał i spał dalej.

— Urodziny mamy. Cóрка. Matka i dziecko zdrowe,—zawołał z za drzwi Pantera.

— Srokate?—spytał Rosomak.

— Jak jesienne kasztany, co się dzieci bawią.

— Czy mam wstać?—rozbudził się Żuraw.

— Nie. Przepadło ci honorarium.

— Potrzebnieś budził!

— Śpiochy. Nie żal to taką noc wiosenną prze-
spać! Idę na spacer.

— Tupcio tak czynił i źle skończył.

Rano każdy zajrzał przedewszystkiem do nowego domownika, niosąc Łatanej Skórze różne smakołyki.

Żrebiątko trochę jeszcze chwiejne na nóżkach wyzierało już ciekawie na Boży świat, od boku matki nie odstępując.

— Istna karta geograficzna,—zaśmiał się Żuraw.

— Frontowa będzie panna! — pogłaskał ją Rosomak.

A Pantera zawiązał na cienkiej szyjce krasną kiltajkę „od uroku“.

A potem śmiejąc się, rzekł tajemniczo.

— Żurawiu, widziałem dziś w nocy. jak „domowy“ wlażł na półkę i coś włożył do garnuszka. Pewnie dla ciebie prezent.

— Może sam zobaczysz. Ja mam dość tych prezentów.

Ale Rosomak się zaciekawil i zajrzał na półkę, do garnečka.

— Zaczny „domowy“! — rzekł, wyjmując coś szarego, okrągłego, wielkości cytryny.

— Co to? — spytał Żuraw nieufnie.

— Tupcio drugi. W małoletnim wieku, ledwie mu kolce ze skóry wychodzą. Gdzieś go znalazł, Pantero?

— W nocy, na ścieżce do krynicy. Szła mama pierwsza, rozfukała się na mnie strasznie, za nią czworo takich pędraków.

— Tupcio był jeszcze mniejszy. Prawie goły. Ulokujemy go w skrzynce, we mchu i liściach suchych, jutro już będzie mleko chleptał.

— Ja go biorę na wychowanie! — ucieszył się Żuraw.

— Czeladka się pomnaża. Dojdziemy do pokazanego inwentarza! — rzekł Rosomak, zasiadając do śniadania, a potem zaraz zabrał się do preparowania puławy. Zajął cały stół i tak się w tej trudnej robocie zagłębił, że ani palił, ani mówił, ani oczu nie podnosił, ani słyszał, co tamci mówili.

Wogóle nawet nie wiedział, czy istnieją. Aż stanął nad nim Żuraw.

— Słuchajno, a ten gość, co czeka we dworze!

— Nie zasłaniaj mi światła! mruknął, operując lancetem skórę młodego.

— Rzekł Diogenes! — zaśmiał się Żuraw. — Ale i chleba nie mamy wcale, i kartofle się kończą.

Milczenie. Ostatnie cięcia — skórka była oddzielona. Rosomak z tryumfem dzieło swe oglądał.

— Nawet mistrz Łastowski pochwaliby mnie! — rzekł. — Teraz arszenikiem zabezpieczyć i wypychać.

— A masz takie pomarańczowe oczy?

Zastanowił się Rosomak.

— Mam, ale czym zabrał pudełko?

Poszedł do komory, chwilę zabawił.

— Właśnie, że pudełko w biurku we dworze! — rzekł frasobliwie.

— Dzięki Bogu. Z tej racji może obmyślisz, jakby się do dworu dostać.

Zapalił Rosomak fajkę i z westchnieniem się zdecydował.

— Ano, to pójde. Napisz mi na kartce jadalne braki. Wezmę ztamtąd furę, i do Tęczowego Mostu fornal przywiezie. Mam w Bogu nadzieję, że ten gość tymczasem się znudził i wyjechał. O dolo ciężka! Trzeba się przebierać i z tego rajy iść! Żeby nie to pudełko ze szklanemi oczami, tobym się nie ruszył.

Sprzątnął swe preparaty, przebrał się, dał Pante-rze moc poleceń i poszedł.

— Jeśli ten gość czeka i zechce parę dni go tam

zatrzymać, to mu winszuję wesołej zabawy!—zaśmiał się Pantera.

— Zapomniałem zapisać na kartce, żeby zabrał gazety!—syknął Żuraw.

— Nie troskaj się! I tak nie zabierze! Ktoby i kiedy tu czytał. Bardzo nam potrzebne wiadomości o rewolucyi w Meksyku, o zamieszaniu na Bałkanach, o kursie pieniędzy, lub o trzęsieniu ziemi w Kalabrii. Daleko ciekawsze, czy nasze pszczoły wychowają matkę z tego czerwiu cośmy dali, czy dudek zajmie skrzynkę, czy wyszły z wody kładki do Odrowąża i czy znajdę gniazdo bąka lub remiza, a chociażby czarnego bociana, bo nam tego brak do kolekcji. Wiesz—popłynemy pod tę olchę—może się sum trafi.

Popłynęli. Wzięli ze sobą specjalne podwójne siatki na długich drągach i skradali się milczący. Pantera wiosłował, Żuraw kierował czółnem, ledwie muskając wodę. Wąskimi przesmykami wydostali się na jezioro—leżało ciche, gładkie jak szyba, prawie bez śladu prądu rzeki, która je przecinała, zwężając się na przeciwnym końcu i niknąc wśród czarnych, nawiśłych łóz i olszyny.

O tej godzinie przedwieczera kwietniowego rojnie było na toni. Szeptem Pantera Żurawowi ptactwo wyliczał.

— Patrz tam, para perkozów, a tam nur przelotny—już zniknął—kaczki z sitowi wypływają—o! rybitwy!

— A tam u brzegu widzisz—łabędzie.

— Przelotem bywają. A ryba jak się rzuca.

— O wiele woda spadła. Pokazują się już pale po starym młynie. Hej, kiedy on tu stał, chyba przed wiekiem—teraz topiel! Skręcaj powoli ku olchom.

— Pod którą spróbujemy?

— Ano pod tą z suchym czubem, gdzie się wtedy skapał.

— Dobrze—czołno wpoprzek postaw i zamocuj szostem. Razem równo zakładajmy siatkę—ino czołna nie odpieraj, bo pójdziemy głową na dno. Ino się nie gorączuj.

Żuraw zaciał zęby, bo mu dzwoniły z łowieckiego wrażenia. Zbliźali się do brzegu nieznacznie, zdradziecko, oczami się porozumiewając. Pantera wskazał wystającą gałąź olchową, zdjął swój pas, związał w pętlę i o sęk zaczepił. Wtedy napad odbył się z błyskawiczną szybkością.

Zanurzyli w wodę drągi z siecią, objęli nią jamę czarną. Pantera, trzymając koniec pasa w zębach, lewą ręką wiosłem uderzył w wodę, zamącił aż pod korzenie.

— Jest! — krzyknął Żuraw, czując uderzenie w sieć.

— Porywaj, wyciągaj do czołna. Gwałtu, pilnuj, wywróci czołno! Bij w łeb, ogłusz! Do brzegu, do brzegu!—wołał Pantera i sam swe własne rozkazy spełniał.

Oplątany w oka podwójnej sieci, miotał się w czołnie potwór czarny, ślizgi, z olbrzymią głową. Łódź tańczyła, nabierała wody, lada moment mogła się wywrócić. Pantera z zębów pasek puścił, siecią olbrzyma do reszty oplątywał. Żuraw chwycił za wiosło, rozchybotane czołno ku niezarosłemu brzegowi

parł, zajechał w krzak łozy, za gałęzie chwycił i unieruchomił. Obadwa byli wodą złani i potem, zdyszani, zziębnięci i szczęśliwi zdobywcą.

— Uf! a to ci patryarcha. Będzie ważył parę pudów,—rzekł Pantera, wywlekając z trudem olbrzyma z siecią na ląd.

— Wyrzucam sobie, żeśmy bez Rosomaka na ten połów ruszyli,—rzekł Żuraw.

— Mało on ich miał przez życie! Zresztą rybactwem się bawi—ale pasya—to ptaki. Ale teraz żywo się zbierajmy, bo nas czeka ciężka robota, nim go sprawimy. Żywcem go też nie dowieziemy, bo czółno przewróci. Zoperuj go po doktorsku, a ja popłynę po mój pas. A obejrzyj, czy ma w sobie but żandarma.

— Jakto?

— Odroważ dowodzi, że taki wielki to ludojad, i specjalnie żywi się żandarmami.

— To może lepiej puścić go w jezioro z powrotem, kiedy taki zacny uprawia proceder.

— No nie, bo ja też na zimowe posty chcę mieć wyżerkę.

— Ano, to szukam buta! A głowę tobym rad spreprować.

— Bez fatygi ci to mrówki zrobią. Wiem jedno mrowisko, jak stóg, tam ją zakopujemy.

Po godzinie już płynęli z powrotem. Jezioro zmieniło wygląd, bo się wiatr zerwał i napędził chinur z zachodu. Parno było, zbierało się na burzę.

— Namagaj, bo nie zdążymy przed deszczem,—oglądał się Żuraw niespokojnie.

— Okrutnie miło być na wodzie, jak pioruny „laskają“ — śmiał się Pantera.

— O! już chmury biorą pęd. Zaraz jak tabun rozhulany pójdą. Trzask, ot i z bata błyskawica pali. Będzie taniec!

Zakotłowało w chmurach. Zygzak — błysk — grom padł, wicher skreślił czółno i nagle lunął deszcz — jezioro — niebo stało się jedną masą wody, czarnych chmur, piany, fal, oslepiających błysków i huku, jakby świat cały w drzazgi się rozpadał.

Żuraw począł coprędzej wyczerpywać wodę z czółna, bo tonęło prawie, a Pantera przestał wiosłować i, wyprostowany na nosie czółna, cieszył się ulewą, gromami, nawałnicą, jakby największą przyjemnością.

Nozdrza miał rozdęte, usta roześmiane, oczy iskrzące, na każdy piorun odpowiadał okrzykiem, i hulało mu w duszy jakąś żywiołową rozkoszą.

— Do brzegu! Toniemy! — krzyknął Żuraw.

— Et bajki. Nie utoniemy! — zaśmiał się niefrasobliwie. — Zaraz minie! Ot hulanka. Ot szczęście, taką mocą być, tak używać.

Jednakże raczył zwrócić czółno do brzegu i o łozę zahaczyć.

Potem w mig wiosłem nadmiar wody wyrzucił.

— Przeszło! Szkoda! rzekł, — patrząc w niebo. — Teraz trzeba dobrze grzebać wiosłem, na rozgrzewkę! Ale cudnie było!

I zawrócił na rzekę.

Znowu toń była gładka, niebo błękitne, rozegrały się ptaki, zapachniało powietrze. Gdy przybili u cha-

ty—nie było śladu szalu, tylko znak widomy został—rozdarła gromem od szczytu do korzenia brzoza u krynicy.

Latana Skóra zarżała do nich ze stajenki i z rękawa swego wytknął pyszczek Kuba.

— Żurawiu jeść! zawołał Pantera.

— Zaraz ogień rozpalam. Dać ci suche szatki?

— Nie warto. Dopiero jak suma urządzę, to się „przemienię“, jak mówi Odrowąż.

— Jak się taką bestyę urządza.

— Przedewszystkiem trzeba całą skórę zetrzeć ze szlamu i śluzu popiołem, potem wiechciem i wodą zmyć do czysta, potem poćwiartować jak wieprza i zasolić. Za parę dni sporządzę z beczki wędzarnię i uwędkę. Łeb dziś jeszcze w mrowisko zakopię.

— Tyle roboty! zaraz ci przyjdę pomagać.

— Niechaj! Wieczereż uwarz. Mnie po tej burzy, jak po szampańskim. Anibym usiadł.

Dźwignął potwora na plecy i zwałił go wśród polany na trawę. Z rozmachem, ze śpiewem, z gwizdaniem zabrał się do mozolnej roboty. Parowała na nim koszula, tak się uwijał, ale gdy skończył, dobytek oprzątnął i do wieczery zasiadł, przestał mówić, śmiać się i ledwie zjadł, do alkierza swego się skrył.

Żuraw myślał, że się przebiera, ale gdy zdziwiony ciszą zajrzał — Pantera spał jak kamień—w mokrej odzieży i chodakach. Zaczął go trącać, wołać—bez najmniejszego skutku, więc mu tylko chodaki zzuł, i tak go zostawił, sam zresztą też zmęczony i senny.

Nazajutrz przespali i żurawi hejnał i ptasi ranny

chór, zbudził ich dopiero ryk Hatory, rzenie klaczy i pisk Kuby.

— Oj, burza naniosła komarów! rzekł frasobliwie Pantera, siadając do śniadania. Lada dzień chmury będą tego plugastwa. Trzeba okna siatkami zabezpieczyć i szyszek zrobić zapas na „kurodym“.

Małej Łatanej Skórze chyba koszulkę poszyję, a to ją żywcem zjedzą. Na tę plagę to nawet Rosomak ratunku nie wymyśli.

— Owszem, całą zimę jakieś ingredyencye mieszał i mówił mi, że ma kilka środków na próbę. Jak myślisz—będzie on dzisiaj z powrotem?

— Wątpię, jeśli gościa zastał. Przed wieczorem poskoczymy do Tęczowego Mostu na spotkanie. A może mu jakiego figla spletać? Wystraszyć?

— Rosomaka? Wystraszyć? zaśmiał się Żuraw. Znasz co, czegoby się bał?

— Eh, możebym i znalazł, ale bestya nic po sobie nie da poznać—to i frajdy niema. Będę wędzarnię urządzać. Kazał mi też szczap smolnych nakopać i kossze rybne zrewidować. Ale przedewszystkiem muszę podpatrzyć, czy dudek o skrzynekę konkuruje.

Poszedł i przepadł w borze. Po drodze zapomniał o wszelkiej robocie i musiał po swojemu używać, bo zjawił się o południu podrapany, w rozdartej bluzie i jednym tylko chodaku, ale z masą najświeższych wiadomości.

— Przyleciały już wilgi. Cieciora siedzi na ośmiu jajach. Cyranka ma gniazdo przy błocie: będzie suche lato. Czeczota jest na brzozie jak bochen. Zabi-

lem zmiję, co się skradała do gniazda gajówki. Znalazłem gniazdo ziemnych trzmieli i dobrałem się do miodu. Trochę cierpki, ale niezły.

— A wędzarnia, smolne karpy, kosze rybne?

— Głupstwo! Po obiedzie wszystko sprawię.

Jakoż odrobił sumiennie ranne próżniactwo. Raubał, ciosał, dźwigał i przed wieczorem już był gotów iść na spotkanie wodza.

Zostawili Kubę na gospodarstwie i poszli. Bór, deszczem skąpany, jak czar był cudny. Stawali chwilami i brali w siebie piękno wiosennego rozkwitu oczami, uszami, całą pierśią i byli skupieni majestatem arcydzieł. Wreszcie zatrzymali się nad strugą graniczną. Od zachodzącego słońca paliła się toń jak roztopione złoto—daleko, długo.

— Dziś nie Tęczowy, a Złoty most do naszego raju.

— A mieni się jak adamaszek. To zarybek się bawi.

Wyciągnęli się na trawie—nasłuchiwali.

— Nie słyhać wozu. Ale poczekajmy. Będą taśmugą kaczki ciągnąć. To ich trakt.

Ale wiecznie niespokojny Pantera poruszył się rychło.

— Zaraz w tej nieruchomości zasnę,—mruknął, i zaczął wycinać piękne łozowe pędy i zgrabnie obłuskiwać łyka no chodaki.

— Jada!—szepnął Żuraw:

Nastawili uszu, zaparli oddech.

— Jada. O, spłoszyli sarnę. Poszła w leszcze.

Jadą. Słysząc od ziemi turkot. Nawet gadają. Odezwiemy się po naszymu.

Huknęli. Długi zew i urwany odzew. Czyste echo poniosło się po wodzie, odbiło od lasu—powtórzyło odzew. Nasłuchiwali.

— Czemu Rosomak nie odwołuje?

— Z kimś rozmawia? Co to?

W głębi dalekiej zamajaczały końskie łby — zachlupała woda.

— Co to? Ktoś jedzie z Rosomakiem.

— No, fornal.

— Fornal trzeci. Zmykajmy.

— Co znowu. Jeśli Rosomak kogoś wiezie, to gość. Może Odrowąż.

Patrzyli, wóz się zbliżał.

Obok Rosomaka siedział chłopak w gimnazjalnej czapce i czarnej bluzie.

— Jakiś smarkacz. Potrzebne nam dzieci! — mruknął Pantera.

— Już wiem, szepnął Żuraw. To pewnie Stefan — pani Anny.

— Wodzowej siostry syn urwipoleć?

Żuraw tylko głową skinął, bo wóz był tuż i Rosomak ich pozdrowił.

— Witajcie. Rekruta wiozę.

Wóz wylądował i stanął. Fornal zaczął wyladowywać zeń różne tobołki—oni się witali. Rekruta obejrzeli bacznie a nieufnie leśni ludzie.

— Miejska murowa stonoga! — nazwał go w duchu Pantera niechętnie.

— Pajęczyna! zdecydował Żuraw.

Ale dopust losu trzeba było z rezygnacją znieść więc obadwa podali chłopcu prawicę.

— Wuj mi obiecał, że będę tu razem pracować, rzekł niepewnym głosem.

— No nie, poprawił Rosomak, obiecałem ci tu byt, jeśli do niego się nadasz. Bierz na plecy swój kuferek i ruszajmy.

Fornal nawrócił zaprząg i odjechał. Pantera zarzucił sobie na ramię największy worek. Żuraw z Rosomak obładowali się resztą i poszli.

Rekrut zarzucił sobie na ramię kuferek i podążył za nimi—potykając się na korzeniach. Ściemniało, nie było śladu ni drogi, ni ścieżki, gałęzie były po twarzy, jakieś odrośla niskie chwytaly za nogi, ciężar kufierka dolegał.

A tamci szli lekko, cicho, prędko i niknęli jak widma w gąszczu.

Chłopak po chwili spotniał, zdyszał, serce mu biło, ogarniał lęk i wstyd. Zaciskał zęby, walczył ze sobą—ale czuł, że nie podola. Wreszcie gałąź zerwała mu czapkę, zaczął jej szukać, a gdy znalazł—ujrzał się sam w gąszczu.

— Wuju! zawołał z przestraczem.

Ale zamiast wuja Pantera ku niemu wrócił.

— No i co tam? Ustałem?

— Nie. Tylko mi czapkę zdarło i straciłem was z oczu.

— Czapkę zdarło, boś się lasowi nie uklonił, a to wysoki pan i możny. Respekt trzeba przed nim mieć.

— A gdzie tamci?

— Poszli. Nie będziemy cię wszyscy niańczyć?

No — tobół ci cięży. Dajno — pomogę.

— Dziękuję panu. Dam radę.

— Tutaj „pan“ jest bór — a „pani“ woda.

— Ja jestem leśny „ludź“ — Pantera. Nie udawaj, ręce ci dygocą z wysiłku. Masz, przewlecz rzemień kuferka przez tę gałąź — ot, tak, bierz na ramię, ja też — i ruszajmy. A stąpaj w nogę równo — lewa, prawa, lewa, prawa.

— A czy my nie zabłądzimy tak bez drogi, rzekł po chwili chłopak.

— Jakto, bez drogi? Toć szlak jak pocztowy, drzewami sadzony.

— A co to błyszczysz przy ziemi! To pewnie wilcze oczy się świecą.

— Gdzie? Ach to! Świetliki latarki zapaliły.

— Co to?

— No — świętojańskie robaczki. Złapać takich dziesiątek do szklanki, to czytać można jak przy świecy. No, co skaczesz?

— Bo coś szeleści pod nogami. Pewnie żmije.

— Żmije śpią w nocy. Żaba ci z pod nóg skoczyła. Idź prosto, nie targaj!

Chwila milczenia. Nagle chłopak się wzdrygnął, w pół kroku stanął, kuferok spadł z drażka na ziemię.

— Co to? — szepnął.

— A bodaj cię! Co znowu?

— To co krzyknęło tam w prawo.

— Sowa! Ot siedzi na sęku. Prędzej — zbieraj swój

tobół. Tym pędem to i na wieczerzę do chaty nie zdążym, a moja chudoba czeka doglądu.

Znowu szli w milczeniu. Chłopak strzelał oczami na wsze strony niespokojnie, trwożnie. Samotność, cisza przerywana nieznanymi odgłosami rozstrajała go rozpacznie.

— Proszę pana, to jest, proszę Pantery i wam wcale tu nie straszno? Tak samym.

— Tu jest moc mieszkańców. Ot, posłuchaj: beczy koziół, belkoce cietrzew, żaby rajcuja, błotniaki wszystkie wrzeszczą. Tu więcej narodu—jak w mieście.

— Ale ludzi niema.

— No, to właśnie najbezpieczniej. Co gorszego dla człowieka, jak drugi człowiek.

— Ale tak ciemno.

— Zaraz elektryczność na niebie zapala. A zresztą lęka się tylko głupi. Co jest strasznego w borze, i co złego tu może spotkać. My tu między swoimi!

— Jeszcze daleko do domu?

— Niedaleko. Nie czujesz dymu?

— Nie. A co znaczy dym?

— No—wieczerzę warzą.

— To tamci już są w domu?

— Już dawno. Przecie nie pełzną jak my!

— Bardzo trudno iść prędko.

— No, no, nie próbuj bo upadniesz. Ot, już wi-
dać światło w chacie.

— Dzięki Bogu!—szepnął chłopak.

— Hej, wy tam!—rozległ się głos Rosomaka.

— My!—odkrzyknął Pantera.

— Bywajcie! Chcieliśmy już iść.
— Pak usta?

— Blisko tego.

Spotkał ich Rosomak przy furtce.

Pantera cisnął na ziemię worek, kuferek.

— Uf, co tam jest tyle ciężkiego w tym tobole. Macie rekruta. Ja lecę do Hatory i klaczy.

Chłopak znalazł się w jasno oświetlonej izbie, odetchnął bezpieczny, i zaczął się ciekawie rozglądać!

— Pozdrów Królowę! wskazał mu Rosomak obraz.

Przeżegnał się, i ochotnie spytał.

— Może mam co robić?

— Będiesz wszystko robił, jak i my. Tymczasem spocznij na ławie.

— Jak tu cudnie.

— Nie spiesz z zachwytem, aż się wżyjesz. Będziesz mieszkał w sieni. Jutro odzienie i obuwie zmienisz i dostaniesz zajęcie.

— Ciekawym jakie! zawołał Pantera, wchodząc do izby z wiaderkiem mleka.

— A także ciekawym, jak tego nowego przybysza będziemy wołać. Ja już mam dla niego nazwę. — zaśmiał się.

— Jaka!—spytał chłopak.

— Coto! Gdyśmy szli, co krok wołał: co to, co to, co to?

Żuraw postawił na stole misę jakiejś polewki, obsiedli stół.

Chłopak dostał łyżkę drewnianą, kromkę czarnej

go chleba i, patrząc jak oni czynią, zaczął czerpać ze wspólnej misy.

— Co to?—spytał po chwili.

Wszyscy się zaśmieli.

— Nie inaczej. Dobrze cię ochrzcił Pantera. Będziesz Coto, zanim na inną nazwę zasłużysz. Pytasz, co jemy? To polewka z ryby.

— Z suma. Wiecie, wodzu, żeśmy ułowili takiego, jak się rzadko trafia. To był tydzień wielkich łowów. Puhacze, sum.

— No i nowych przybyszów. Żrebie, Tupcio i Coto.

— I kosięta się wylęły w szopce Hatory. Coto chciał spytać: co to kosięta? ale się zażenował. Postanowił sam się dowiedzieć rano.

Po wieczery zawołał go Żuraw do pomocy zmywania statków, przyczem się bardzo zabrudził i potłukł miskę, potem go zawołał Pantera i poprowadził po drabce na strych, gdzie naładowali olbrzymi wór siana.

— Będiesz na tem spał, rekrucie Coto. Schodź ostrożnie po drabinie, żebyś siebie nie urządził jak miśki. Macie, już leży!

Chłopak się zaczepił obcasem o szczebel i spadł do sieni, szczęściem na siennik. Zerwał się zawstydzony, ale Żuraw z Rosomakiem karmili małego Tupcia, i nawet się nie obejrżeli, a Pantera, zeskakując zgrabnie i lekko ze strychu, rzekł.

— Szczęście, żeś nie gliniany, bo nie starczyłoby

ciebie na długo. Tu se pościel na ławie i spocznij, po tylu wrazeniach.

Chłopak chwilę stał bezradny. Jakże miał spać bez łóżka, bez poduszki, bez nocnej komódki i dywanika pod nogi. Kuferek gdzieś został na dworze, a na samą myśl, by go szukać w nocy samemu dreszcz go przeszedł.

A nikt się nim nie zajmował. Żuraw z Rosomakiem przeszli do komory, Pantera zgasił lampkę, zmęczony setnie legł w swym alkierzu i zasnął natychmiast, trochę tylko mrok sieni rozjaśniała lampka od obrazu i chłopak usiadł na sienniku bliski płaczu.

Drzwi wejściowe nawet na klucz nie były zamknięte, w lesie coś szemrało, chodziło, wołało—po izbie coś się snuło—nie, nie sposób zasnąć.

Nieszczęsny Coto zaczął w duchu wymyślać matce, wujowi, swej doli, całemu światu. Potem wyczerpał cały zapas buntu i goryczy, przymknął oczy, bo go paliły od wiosennego wiatru i słońca, a potem już nie nie pamiętał—bo zasnął.

Zasnęły też kosięta pod skrzydłami matki, zrebie u stóp Łatanej Skóry, która drzemiąc stojący, budziła się na każdy szelest i dotykała nozdrzami dziecka, jakby mówiła: nie bój się, śpij, ja nad tobą czuwam.

Tylko małoletni Tupcio, wierny tradycyi rodu, biegał drobnymi kroczkami po całej chacie i tępił zawzięcie wszelaki owad, który się zakradł ze dworu.

Coto.

Rosomak wypychał puhacze. Brak wprawy wyrównywał zawziętością i amatorstwem. Ponieważ zawadzał w izbie, rozłożył pracownię w komorze i po trzech dniach dzieła dokonał.

— Udały się!— rzekł tryumfujący do Żurawia.

— No, i wreszcie zajmiesz się czemś innem — mruknął bez humoru Żuraw.

— A co tam pilnego?

— Przedewszystkiem chłopak.

— Poszedł w las szukać gniazd. Chce zebrać kolekcję jaj.

— Nie nie znajdzie, bo się wszystkiego boi. Gdzieś pewnie niedaleko siedzi w gąszczu i czeka obiadowego sygnału. Trzeba się nim zająć, kiedyś go nam tu na umartwienie sprowadził.

— Co miałem robić. Nie mógł zostać tam we dworze, boby uciekł po kilku dniach, a siostra mnie błaga, żeby go przetrzymać parę miesięcy, bo bardzo wyczerpany naukami, przeszedł tyfus i zakochał się w czterdziestoletniej profesorowej i chciał się strzelać.

— Chciałbym wiedzieć, co my na to pomożemy i dlaczego mamy go niańczyć!

— Zapewne dlatego, żeby nam tu nie było za dobrze. Ja go obserwuję. Parę dni bawiła go nowość, teraz przechodzi okres tęsknoty, nudy i wspomnień „nie-szczęśliwej“ miłości; przefermentuje, przegryzie się i odżyje.

To rzekłszy Rosomak, którego nie bardzo nie wzruszało, co nie było przyrodniczą osobliwością, zapalił fajkę, obładował się swemi ptaszniczemi przyrządami i ruszył w las.

Przedewszystkiem odwiedził pszczoły.

Opodal barci stanął i patrzył.

„Naród“ się snuł tu i tam, zda się jak zwykle, ale po obserwacji twarz leśnego wodza zaczęła się rozjaśniać, promienieć, aż się ułożyła w cichy radosny uśmiech. Dla niego miał wyraz brzęk owadu, jego ruch, jego sposób wchodzenia przez szparę-wrota. I słyszał wyraźnie to co wreszcie sam wymówił za nimi.

— Matka jest.

I wtedy dopiero usłyszał gdzieś opodal w łożach głos ludzki gniewny, skarżący i poznał głos Cota.

— Proszę Pantery, co to za życie! To dobre dla starych, albo dla mizantropów. Zresztą dla dziwaków i odludków. Ale ja kocham i ja chcę żyć! I mnie nikt nie rozumie! Ja tu nie chcę być, ja tu oszaleję! Ja tak strasznie za nią tęsknię!

— Ciężka bieda! ozwał się głos Pantery. To czemuż nie drapniesz stąd. Ja cię na skraj lasów wyprowadzę i leć do lubej. Tuś nam też tak potrzebny, jak zdun w lipcu.

— Kiedy matka mi nie dała pieniędzy.

— To sobie na drogę zapracuj.

— Gdzie, jak?

— A ot. Ryby nałów, ususz, norbę naładuj i sprzedaj. Albo wyszukaj gniazdo remiza, strzyżyka lub czyża. Wódz mówił, że to można sprzedać do kolekcji. Jabym na twojem miejscu i tygodnia nie zwlekał. Za czem człowiekowi tęskno, to trzeba dostać. A zresztą możesz i „na gapę“ pod ławką w wagonie jechać. Żydzi tak robią dla miłości rubla, to i ty możesz przez miłość dla kobiety.

Coto umilkł. Wszystkie te sposoby nie trafiały mu jakoś do gustu.

— Żebym ja mógł pożyczyć pieniędzy na drogę, bąknął.

— Hm! odparł Pantera. A skądże oddasz?

— Mama musi mi dać.

— Na podróż do ukochanej? Toby ci odrazu w Warszawie dała, zamiast tu przysyłać, żeby chciała twym amorom dogadzać. Na taki interes nikt ci nie pożyczy. Całkiem bieda, rekrucie Coto. Zamiast takiej pożyczki oszukańczej, to jest szczerzej i prawdziwiej, zaczej się w nocy przy trakcie i obedrzej słabszego i głupszego. Albo stań pod kościołem i lamentuj: litościwe osoby choć grosik dla poratowania zranionego serca!

— Pantera żartuje, drwi ze mnie!

— Co zaś! Jakbym w twej desperacyi był, tobym tak zrobił.

Tu Rosomak, czując potrzebę interwencji, rozsu-

nał firankę łozy i wynurzył się za plecami rozmawiających. Coto zerwał się przerażony. Pantera zaświecił zębami w uśmiechu i dalej obdzierał łożę z kory, kunsztownie zwijając łyko na chodaki.

Rosomak wziął się też do tej roboty, a zawstydzony chłopak stał, nie wiedząc, co ze sobą robić.

— Wszystko to racya, ozwał się Rosomak, jakby od początku do rozmowy należał. Nudno ci tu, boś głuchy i ślepy na ten świat, co cię otacza. Te oczy i uszy otwierają się zwykle później w życiu, jeśli się wogóle otwierają, bo większość ludzi organów tych wcale nie posiada, i zupełnie braku ani potrzeby nie czuje.

— Racyą też bardzo despotyczną w ośmnastym roku życia jest miłość i bardzo tej twojej chorobie współczuję bom ją też w swoim czasie przechodził. Żebyś jednak, wedle rady Pantery, stąd umknął do Warszawy—swej ukochanej tam nie znajdziesz, bo wyjechała z dziećmi do Ciechocinka.

— To ona ma dzieci? zaśmiał się Pantera.

— Czwororo. W tem córka piętnastoletnia.

— Coto!—zawołał Pantera tonem zgrozy i śmiechu.

— Wcale mu się nie dziwię. W jego wieku kochałem się na zabój we wdowie, która miała wnuka. Ale nie o to chodzi. Pytam, czy chcesz, abym ci dał pieniędzy, aby wbrew woli matki, no i zapewne w tajemnicy przed nią, jechać do Ciechocika, do pani profesorowej?

— Ja, proszę wuja, chciałbym wrócić do Warszawy, bo ja tu czuję się taki niepotrzebny—i—i nudzę się.

-- Do Warszawy odesłać cię nie mogę, bo na prośby matki tu jesteś. Cóżbyś zresztą tam robił. Wiesz, że matka pojechała ze starą ciotką do Odesy. Więc się namyśl do jutra. Jeśli postanowisz jechać pójdziemy stąd do domu, gdyż tu pieniędzy nie mam nigdy, tam je dostaniesz i napiszesz mi kwit, że na stanowcze twe życzenie opuszczasz mnie i odjeżdżasz do Ciecho-cinka. Muszę mieć dla twojej matki ten dokument.

— Nie, wuju, nie potrzebuję do jutra się namyślać! Tak—nie chcę.

— Więc czego chcesz?

— Chciałbym, chciałbym, sam nie wiem, chciałbym tu czemś być, coś robić.

— Nie być rekrutem Coto! zaśmiał się Pantera.

— Nó, to zrób parę chodaków, kosz na ryby, sidła na ptaszki, tysiąc rzeczy najbardziej łatwych i prostych. Wierzę, że ci się nudzi, jak żyjesz w takim ludnym kraju, a ni mowy, ni obyczaju ludu nie znasz. ba, nawet i nie rozpoznajesz jednego oblicza od drugiego. Chcesz, zadam ci siedm robót, a jak je spełnisz, to ci obiecuję, spełnić siedm twoich życzeń.

— Wuj się na mnie gniewa? szepnął chłopak nieśmiało.

— Ani trochę. Rozumiem cię i chciałbym żebyś się przemógł, ale krępować nie chcę. Tu wszystko żyje swobodnie i w górę—ku słońcu. Zanim Pantera ci te siedm robót wymyśli, chodź ze mną, pokażę ci tutaj tłum. Spojrzał na słońce i dodał:

— Mamy półtorej godziny do południa.

Coto spojrział na zegarek:

— Wuj na minutę nie chybił. To sztuka.

— Ja większą sztukę potrafię, rzekł Pantera. Wódz musi na słońce spojrzeć, a ja ino kiszek posłuchać. I wiem na jakie idziesz widowisko. Wódz posadzi Edwarda czy Kunegundę na *starku* wleziecie pod *szaterek* i będziecie *kuwiekać* na ptaszki. Ja ci jutro pokażę podobny spektakl u wodopoju przy Tęczowym Moście.

Ruszyli. Rosomak spytał:

— Znalazłeś już dużo gniazd?

— Nie mam szczęścia. Łażę i łażę, drapię się na drzewa, znajduję puste.

— Nauczę cię. Uważaj. Tu u nas, na drzewie w drzewie, na krzaku, na ziemi, na kępie, na wodzie lęgnie się ze trzysta gatunków ptactwa. Z tego siedm-dziesiąt najmniej można znaleźć tuzinami łatwo, reszta wymaga większych starań, a już ze trzydzieści należy do wielkiej sztuki obserwacji lub wprost szczęśliwego przypadku. Mam kolekcję dwiestu gatunków, a teraz rocznie przybywa mi ledwie po kilka, a są takie których szukam od kilku lat bezskutecznie. Ty nie kolekcjonowałeś niczego w życiu.

— Ach owszem: owady, marki pocztowe, monety. W tym roku jakoś się zniechęciłem.

— Pisziesz pewnie, tworzysz?

— Zkąd wuj wie? Mama pisała?

— Nie. Ale kto uważa, ten poznaje dużo obyczajów—nawet ludzkich. W maju wszyscy mają świetne szaty i śpiewają. Kto z ludzi ma ośmnaście lat przeżywa maj. Pisz, chłopcze, śpiewaj, marz!

— Jabyś jednak chciał znaleźć te gniazda, których wuj szuka od tylu lat.

Uśmiechnął się Rosomak.

— Dobrze. Tymczasem pokażę ci jak się szuka tych dwiestu, które już mam. Zwolnił kroku i wskazał, nie przystając, krzak czeremchy.

— Widzisz tam, na lewo, o metr nad ziemią, ten pęk kwiatów i ciemną plamkę. Tam siedzi na pięciu jajkach gajówka mniszek. Pan ma kapturek czarny, pani rudy.

W południowych godzinach pan panią wyręcza w nudach wylęgania. Ona tam ot na tej brzozie czyści pióra i rozpręża skrzydełka.

Coto wytrzeszczał oczy, wreszcie stanął. Z czeremchy wyfrunął „pan“ spłoszony, zatrwożyła się „pani“, patrzeli ze zgrozą na potwora co rozchyłał gałęzie krzaku.

— Mogę wziąć jedno jajko?— spytał Coto.

— Jeśli jasne, to jest mało zalęgłe. Inaczej zniszczeje przy wydmuchiwaniu.

— Mam początek kolekeji— ucieszył się Coto, pokazując zdobycz.

Rosomak sięgnął do jednej ze swych kieszeni i dał mu szklaną tubkę, założoną watą. Było już na dnie rdzawo nakrapiane jajeczko.

— A to czyje?

— Sikory czubutki, znalazłem wczoraj w starym wiewiórczem gnieździe.

Coto zaczął oglądać każdy krzak czeremchy.

— Pilnuj też jałowców. To kopalnie gniazd. A ot

na brzozie kunsztowna kobiałka zięby, widzisz, przyklejone do tej rosochy, jakby zgrubienie pnia.

— Wdrapię się.

— Jazda.

Poskoczył chłopak. Wdrapywał się dość niezdarnie, wreszcie obłamała się gałąź i spadł.

— Czekał!

Rosomak wyjął z torby sznur z hakiem na końcu, zarzucił zgrabnie na rosochę.

— Masz pomoc. Opasz się końcem, masz węzeł w środku, wciągaj się.

Wciągnął się Coto.

— Co za cudny koszyczek, wyłożony czerwonymi jedwabniami nitkami, dwa jajka, jak kamyki szaro sine w plamki ciemne.

— Weź jedno. Dopiero łąg zaczęły, może się nie doliczy.

— Ale jak zniosę na dół.

— Ano w dziobku, jak kukulka swoje podrzuca.

Coto z ostrożnością umieścił zdobycz w tubce.

— Ależ wuj ma oczy!—zachwycił się.

— Leśnego ludzia, jak mówi Pantera. Ja wiem gdzie kto mieszka w moim świecie—trafiam!

Teraz Coto zaczął potykać się, bo oglądał każdą brzozę i czeremchę.

Raptem z pod nóg porwała mu się malutka żółta szara ptaszyna.

— Wuju, tu coś jest!—zawołał gorączkowo, padając na ziemię.

— Jest, świtunka lub piecuszek, nie uważałem,

tak, świtunka, bo samezyk lamentuje, słyszysz, pi—
pi— pi, ostrożnie, bo rozdepcesz. Domek ma wejście
z boku, przy ziemi, może pod tą suchą paprocią. Masz?

— Nie, tu nie niema.

— Dobrze schowana. Szukaj, nadsluchując na
lament, im głośniejsze, jesteś bliżej. Zupełnie jak dzie-
cinna zabawa w „ciepło i zimno“.

— Jest, jest. Otworek, na ziemi mnóstwo jajął
jak pacioreczki.

— Weź jedno i umykajmy, bo strasznie lamentują.

— Wuju, to już naprawdę moja znajda, pierwsza?

— Tak, ino nie mów Panterze, bo cię przezwie-
piecuszkiem lub świtunką przy leśnych chrzcinach.

— A kiedy będą moje leśne chrzciny?

— Gdy ci się otworzą leśne oczy i uszy i gdy po-
czujesz leśną duszę w sobie.

Coto przyglądał się szarej polance pokrytej ze-
schłą trawą.

— I jak się to uchowa. Pod każdą stopą, bez za-
dnej ochrony. Na pastwę wszystkiego.

— Uchowa się. Za kilka tygodni wyleci gromad-
ka, będzie się radować latem; jesienią powędruje za
morze, ani dba, ani się troszczy! Ma wielką moc w so-
bie, słucha Prawa i wierzy, że życie dostało, by żyć,
a zatem żyć będzie. Właściwy byt ziemi stanowią sła-
bi i mali, a posłuszni swemu zadaniu. Słyszysz go?
już się raduje. Potwór minął, samiczka wróciła do cha-
łupki, a on tam na najwyższych czubach olszyn uwija
się, żeruje i niewielki śpiewak powtarza swą melodyj-
kę: cilp, calp, calp! Cilp, calp, calp. Od wczesnej wio-

sny do późnej jesieni go słyszę i muszę się do niego uśmiechać, takie to zabawne.

— Teraz i ja go słyszę i zapamiętam.

Rosomak przystanął.

— Widzisz ten olbrzymi jałowiec? Od trzech lat znajduję tam gniazdo dzwońca. Co roku pewnie ta sama para dobudowuje wyżej, że aż stąd widać mech. Zobacz, czy szczęśliwie przezimowały i czy mieszkają.

Coto poskoczył, rozchylił z trudem zwarte igłowie, wspiał się na palce.

— Jest trzy jajka—błękitne, czerwone centki.

— Ano—to szczęśliwie wróciły. Niechże się latem cieszą.

— Wuj to każde drzewo zna.

— Prawie. Są znajomi bliżsi i dalsi. Są wybitne osobniki w tym narodzie: jedne wiekiem stare, inne urodą wspaniałe, inne wdziękiem za oczy chwytające. Niema dwóch jednakich—ino patrzeć. Tu można patrzeć, poznawać, rozróżniać, aż się żyje wśród wielkiego towarzystwa, złożonego z tysięcy jednostek. Nawet ich charaktery poznać można, obcując, jako my. Żuraw z Panterą imionami zwą różnych znajomych i całe historie o nich prawią, gdy w niedzielę oddajemy wizyty.

— Jakto?

— Ano zobaczysz! Pojutrze niedziela.

Szli chwilę w milczeniu, wreszcie Coto się odezwał:

— A jakich gniazd wuj dotąd nie znalazł?

— Podróżniczka, remiza, strzyżyka i trzciniaka

świerszcza. No i czyż, który wedle legendy kładzie doń jakiś kamyk, co je czyni niewidzialnem.

— Ale ja i o tych ptakach nigdy nie słyszałem, ani je znam. Wuj mi da ornitologję.

— Pięć w różnych językach, z barwnemi tablicami.

— To wracajmy do domu. Zaraz się biorę do roboty.

— Wróćże sam—ja jeszcze zboczę w te łązy.

Coto obejrzał się bezradnie.

— Nie trafię.

— Spróbuj. Kieruj się ciągle na wschód. Po drodze miniesz polankę z wielkim świerkiem, który ci ma być po lewej ręce, potem przejdiesz około trzech brzoź—jedna ze złamanym wierzchem i znajdziesz we wrzosach ścieżkę. Przy starej choinie, gdzie kupę szyszek naniósł dzięcioł, skręć na prawo i tam już trafisz na szlak od Tęczowego Mostu. Jakbyś zbłądził nie nerwuj się, usiądź i słuchaj—za mały czas Żuraw z chaty da sygnał obiadu. Wtedy posłyszysz klekotkę Hatory łakomej i ta cię na polanę doprowadzi.

Coto pokręcił frasobliwie głową, westchnął i zawrócił.

Rosomak poczekał, aż zniknął w gąszczu, i uśmiechając się, zdaleka ruszył za nim. Chłopak zabłąkał się po chwili—zaczął kluczyć, kręcić się w prawo i w lewo, wreszcie po wielkich trudach dobrnął do polanki za świerkiem. Wtedy posłyszał sygnał obiadowy, a wnet „bambole“ Hatory.

Gdy jej rogaty łeb ukazał się w haszczach, Coto

odetchnął i puścił się jej śladem, na nic nie zważając. Ale Hatora też nie pilnowała się żadnego szlaku—rznąła prosto — łozy nie łozy, błoto nie błoto, ruczaj nie ruczaj.

Szczęściem, że była syta, więc się zbytnio do obroku nie kwapiła, boby jej nie sprostał.

Zziajał się, zamoczył, podrapał twarz i ręce—aż spocony wydostał się na szlak szerszy i ujrzał przed sobą śmiejącego się Panterę.

— Po łoskocie myślałem, że jakiś niedźwiedź zmarwychwstał i goni Hatorę. A to ci pilno do miski, rekrucie. Brniesz jak łoś, na prostki, przez bagno!

— Pantera wie, żem sam, sam, znalazł gniazdo świtunki. Mam jajko!

— Drozdowa codzien w kurniku też znajduje jajka! Taka sztuka! Switunka! Wielka mi parada! Ja znalazłem hajstra.

— Co to takiego?

— Czarny bocian leśny. Wódz się ucieszy. Niedaleko było tego miejsca gdzieś łożę darł.

— Będziemy razem wydmuchiwać!

— Razem to trudno, ale zaraz ci pokażę jak się robi—ino chudobę obrządę.

Pobiegli oba do osady. Oparty o plot już Rosomak czekał.

— Nie zbłądziłeś?—spytał.

— Owszem—ale uratowała mnie Hatora.

— Nie lże—będą z niego ludzie!—rzekł Pantera.

Coto poprosił zaraz o podręczniki i nawet nie czuł głodu, tak się tablicami zajął.

— I to wszystko, to mnóstwo, tu jest, żyje, gnieździ się, śpiewa—zawołał zdumiony, gdy zasiedli do posiłku.

— Alboż tylko to! A ssaki, a gady, a owady, a rośliny. Tu jest tylu mieszkańców na ziemi, co gwiazd na niebie.

— Ludniej jak w mieście stołecznem.

— Tylko wybieraj z kim chcesz zawrzeć bliższe stosunki. Damy ci listy polecające: ja do ryby i gadu, Żuraw do badylów, wódz do ptaszego rodu!—rzekł Pantera.

— Onegdaj byłem proszony na wesele jaszczurek, z Wdowiej Polany. Galanto się odbyło: pan młody miał zielony fraczek, panna młoda kostyum popielaty—bo zaraz pojechali na miódowy miesiąc pod wykrot wśród wrzosów. Sikory naturalnie plotkowały, żaby grały, drozd odśpiewał: Veni Creator—były różne mowy i przemowy familii, alem zapomniał co prawili—wiem tylko, że w posagu był pień zmurszały pełen liszek i mrowisko przy nim.

— Do ptaków mam największą ochotę.

— To wodza stosunki. Ale jak cię gadzina utnie to nie będziesz gadu lekcewał. A węzowego króla ze srebrnym kamykiem na głowie wódz ci nie pokaże— a ja wiem, gdzie mieszka.

— No i „domowego“ też mu pewnie pokażesz—uśmiechnął się Żuraw.

— Dajno tymczasem jaja do spreparowania — rzekł Rosomak.

Zajął się Coto, zainteresował, ciągnęło go do ta-

blic, i do tekstu, i do kolekcji, i do puszukiwań, i ledwie doczekał końca południowego obrządku i rozporządzenia zajęć i wypraw, aż pełen zapachu znalazł się na ścieżce, obładowany sporą torbą, krocząc za Rosomakiem, który niósł na ramieniu rozwidloną tykę, a w ręku wypchanego puhacza.

Wyszli na piaszczyste polany—zrzadka brzoza i sośnina porośłe i zatrzymali się wreszcie u wielkiego krza jałowca. Spojrzał Rosomak na słońce.

— Trochę za wcześnie. Długo posiedzimy, ale to dobra dla ciebie próba. W ptaszniczym fachu—należy mieć cierpliwość indyjską. Ptactwo najruchliwsze jest rano i wieczorem—o południu lubi siestę. Masz dobry wzrok?

— Niezły.

— No to zajmujemy stanowisko.

Na szczycie drążka umieścił puhacza i wbił tykę mocno w ziemię—tuż przy jałowcu. Z torby wydobył coś w rodzaju namiotu z lekkiej zielonkawej tkaniny i rozstawił na patykach, nadając kształt jakby rozszerzenia krzaku; na szczycie przytwierdził pęk sosnowych gałęzi. Wsunęli się obadwa do środka, zasunęli wejściową szparę.

— Usiądź jak najwygodniej i nie ruszaj się.

— Myśliwi na cietrzewich tokach siedzą w budkach z gałęzi, na mrozie, czasami sześć godzin—to ciężkie; trzeba cierpieć, bez ruchu. Nam tyle czasu nie trzeba. Tyka nazywa się w starym łowieckim języku: *stark* a nasza kryjówka *szaterek*. Teraz wyszukaj w tkaninie parę okrągłych otworów i wyglądaj.

— A na co polujemy?

— W ten sposób można polować na jastrzębie, wrony, sroki, sójki. Nie znoszą pułacza i, ledwie go dojrzą, napadają z wraskiem. Kiedyś miałem żywego w tym celu i przez jedną jesień zastrzeliłem różnych rabusiów sto kilkadziesiąt sztuk.

— To szkoda, że wuj nie wziął strzelby.

— Teraz niechętnie mieszam się do spraw tego państwa. Nie czuję się w prawie wydawania wyroków i spełniania kary. Tutaj panuje ład i większy od mojego rozum. Wszystko w tym świecie się wiąże, uzupełnia, spełnia jakiś obowiązek, służy jakiemuś wielkiemu, często dla nas niezrozumiałemu prawu, utrzymuje przemądrą równowagę. Obserwując, przekonałem się, że kto staje się nad prawo zuchwałym, silnym, drapieżnym—nawet za licznym—bywa doprowadzonym do miary—wyrokiem Władzy, co tem rządzi. I już chyba bardzo rzadko, gdy mnie zaślepi mój rozum—występuję czynnie, w obronie małego i słabego. Patrzej, uważaj! Jak zwykle pierwsze sikory dojrzały pułacza i popłoch wznoszą.—Zniżył głos i objaśniał.

— Sikor mamy pięć gatunków—tych pospolitych. Ta żółtawa z czarnym krawatem—to bogatka—największa, najzwyklejsza; tanta na brzoźce—to modraczka—istny błękitny klejnocik. Uboga, sosnowka i czubatka jeszcze nie dosłyszały wieści. A oto zlatuje zięba—samiec—z ceglastą kamizelką no i, rozumie się, buńczuczny karzeł—wołowe oczko—tenby na orła się rzucił. Widzisz?

— Widzę! Jakie to cudne.

— Oho — już i reszta drobiazgu w sukurs leci. Rudzik — ten z pomarańczowym przodem — gajówka mniszek i malutka piegża, i żółtawy zaganiacz i kropkowana spodem muchołówka. Patrz co za gromada. A teraz flegmatyczne poświerki się ruszyły. A wszystko łąje, wymyśla, klnie, uraga, jedno drugie podjudza. Wiec!

— A ten, taki centkowany — co tak szyję wyciąga, wyciąga i głową kręci?

— To krętogłów! Spryciarz, symulant. No, ale teraz musimy ratować puhaacza. Już skrzeczą sójki i sroki — i ot — jastrząb wisi nad polaną. Skończone widowisko, bo dojdzie do awatury, polecą pierze z puhaacza, i nasza sztuka drugi raz się nie uda.

Rozsunął Rosomak płótno i rozprostował członki. Śpiewacza rzesza rozproszyła się — obsiadła dalsze drzewa, rajcowała, cudowała, wreszcie rozpierzchnęła się po le się, roznosząc żalosną wieść.

— Zbójca ze Starych Chojarów, ukazał się w jasny dzień na Wdowiej Polanie! O dolo, o losie! Wrócił, wrócił.

— Cyt, cyt, cyt! — uspakajały sikory. — Leśny duch go dojrzał — ukazał się — pojmał go — uwięził! Cyt, cyt! Za kratę wsadził!

— A jak nie uwięzi, to nie, to nie, to nie! Ja mu jutro oczy wydziobię! — woła zziajany królik malutki.

A Rosomak wracał z Cotem i ten, cały przejęty, „wydawał“ lekcję.

— Już niektórych znam — tych barwnych: zięba,

rudzik, modraczka, bogatka! Mam w oczach! Teraz będę czytać ze zrozumieniem.

— Zaludnia ci się pustka tutejsza.—Tu Rosomak uszu nastawił na jakieś fujarkowe gwizdanie i skreślił w tym kierunku.

Natknęli się na Żurawia, który, idąc zamyślony—zasłuchany, pogwizdywał na fletni z wierzby.

— Kosy ci będą odpowiadać, tak doskonale je naśladujesz.

— Jak się dobrze wsłuchasz—odnajdziesz rytm kujawiaka w kosiej aryi.

— Dokąd idziesz z workiem na plecach?

— Ano piątek. Chleb nam mieli dostawić do Tęczowego Mostu.

Rosomak pozbył się swego ładunku, ukrył pod płachtę puhacza.

— To chodźmy też na koncert.

Ruszyli ścieżyną za Żurawiem.

— Teraz słuchaj! Nie patrz, nie myśl, tylko słuchaj!—szepnął do Cota.

Zbliżał się późny, pogodny, majowy wieczór, pora najświetniejszych aryi.

Coto oczy przymknął, cały się w słuch skupił. Zrazu słyszał tylko gwar—potem zaczął w zgrai akompaniatorów i orkiestry rozróżniać solistów.

Na tle monotonnego poszumu puszczy i akordu zabiego—ze szczytów drzew brzmiała pieśń, duet srebrnego gwizdania. Powtarzał głos tenorowy, pierwszy, flecik Żurawia.

— To drozd śpiewak i kos, popisują się!—szepnął

Rosomak.—Kos trzyma prym!—Jakby wyrwasy tanczników, krótkie przyśpiewki mieszały się z duetem.

— To zięby i trznadle hulają i dwuwiersz podają:

— Hejha! Chłopcy z dziewczuchami, ostro!

— Brawo, brawo, brawo!—rzuciła przelatująca kukułka.

A wtem zgłuszył i zakasował duet mistrzowski trel słowika.

Rosomak kapelusza uchylił.

— Cześć, mistrzu Bekwarku!—uśmiechnął się.

Lutnista opanował całą rzeszę śpiewaczą. Górował nad chórem i orkiestrą, zmógł wszystkich. Kunstowna, pełna łkań, namiętnych zwierzeń, miłosnych szeptów, zapamiętałych przysięg i zachwytów płynęła pieśń miłosna wiosny.

Uciszyło się wokoło; ludzie przystanęli, zasluchani. Żuraw flecik swój wsunął w zanadrze.

Nagle pieśń się urwała. Rosomak wskazał na szary cień, przemykający wśród gałęzi.

— Bandyta!—rzekł.

— Sowa zbój, zbój, zbój!—zapaplały sikory czujne i popędziły wślad za nią.

W głowie Cota formowały się słowa, rytm, napływały rymy. Czuł, że napisze śliczny sonet.

A oto stanęli nad Tęczowym Mostem.

— Zostań tu! Za chwilę wrócimy—rzekł Rosomak, wchodząc z Żurawiem do brodu.

Plusk i rozmowę ich słyszał zrazu Coto a potem zajął się znowu koncertem.

Tu nad wodami nie było solistów—tylko gwar wiecowy, okrzyki, oklaski, gwizdy, śmiechy, nawoływania, przerywane ponurem warczeniem bąka.

Aż surmy żurawie zagrały donośnie hejnał wieczornej straży.

Obładowani tygodniowym zapasem chleba wyszli z brodu Rosomak z Żurawiem.

— A co to krzyczy tak przeraźliwie?—spytał Coto.

— To ze swych letnich legowisk pułki żurawi tak codzień witają i żegnają słońce. Czas do chaty.

Gdy stanęli na polanie znaleźli Panterę zajętego ściąganiem z trawy i gałęzi upranej bielizny. Hatora i Łatana Skóra ze swą miniaturką-córeczką—chodzili za nim—dopominając się obroku, Kuba pokazywał łamane sztuki na lipie, ogień błyskał z chaty.

— Zrewidowałeś kosze rybne, Pantero?—spytał Rosomak.

— A jakże, alem ryby nie sprawił. Czeka na Cota.

— Owszem, owszem!—ofiarował się ochoczo chłopak, porywając mokry worek, na specjalną do tej roboty ławkę przy wodzie i zapamiętane wziął się do dzieła.

— Warjacie, zapal *kurodym* i okryj plecy płachtą, a to cię komary pożrą,—wołał mu Pantera.

Istotnie plaga błot była klęską tego rajy, ale Coto postanowił znieść cierpienie jak czerwonoskóry Indyanin i nawet gwizdał przy robocie.

Po chwili Rosomak przyszedł mu z pomocą i dym fajki odpędził ćmę.

— Widzę, że nasz rekrut chce się do szczepu leśnych ludzi wkręcić.—rzekł Pantera, stając nad nim.

— Chcę!—rzekł Coto, rękawem ocierając twarz, że stała się krwawą.

— I zdaje ci się bohaterstwem dać się na łup komarom. A właśnie obroń się im — to leśna sztuka. Patrz, nam mniej dukuczają. Wódz broni się fajką, Żuraw jakimś octem swego wynalazku, a ja mam ziele. Mała Łatana Skóra jużby zdechła, żebym jej nie smarował codziennie trzy razy.

Ruszyli do chaty z oczyszczoną rybą i Coto spytał:

— A właściwie kiedy ja będę leśnym *ludziem*? Mnie się zdaje, że już wiele rzeczy umiem, już nie błądzę—ptaszki rozpoznaję.

— A leśnego ducha widziałeś? Nie zląkłeś go się? A byłeś w nocy w puszczy? A szedłeś przez trzęsawiska, co się gną pod nogami jak skorupa? A pływać umiesz? A wiesz co robić jak cię w wodzie kurecz chwyci? A potrafisz się poratować, gdy cię daleko od chaty żmija utnie? Hej, hej, rekrucie, daleko ci jeszcze do bytowania w tym raju!

— Nauczę się! —uparcie rzekł Coto.

Zasiedli do wieczerzy i Żuraw rzekł.

— Oznajmiam, że kładki do ludzkich siedzib musiały już z wody wyjrzeć, bo miałem już dziś pierwszą pacjentkę. Baba z febrą i wrzodziankami.

Bardzo się ucieszyła, że jesteście i skończone moje dni spokojne!

— Można by kładki popsuć.

— Chłopi jak bobry—zreperują w mig. Trudno—trzeba radzić—przysięgłem!—westchnął Żuraw.

— Pojutrze niedziela, Coto!—rzekł Pantera.—Do-
tąd nie bywałeś z nami, boś popłakiwał po krzakach,
ale teraz wiedz, że w święto, po pacierzach, ruszamy
kupą w las i każdy się chwali jakąś osobliwością, któ-
rą przez tydzień wypatrzył. Trza i tobie z czemś wy-
stąpić.

— Jutro cały dzień szukaj leśnego ducha. On lubi
w dzień siedzieć pod wykrotami, lub w świerkowych
gąszczach. Małeńki jest, tylko głowę ma wielką i je-
den róg na czole—w nocy cały świeci jak próchno.

Tu Pantera złapał myszkującego pod stołem Tup-
cia i, usadowiwszy go na kolanach, podał mu miseczkę
z ikrą i wątróbkami rybiemi i, gładząc po złożonych
igłach, dalej prawił.

— Domowego naszego chatniego także jeszcze
nie znasz. Jest w każdym domostwie taki skrzat, co
psoci lub pomaga stosownie do humoru. Nasz ze mną
żyje w zgodzie, wodza szanuje, ale dla doktora niema
żadnego respektu. A początek niechęci stąd, że doktor
nasypał kiedyś na podłogę zielonego lukrecyowego
proszku. Skrzat, strasznie łakomy na słodyczne, zjadł—
no—i odtąd znienawidził Żurawia. Prawda?

— Musiał ci się skarżyć!—roześmiał się Żuraw.
Ratowałeś go pewnie w przypadłościach.

— Coto, —zawołał Rosomak —słuchaj Pantery,
potem ci kiedyś stary Odrowąż jeszcze więcej cudów
borowych opowie.

— Ale to sobie zapamiętaj: jeśli chcesz być leśnym

ludziem musisz w sobie zatracić lęk, gniew—a wychować w sobie, aż cię zupełnie ogarnie, miłowanie wszystkiego i wszystkich—co tu z tobą żyją i bywają pod Bożem słońcem.

—A teraz spać—jutro o świcie pójdziesz ze mną daleko—na stary poręb. Będziemy kopać pnie na szczapy.

Coto wyszedł jeszcze przed chatę. Oswoił się z nocą na tyle, że powędrował aż na polanę, unikając jednak bliskości gąszczy i chwilę stał nasłuchując.

Noc w puszczy nigdy niema majestatycznej ciszy nocy pól; w głębiach boru zawsze coś szumi, szeleści, czai się, przemyka, błyska, chrzęści. Żerują, rabują, mordują w ciemnościach.

Ptaki dwa poczęły krążyć nad polaną lotem nietoperzy, rozległo się żałosne „pau“, „pau“, skrzydła musnęły po skroni chłopaka, gdzieś niedaleko zatrzeszczała sucha gałąź pod niewidzialną stopą. Zawrócił szybko do chaty.

— A każdy z nich pójdzie w tę noc, w te ciemności, drogi nie zmyli!—pomyślał i westchnął. Miał w sobie lęk!

Ale gdy się znalazł pod dachem uczuł się bezpieczny, znużony, senny!

Rozebrał się prędko, i zasnął, oswojony już ze swem twardem posłaniem.

Zbudziło go miarowe stukanie w ścianę tuż przy głowie. Zerwał się i nagle ujrzał straszną zjawę.

W głębi sieni, przy ścianie, patrzyła nań twarz świetlana, wielka, jarząca, żywa. Mrugały oczy świecące, poruszały się usta szerokie, jakby coś mówiły lub

chichotały bez dźwięku. I całe to unoszące się w powietrzu widziadło zda się płynęło ku niemu. Chłopak, zrazu skamieniały z wrażenia, wrzasnął nieludzkim głosem i rzucił się ku drzwiom, w ciemności nie mogąc odnaleźć klamki.

Ale drzwi się otworzyły i głos Rosomaka spytał spokojnie.

— Co ci, chłopcze?

— Wuju, tu coś strasznego się ukazuje.— Jasna poświata majowej nocy objęła sięń—widziadło znikło.

— W ciemności widzialne!—szepnął Coto, trzymając się rękawa Rosomaka, który drzwi zamknął.

— Widzi wuj?—szepnął Coto.

— Widzę!—odparł, kierując się ku zjawie i roześmiał się, zapalając zapalkę.

— Oto, dlaczego wciąż mi brak tutek szklanych!—rzekł.—Pantero!—zawołał głośnie.

Milczenie. Tedy poszedł do izby, zapalił lampkę i przyprowadził Cota do mniemanego ducha.

Do ściany misternie na nitkach i ćwieczkach przytwierdzone były—tworząc dwoje oczu, nos i wielką gębę—szklane tutki pełne świętojańskich robaczków. Wszystko to jarzyło się, ruszało, klębiło. Coto patrzył zawstydzony, ale go Rosomak pocieszył.

— Nie dziwię się, żeś wrzasnął. Ale to spryciarz. No, trzeba to biedactwo wypuścić na swobodę, a że już na świt się zbiera, pójdziemy powitać las przed *lediwuchną*.

— To ptak?

— Skowronek borowy. Tak go zwie nasz sza-

nowny Kluk kanonik. — Pozdejmował całe urządzenie — zajrzał do alkierza.

— Pantera prysnął na nową wyprawę, figiel spłatawszy! Bądź gotów na to, że to nie ostatni i wypelniaj lęk.

Wyszli na podsień chaty i usiadłszy na podwalinie ozuli chodaki. Świat był ledwie perłowy, a głębie przesycone rosą i ciche. Ruszyli ścieżynami niewidocznymi a mówili szeptem, nie śmiejąc ciszy mącić. Rosę, moc powietrza i słowa Rosomaka wchłaniał w swą młodą duszę Coto.

Niedziela.

Dzban świeżego mleka i bochen chleba postawił na stole Żuraw, nie rozpalając wcale ognia na kuchni, więc kwiatów przyniósł Pantera i obetkał nimi obraz Królowej—z komory wyniósł Rosomak dla każdego czystą odzież i bieliznę.

— Niedziela!—zaśmiał się Coto i pobiegł do kąpieli, zostawiając na przyźbie, na pokaz wszystkim, pierwszą parę własnoręcznie splecionych łykowych chodaków.

Był z nich dumny jak z arcydzieła, to też mocno się stropił, gdy za powrotem ujrzał je w rękach Pantery.

— Masz drugą parę na zapas? Bo my dziś cały dzień w pochodzie—obiad w torbie, wrócimy dopiero na noc do chaty. A to partactwo i dwóch godzin nie wytrzyma. Patrz, na podeszwie nie zawleczono podwójnie, uszy przedrą się od sznurka, pięta nie osłonięta. Będziesz sztykutał boso od południa!

I cisnął pogardliwie arcydzieło.

— No, nieźle!—zdecydował pocieszająco Rosomak po obejrzeniu.

A Żuraw popatrzał—i dał chłopcu z zapasu inną parę.

— Zostaniesz boso, żmija cię utnie i będę miał kram z leczeniem!—zdecydował.

Arcydzieło zostało wyrzucone za płot.

Wypucowali się, przebrali, zjedli śniadanie i poszli wszyscy pod krzyż. Rosomak odmówił pacierze, odśpiewali „Kto się w opiekę“.

Coto był przejęty ceremonią i zgorszony, że go Pantera wciąż trącał i oczami pokazywał skrzynkę legową ptasią, zawieszoną wysoko na brzozie.

Ledwie skończyli, Pantera krzyknął:

— Wodzu, dudek jest w tej skrzynce.

— Widziałeś?

— A jakże. Jakaśmy śpiewali: „Ciebie on z łowczych obieży wyzuje“, to łeb wysadził i czub nastawił, taki ufny! Pokazywałem Cotowi, ale nie zrozumiał, że kolegę tam ma!

— A jak się nazywa dudek po łacinie?—spytał Coto.

— Pewnie Coto vulgaris.

— Radzę ci nie cytować łaciny, bo Pantera cię przezwie i tak zostanie!—zaśmiał się Rosomak, patrząc z radością na brzozę.

To już znowu nowy mieszkaniec skrzynek, który?—Zaczął liczyć:—pierwsze osiadły wszędobyłskie sikory: bogatka, modra i uboga—potem czarne muchołówki, krętogłów, następnie szpaki, dzięcioły, dudek siódmy.

— Ósme szerszenie, dziewiąte rude myszy—cytował Pantera—no i my w naszej skrzynce! Dziesięć osadników w puszczy.

— Jazda!—zakomenderował Rosomak.—Torby z jedzeniem na ramię—siekiery za pas, kto jaki sprzęt do swych kolekcji i zdobyczy. Chalupę kołkiem zatknąć, obrok dla towarzyszy postawić u płotu—i w pochód.

Zakrzętał się każdy i poszli.

Dzień był świąteczny, pogodny—za upalny nawet.

— Poświęci nas majowy deszcz popołudniu,—rzekł Żuraw, rozglądając się po niebie.

Idący na czele Rosomak zaintonował ich leśny hymn. Radosna pieśń objęła las i ich dusze jakimś żywiołowym junactwem.

Powiedziesz ty, powiedziesz nas

Na ten słoneczny szlak

Gdzie kwitnąć sercom naszym czas

Gdzie czeka lotu ptak.

— Kto ma zdobyć osobliwą—niech idzie na czoło i prowadził—rzekł Rosomak. Żuraw wysunął się.

— Mam dwa kwiaty i grzyba.

Szli teraz bez ścieżki, jakimś fantastycznym zygakiem—omijając to skłębione gąszcza, to grzęzawice

— Żeby cię tak tu zostawić samego!—rzekł Pantera do Cota.

— Spróbujcie, wybrnę!—odparł zuchowato.

Wreszcie w jakimś drzewnem mokradle złożonem z brzoź podszytych zielskiem stanął Żuraw i wskazał.

Sam jeden;—plama barwy i subtelnego wdzięku—wznosił się smukły kwiat o fantastycznej formie—Kwiat pewny—zwany trepką królowej. Kwiat nie większy od lilii polnej!—zacytował Żuraw i zaraz przy-

padł do ziemi, by całość rośliny zdobyć do swego zielnika.

— Szkoda, — rzekł Rosomak. — Tak cudnie wykwił wśród chwastów — sam jeden, jak piękna dusza wśród ordynarnego tłumy. Wykopać go, z wielką bryłą przenieść do ogródka.

— Racya! Zrobię to jutro.

Rozkoszowali się widokiem długą chwilę aż Pantera, szpiegujący wzrokiem gałęzie drzew, rzekł do Cota:

— Widzisz tę brzozę przy haliźnie, ze zgrubieniem przy konarze na lewo.

— Widzę! — odparł po chwili szukania.

— A widzisz takie czarne dutki — co z tego zgrubienia na wsze strony wychodzą.

— Widzę.

— A wiesz co to?

— Mech.

— Po wierzchu, a wewnątrz?

— Wewnątrz? Pewnie narość na drzewie.

— Wewnątrz ze siedmioro ptaszków, a to ich ogony — to czarne, co na zewnątrz wychodzi.

— Nie może być! Pójdę, obejrzę.

— Idź ostrożnie, bo tam grząsko. To mieszkanie jeszcze jednej sikory. Raniuszek, małe jak orzech — cały ptak — tylko ogon taki wspaniały. Jakim cudem tyle się tego zmieści w tej mchowej chałupce, bo bywa czasem dziewięć sztuk — ale na ogony trzeba ścianać dziurawić.

— Wuj ma takie gniazdo?

— Mam—zresztą tego ruszyć nie można, bo zamieszkałe.

Gdy Coto dotknął brzozy, by się na nią wdrapać, zaruszał się mchowy domek.

Z otworu, misternie okrytego—w boku zaczęły wyfruwać białe kulki puchu, nadlecieli rodzice—powstał zgiełk, pisk.

Jedno tylko piskłę dostał do rąk Coto—obejrzał, pocałował i puścił do kompanii.

— Śliczności! — rzekł wracając.—Doprawdy do kwiatków podobne. Żal mi, że spłoszył.

— Nie to. Czasami takie małe żarłoki zamęczają rodziców za długo. Patrz, jakie to już lotne. Dadzą sobie rady!

Ruszyli dalej, coraz głębiej zapuszczając się w bagna—wreszcie znaleźli się wśród istnego łąnu irysów w kwiecie.

— Złote pole—idziemy do Oka Czarne—rzekł Pantera.—Żuraw pokaże nam wodne cudo! Tylko baczność na kładkach.

Jakoż weszli na jakieś berwiona ślizgie i okrągłe i Coto wpadł jedną nogą w czarną bezdeń. Wyrwał go Rosomak, ale chłopak spotniał z wrażenia lęku otchłani i tak stracił przytomność, że go wzięto za pas i prowadzono jak ślepego.

— Boże, czy to jeszcze daleko?—szeptał wreszcie z rozpaczą.

— No—już. Podnieś głowę—i patrz.

Stali nad taflą czarnej, nieruchomej wody—pokrytej kobiercem kwitnących grzybieni. Staw miał ra-

mę z olch i ponurość jego, samotność, skrytość, zdradliwość — stroiły te śnieżne kwiaty.

— To niezwywy staw, jakieś okno do dna niewiadomego. Mierzyliśmy sznurami, ileśmy ich mieli, ale kamień na końcu tonął w jakiś sluz. A przecie gdzieś znajdują grunt i pokarm te korzenie — i do słońca wydobywają się kwiaty. Niema odmetów bagna, by z nich nie można było wybrnąć duszy do światła, tylko rzadko człowiek ma wolę, wiarę i mądrość roślinnej lodygi! — mówił zadumany Rosomak.

— No — ale gdzie tu cudo, Żurawiul! — spytał Pantera.

Ten rękę podniósł.

— Nie widzisz — tego jednego kwiatu i pąka.

— Prawda! Jeden się urodził jaskrawo różowy. Skąd? Jak? Dlaczego?

— Tam w otchłani bagna żyje widocznie też myśl i fantazya Arcy-Mistrza.

— Ten kwiat zerwać trzeba! — zdecydował Pantera, rozglądając się za sposobem.

Ale kwiat rósł za daleko, by go dosięgnąć było można prętem, lub rzutem sznura, więc Pantera zaczął się rozbierać.

— Daj pokój, — zaprzeczył Rosomak, — pamiętasz, jakiej dostaliśmy wysypki wtedy, przy mierzeniu głębi.

— Wielka rzecz — po trzech dniach minęło.

— Muszę dostać dla Żurawia kwiat. Muszę — już ja wiem dlaczego!

Zaśmiał się i nagi skoczył w czarną głąb.

— Ruszyło gu sumienie. Chce wynagrodzić wszystkie figle i psoty „skrzata”—uśmiechnął się Rosomak.

Pantera płynął jak ryba. Czuć było, że się bawi—bez żadnego wysiłku.

Przy jednej gęstwie roślin się zatrzymał i widzieli z brzegu jak po liściach umknął jakiś ptaszek, wreszcie dopłynął, kwiat zerwał—łodygę wkoło szyi obmotał i zawrócił.

— Wuj mnie nauczysz pływać!—poprosił Coto.

— I owszem—od jutra.

Pantera wydobył się na brzeg i przedewszystkiem wypluł coś z ust na dłoń i podał Rosomakowi.

Było to jajko.

— Tego niema w kolekcyi. Gniazdo było sobie najzwyczajniej na liściu—jak na talerzu pięć jaj. A oto dla Żurawia „skrzat” przyniósł prezent. Biegł ze mną po liściach, kierował, pomagał wyrwać łodygę. Zapomniał o zielonym proszku.

— Dostanie miodu i mleka!—zaśmiał się Żuraw. Przykucnął, puszkę swą roztworzył—i schował starannie zdobycz.

Pantera tymczasem wytarł się nieco trawą i oblekł szaty.

Zawrócili—znowu Coto przedygotał przeprawę kładek i wydostali się na ląd stały.

— A oto macie moją trzecią osobliwość,—rzekł Żuraw, stając na jakiejś polance.

— Osina w kołnierzu!

— To grzyb?—zdumiał Coto.

— Tak — huba drzewna, ale fenomenalnej wiel-

kości. Drzewo napół uschłe. Jutro spiłujemy z obu stron i okaz pomieścimy w chacie. Z biedy można na tem siedzieć.

— Najlepsza hubka do ognia jest osowa—rzekł Pantera.

Tu spojrzął na słońce—i wyciągnął się jak długi.

— Obiad. Krokiem się dalej nie ruszę.

Pokładli się wszyscy. Na polance kwietnie było, sucho—brzęczały pszczoły, ogarnęła ich senność.

— Będzie burza!—szepnął Żuraw, układając się wygodniej.

I zasnęli wszyscy.

Rosomaka zbudził jakiś szelest. Rozwarł oczy—i bez ruchu patrzył. Na skraju polanki, trochę w cień, stała patrząc na ludzi para łosi—matka i dziecko.

Niezdarne, jakby z jakiegoś prabytu pozostałe stworzenia, jakby duchy boru, bóstwa pierwocin ziemi. Ciężkie, nieumierne łby—racice jak ski, potężne kończyny.

Łosza ocierała szyję o drzewo, małe, trochę za matką ukryte, skubało gałązki.

Wreszcie, uspokojona nieruchomością ludzi, samica zamruczała i przeszła obok śpiącego Cota, ciężką racicą wgniotła w ziemię jego kapelusz—małe obwąchało go ciekawie.

W tej chwili chłopak się obudził i zerwał. Zwierzęta dały sus potężny, rozległ się trzask łamanych krzaków—zniknęły w gąszczu.

Teraz się wszyscy porwali i Coto lamentował na opowieść Rosomaka.

— Żebym się nie ruszył!

— Ba—nastąpiłaby na ciebie klempa i takbyś wyglądał jak twój kapelusz.

— Olaboga! Jeść!—zakrzętał się Pantera.

Rozłożyli zawartość torb. Był chleb, ser, suszona ryba, u Pantery w garnuszku kilka ciemnych—mocno spieczastych jaj.

— Patrzcie, smakosza! Czajcze jaja sobie przyrządza!—zaśmiał się Rosomak.

— Zabrałem przez zemstę! Wczoraj na błotach to utrapione ptaszysko skrzydłami po twarzy mnie biło, wrzeszczało, łajało; a wcale mi nie o jej gniazdo szło—ale o podróżniczka, który mi mignął w szuwarach. Nie dała szukać, spłoszyła co tylko tam żyło. Zato niech się fatyguje i troska na drugi łęg.

— Masz, Coto, spróbuj delikatesu.

— Aha—nie ufasz! No to nie dostaniesz.

I Pantera zjadł ostatnie.

— Więc podróżniczka nie znalazłeś?

— Jakto—żebym głupiej czajce dał się za nos wodzić? Przecie wstydby był, żeby Pantera na niedzielny pokaz nic nie miał. Chodźcie. Nim tę rybę zżujem, dwie wiorsty ujdziemy.

Teraz Pantera wysunął się na czoło.

Rosomak mijane ostępy nazywał dla nauki Cota, wrażał mu w pamięć charakterystyczne cechy.

— Patrz—to Proszalna Baba. Czy ci ta brzoza, pogięta jakąś katastrofą, z pokurczonemi gałęziami, z głową przy ziemi, nie przypomina żebraczki u kruchty?

— A ta śnieżna kwiatem, olbrzymia jarzębina, gdy stanie jesienią w koralach, nie Krasawica? Ile jej drożdów, kwiczołów, gilów składa wizyty, śpiewa koncerty, biesiadując!

— A w tym gąszczu ta sosna z kołtunem jakiegoś pasożyta—czy nie Wiedźma?

— A ot „Janosik“—ten świerk masztowy wśród czarnego zagaju.

— Las—jak ludzkie zbiorowisko—ma tłum i jednostki. Górują jedni krasą, inni siłą, inni indywidualnością, inni powagą lat. Patrz na te trzy dęby! Trzej starcy. Zostali sami na tej wielkiej haliźnie. Był kiedyś zwarty ostęp ich rówieśników—jeszcze pnie znaleźć można w jeżynach. Coto za chłopcy na schwał były—taki pułk mocarzy.

— Tych trzech opowiada czasem legendę tradycji—trzeba tylko ich szum rozumieć. Tylu i tylu padło—ścieląc groblę pod armaty i pocztę—za Szwedów—tylu i tylu dało życie za Napoleona, tylu i tylu przeż chciwość i interes poszło splanem kupieckim do Gdańska, a w zamian inni padli na spłat kosztów Insurekcji. Ostatni legli niedawno—jeszcze ich zwłoki zmurszałe sterczą het—opłatanie krzami. Tędy wieszateli Murawiew kazał ciąć tryby i dukty, polując na niedobitki partyzantów męczenników.

— Trzej starcy dużo widzieli. Całą kronikę puszczy znają. Oddajemy im pokłon i cześć.

Odkryli głowy i szli chwilę w skupionem milczeniu, aż Pantera niepoprawny rzekł.

— Mnie się widzi, że ten stary, co mu trochę głowa łysieje, ma lokatora w dziupli.

— Co zaś?—zdziwił się Rosomak.

— Nie wiem. Może ryś? Chociaż tegośmy jeszcze nigdy nie spotkali. Może kuna, tchórz. Otwór wydaje mi się jakby świeżo podrapany. Ja dopilnuję.

— I ja!—szepnął proszaco Coto.

Pantera tylko głową skinął, bo się pilnie rozglądał i oryentował. Wreszcie wnurzył się w las trzein, pokrywających brzeg błotnisk. Las to był zielony góra, zeschły od dołu, wyższy nad ich głowy, tak, że po chwili tylko po ruchu suchych kit można było poznać ich ślad. Stopy kaleczyły haniebnie twarde pniaki i z trudem rozdzierali gąszez. Rosomak głową pokręcił. Nawet on się „cudował“ jakim sposobem człowiek, bez węchu łasicy i oczu kota, wynajdzie w tym zielonym odmiecie gniazdo małej ptaszyny.

To też wędrówka długo trwała; musiał Pantera nie raz zbłądzić, ale wreszcie przykucnął do ziemi, i, rozchyliwszy suche badyle, pokazał im marnie usłane gniazdo z szuwarów, a w niem pięć błękitnawo-kropiastych jajeczek.

Żuraw, mniej zajadły do ornitologii, spytał ocierając pot z czoła.

— Naucz mnie, jak się to znajduje taką igłę w stogu siana?

— Ano tak. Na błocie jest kierz z kitą rogoży w środku—ot ten—a naprzeciw trzeba mieć tamtą brzozę—ot—jak ręce rozciągnąć, a wtedy trzeba szukać—tego!

I zdjął z wierzchołka szuwaru pióro czarne, ciętrzewie przywiązane nitką.

— Pantero, niecnoto! — zawołał Żuraw — dobrałeś się do moich narzędzi — toć jedwab opatrunkowy!

— Nie znam się na tem. Szukałem kiedyś nici — do zeszycia podartej kurty, wziąłem, co znalazłem, — odparł niefrasobliwie Pantera. — Ot, mam resztę w kieszeni.

I oddał mu sumiennie — brudny, splątany węzeł — drogocennych nici.

— Od troglodyty — pierwsze weielenie! — burknął Żuraw, odrzucając śmiecie.

Rosomak troskliwie zebrał gniazdo i jaja do kolekcji i uczył Cota.

— Śliczny i rzadki ptaszek — krewny słowika, ale nie żaden solista. Za to ma śliczną błękitną tarczę na piersi. Niech żyje Pantera za tę zdobycz!

— To i koniec. Wódz się niczem nie chwali. Ani Coto?

— Wybrnijmy stąd i niech zabezpieczę jajka. Widziałem coś ślicznego — ale pewnie poszło. Zaprowadzę was w każdym razie.

— Poszło? Co może być takiego?

Ale Rosomak milczał i, gdy stanęli na trwałym gruncie, wskazał ręką daleko widoczny świerk i tam się skierowali.

Gdy mijali jakąś wrzosem pokrytą haliznę, nagle ujrzeli coś czerwonego — sunącego pędem po ziemi.

— Kuba! — ucieszył się Żuraw.

— Chr, chr — radosne, i Kuba już był na jego ramię, z ziajany, mokry, z bokami zapadłymi.

— I jak to, szelma, nas odnalazł,—podrażnił go Pantera.—Chałupa zamknięta, ani orzechów, ani mleka.

Ale Żuraw czekał widocznie na swego faworyta, bo wkrótce w zanadrzu rozległo się zapalczywe gryzienie orzechowej skorupy i zazdrośne mruczenie, by nikt się nie ważył do udziału w uczcie.

Świerk do którego przyszli po długim pochodzie nie był to „Janosik“—nazywał się „Widz“. Konary gęste i rozłożyste tworzyły jakby stopnie, a na samym szczycie była uczyniona z paru łat platforma. Stamtąd dobrą lornetką można było objąć cały raj leśnych ludzi.

Poszedł pierwszy Rosomak z Panterą i po chwili rozległo się ze szczytu.

— Jest—nie poszło!

Skoczył tedy Coto niecierpliwy. Dał mu Pantera lornetkę—wskazał kierunek.

— Widzisz polankę w gąszczu, brzozy jak wianek wkoło!

— Widzę — i tam coś stoi—skubie trawę — sarna! i coś się przy niej rusza—w ciepki, małe. Jakie śmieszne!

— Wczoraj się pewnie ulęгло! Wypatrzyłem przed wieczorem. Dobrze stąd obserwować—nie płosząc. Zresztą polanka wkoło błotem otoczona—ciężki dostęp.

— I chatę widać—i wodną siatkę, i bezbrzeżne bagna, i Czarne Oko już poznaję i jezioro. Można sobie zrobić, stąd patrząc, mapę—i wszędzie trafić. Jutro zaraz zrobię—zawołał Coto.

— I chmurę widać, co na nas idzie. Oj, bo też skwar trafił! Na ziemię i—hajda na pusty ład—bo tu pioruny lada moment zagrają.

Ukryli pod świerkiem torby i zwierzechnią odzież. gniazdo i puszkę z kwiatem, siekiery i nawet kapelusze—w białiznie tylko i odkrytymi głowy—patrzyli w niebo, oczekując rozkosznej kąpieli.

Wicher zaszamotał lasem, porwał się z nim za bary, zawył nagle, kędyś w puszczy z trzaskiem zwa-
liło się drzewo—błysk oślepiający wypisał na czarnej chmurze swój mocarny znak.

Zakotłowało—lunał deszcz, zadygotało powietrze gromami—wicher darł liście, całe gałęzie—zda się zwali drzewa.

Coto oślepiiony, ogłuszony—spojrzał po towarzyszach. Pantera gryzł suszoną rybę, Rosomak osłaniał fajkę, by mu nie zgasła, Żuraw zdjął koszulę, owinał w nią Kubę, a tors swój w deszczowej kąpieli rozcierał garścią mchu. Żaden nawet okiem nie mrugał na bezustanne olśniewające błyskawice i jakby głuchy był na ryk piorunów.

Coto postanowił też okazać niefrasobliwość i zaczął gwizdać, ale Pantera dość niedelikatnie trącił go w bok.

— Jak on gada — milczeć robakul — krzyknął wśród huku gromu.—Jest czego słuchać z uwagą. To też Boży wykład!

— A jeść suszoną rybę wolno?

— Wolno, bom głodny. Ale nawet głupi kos wie,

że gwizdać podczas burzy nieobyeczajność chamska jest! Ot, masz karę.

Z chmury wraz z ulewą sypnął grad zrazu drobny—potem coraz bujniejszy. Coto rękami odsłonił głowę, a potem, naśladując towarzyszy, zaszył się ile można pod mech i wrzosa. Lodowe kulki prażyły boleśnie, zabielała od nich polana.

Pantera wreszcie wyskoczył i zaszył się pod jalowiec, umknął też, czerwony jak rak, Żuraw, nie zapomniawszy zabrać owiniętego w koszulę Kubę. Ale był to ostatek burzy. Chmura posunęła się na wschód, wyrzało słońce.

— Teraz klusem do chaty—zakomenderował Rosomak.

Zebrali swe graty i pobiegli. Pantera wnet się na czoło wy dostał i zniknął w gąszczu. Żuraw w biegu naciągał kurtę. Coto, dzwoniąc zębami, płatał się w zdarte chodaki. Rosomak suchą odzieżą osłaniał drogocenne gniazdo. Ale się wnet rozgrzeli i gdy dobiegli chaty parowała ich bielizna.

— Obejdziemy się bez chininy!—rzekł Żuraw wchodząc do izby.

Pantera już rozniecił ogień na kominie i wnet czterech nie leśnych, ale dzikich nagich ludzi, wśród śmiechu przebierało się w suchą bieliznę i odzież.

— Teraz ino spać!—rzekł Coto.

— Doprawdy! A robotę zdać na skrzata—oburzył się Pantera.—Zbieraj te mokre łachy i rozwieś porządnie na strychu. DREW też stamtąd rzuć do sieni—połogę do sucha wytrzeć, kartofli na kolację obrać,

Hatorę wydoić! Widzisz przecie, że tamci już się wnu-
rzyli w swe preparaty, zielne i jajeczne. Jazda!

— Co tu jest jednak roboty!

— Aha, a tyś z początku się nudził i łąził po
krzakach. Tutaj wszystko tak pracuje. Jak się czasa-
mi zmęcze—to tylko popatrzę na tę modraczkę, co
karmi jedenaścioro żarłoków—albo raniuszka, co bu-
duje swe gniazdo! To trochę kłopotliwsze jak nasza
robota!

Poszli boso do szopki. Hatora, sucha, przeżuwała
flegmatycznie, Łatana Skóra była też rozsądnie pod
dachem.

— Patrz, jakie to mądre. Wróciło sobie w porę
do chaty—i patrzy na nas z politowaniem. Wynoś się,
Kis! — odpędził węża i przykucał do dojenia.

— Weź no, Coto, pęk ziela zatknięty za strzechę
i wytrzyj nim małą!

Łatana Skóra obwąchała ziele, ręce Cota i pozwo-
liła łaskawie dotknąć córki. Maleństwo toż przychyl-
nie poddawało się operacyi.

Gdy Pantera skończył doić, nalał mleka w sko-
rupkę dla węża, a potem wynalazł w kącie garnek
i rzekł z cicha.

— Kropelkę też daję małej—ale Żuraw o tem nie
wie. Szkoda niebożątka — jeszcze trawy nie skubie,
a komary tną. Naści, rośnij zdrowo.

Patrzyli przyjaźnie. Wąż wnurzył głowę do mle-
zrebie ssało garnuszek z lubością.

— Pantero, rzekł Coto. Słyszycie—coto tak dziw-
nie terkoce—jak to ptaszek?

— To — posłuchał Pantera — to znak długiej słoty.
To zmija.

— Nie może być! Węże są przecie nieme.

— Chodź — zobacz. Tylko cicho!

Stąpając ostrożnie, zwolna w kierunku głosu ujrzeni na ścieżce do wody zmię. Na pół zwinięta podnosiła tylko głowę i wydawała monotonne — trrr — na bardzo wysoki ton.

Pantera oddał Cotowi skopek, cofnął się do szopki — bez szelestu — i nagle skoczył ku gadowi. Miał laskę w ręku, uderzył raz i drugi. Terkotanie umilkło, błysnął białawy brzuch — i gad martwy rozciągnął się jak sznur na ścieżce.

Pantera zmiażdżył mu głowę i rzutem laski cisnął daleko w gąszcza.

— Ot, masz ptaszka. Rzadko się odzywa, ale głośnie. Straszna moc tego plugastwa tu było gdyśmy osiedli. Zabijaliśmy tuzinami codziennie. Hatora była pogryziona, i klacz, i ja. Tamci boso nie lubią chodzić — więc się ustrzegli.

— Ale, że to nie śmiertelne — ten jad.

— Przecie mamy doktora. Ale gorączkowałem parę dni. Odrowąz nauczył mnie potem jakie ziele pomocne. Zwierzęta je same znajdują, byle dłużej w dziczy żyły. Odzyskują pierwotny instynkt, zatracony przez oswojenie.

Wrócili do chaty.

— Gad trąbi — będzie słota — oznajmił Pantera, trącając Cota i oczami pokazując towarzyszy.

Żuraw w jakieś specjalne waty i bibuły spowij

różowy kwiat, Rosomak wydniuchnął — żaden się nie odezwał.

— A na jadalnym stole tylko chleba.

— Gdzie nasza wieczerza?

— Niedziela — nic się nie gotuje — mruknął Żuraw, a Rosomak przerwał dmuchanie i spytał: — zabiłeś gada?

— Zabiłem, i chcę kartofli suto omaszczonych i gęstych — mam dosyć płynów!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, przyniósł ze spiżarni kartofli i zaczęli je z Cotem obierać.

— W słotę, co robić! Nuda! — rzekł chłopak. — Miałem jutro uczyć się pływać — rysować kartę — pilnować, co mieszka w dębie? A tu siedz w izbie!

— Czasami dobra słota. Mnóstwo się zbierze roboty. Zobaczysz jaki tu bywa warsztat! No, rozpalaj ogień.

Rosomak skończył robotę — wyszedł z chaty i wróciwszy rzekł.

— Tak. Będzie chłód i słota dni kilka. Nareszcie znajdę czas poreperować siatki i kosze.

— A ja, pokatalogować zielnik! — dodał Żuraw.

— A ja, nas wszystkich obszyć i obłatać. — rzekł Pantera.

— A ja? — spytał Coto.

Rosomak wskazał półki z książkami.

— Historję nowych znajomych poznać!

Zapalił fajkę, zdjął ze ściany skrzypce i po chwili zaczął grać.

— Ot, dopiero niedzielny bal prawdziwy! — szepnął Pantera.

Coto się zasłuchał. Jakieś nieznane, dziwne melodie wygrywał Rosomak. Jakby jakaś opowieść to była, baśń, marzenie. Po chwili Żuraw zaczął mu dopowiadać na jakiejś cudacznej, powiązanej z kilku trzcin czy łóz fujarze.

Na dworze wieczór posępny zapadał, niebo zawlezione chmurami ciemniało i gasło. Żarzyły się węgle na kominie, buzował ogień na kuchni—daleki chór żab był cichszy niż zwykle, jakoś krócej odegrały hejnał żurawie. Ale smętku nie było—ni w przyrodzie, ni w muzyce. Czuć było, że za chmurą stało mocarne majowe słońce, że to tylko chwila tęsknoty i zadumy—w młodości.

— Czyje to, wuju!—spytał Coto, gdy Rosomak przerwał i smyk przykręcał.

— Leśne — majowe! — uśmiechnął się grajek, amator.

I Coto zrozumiał, że to był śpiew puszczy, podsłuchany przez leśną duszę człowieczą.

Słota.

Monotonne dudnienie deszczu po dachu zbudziło Cota. Zaspał, bo w chacie panował roboczy ruch, izba zawalona była prętami łoży, łykiem darterem, rybiemi koszami i królował wśród tego Rosomak, już pracą zajęty.

— Leje — rzekł — będzie najmniej trzydniówka. Tamci poszli po kwiat Żurawia.

Pobiegł Coto do kąpieli. Hatora i klacz w otwartych drzwiach szopki rozmyślały, czy warto narażać na szwank swe skóry, i ziewały na przemiany. Kis, błyszczący nową suknią, mizdrzył się w lusterku krynicy — zmoknięte ptaki siedziały pod parasolkami liści.

— Co mam robić? — spytał chłopak, gdy połknął śniadanie.

— Do czego masz ochotę.

— Nauczyć się od wuja koszykarstwa.

— Nie trudna nauka. Wytocz dobrze nóż i szykuj mi, ottak, witki. Dobieraj starannie, gładkie, giętkie, długie. Materjału tu nie brak.

Zaznajomił się tedy Coto z przyborami rybołówstwa, z ich pierwotnem a dowcipnem urządzeniem, z nazwą i teorią użycia.

Łoza, leszczyna, brzezina i konopne sieci stanowiły jedyny materiał—nóż, jedyne narzędzie. Gdy patrzył na ręce Rosomaka zdało mu się, że i robota jest fraszką, tak łatwo łoza się gięła, rozszczepiała, nabierała żądanej formy—wiązała szczelnie i mocno, jak żelazny drut.

Ale, gdy chciał sam pleść i wiązać, wszystko się buntowało, nie słuchało ręki, łamało, rozłaziło się niesfornie. Chłopak zrazu opuścił ręce desperacko i chciał roboty zaniechać, ale zawstydził się i, zaciąwszy zęby, zaczął ze złością z łożą upartą się borykać.

— Psia krew! Ja cię zmuszę! — warknął.

— Nie po naszymu! — pokręcił głową Rosomak. Nie tak nie działasz, przestępując nasz leśny zakon.

— Ta łoza dała nam swe wici na użytek, alem, je tnąc, jej dziękował za dar, a teraz, je gnąc, życzliwie o niej myślę. Nie wolno się gniewać—gniew, jak bumerang, wraca do tego, co go cisnął. Udziela się niepokój wewnętrzny rękom, że szarpia, łamają, psują zamiast tworzyć i powstaje wokoło rozgniewanego i zło życzącego prąd szkodliwy. Przepróż, chłopcze, łozinę—ona dobra—tylko twe ręce niewprawne. Patrz i ucz się najłatwiejszych ruchów, ujęć, łączeń—a ucząc się myśl przychylnie o tem tworzywie i wżyj się w jego charakter i właściwości. Wtedy robota będzie dobra!

I zaczął spokojnie i cierpliwie układać palce chłopaka, kierować jego ruchami.

— Wuj się nigdy nie gniewa?

— Człowiekowi nie wolno używać słowa nigdy

i zawsze. Mogę najwyżej rzec, że staram się gniewać jaknajmniej. Uważaj, nie przyciągaj za mocno tego łyka, a tę grubszą więc przed gięciem przygrzej nad ogniem — to ci się stanie giętsza — a palce lewej ręki tak trzymaj!

— Oj ta dana, oj dana! Rokicino kochana! — zaśpiewał wchodzący do izby Pantera — mokry i ziemią umazany. Przynieśliśmy „trepek królewny“ — na no szach — jak królewskie *regalia*. Ulewa, wicher, chłód — na pohybel komarom i innemu szkodliwemu robactwu. Widziałem całe stadko morskich mew — muszą być srogie wichry na Bałtyku, co je aż tak daleko zagnały. Uparty Żuraw poszedł z piłą do tej huby, a ja mam obiad gotować. Czy jest ryba?

— Jeden pyszny szczupak. Kosz był dziurawy, więc się drobiazg wysupłał.

— Oj — nawet go wódz oczyścił. Udał nam się — wódz! Ale widzę, że Coto ma już bąble na rękach. Przestań partolić — skocz na warzywnik — przynieś szczawiu i nowin! Okryj plecy siermięgą — bo nie nastarczymy suszenia szmat.

Pobiegł Coto — i wrócił z mokrym szczawiem i złemi nowinami.

— Coś wyłamało płot i stratowało kartofle — pewnie Hatora.

— Bardzo proszę nie obmawiać Hatory — sprawka losia, albo kozła! Zaraz zobaczę.

— I korzystając z okazji prysnął od gotowania obiadu.

— Ten byle w chodzie! — zaśmiał się Rosomak — i zaczął sam gospodarzyć przy kuchni.

Pantera wrócił po dobrej godzinie, już nie mokry, ale jak gąbka nasiąkła.

— Zupełnie coś gorszego. Nasze kartofle zwęszyły dziki. Możemy się z nimi pożegnać.

— Mają dobry gust—rzekł filozoficznie Rosomak.

— Można na nie zapolować, kiedy szkodniki—wyrwał się Coto.

— To i na nas można polować—bo my też lubimy kartofle.

— Ale swoje!

— Jeszcze niewielu ludzi szanuje cudzą własność, a ty chcesz karać dziką, pramieszkańca boru. I zabijać—jakiem prawem? Zrobimy koło warzywnika pomost na drzewie i, jak się zanęca, będziemy mieć pyszne studjum. Kartofli dostaniemy u Odrowąża.

— I to racja!—zgodził się Pantera, ale Coto milczał—nieprzejeđnany.

— Takem się spocił onegdaj, motykując—zamruczał.

— My też!—ruszył ramionami Rosomak.—Trud i praca sama w sobie przyjemna i zdrowa, a za kartofle dziki ci się jeszcze odwdzięczą—zobaczysz.

Po chwili wrócił Żuraw: druga gąbka—i ledwie do obiadu „wałęgi“, jak ich nazwał Rosomak, osuszyli siebie i izbę.

Ale potem ulewa i chłód tak się wzmogły, że nikt za próg się nie wychylił. Zaspany Kuba wylazł ze swego baraniego rękawa i ziewając przyłączył się do kompanji, zziębły Tupcio zaszył się w posłaniu Pante-ry — a ludzie zajęli się pilnie robotą. Pantera u okna łatał odzież—Żuraw zajął cały stół atlasami i zielni-

kiem, Rosomak coraz to wyrzucał przed chatę zreperowany kosz. Coto, pomimo bąbli, mozolił się z łożą, ale zamiast wymysłów—pogwizdywał: Koszykarza.

— Możebyś wziął odemnie lekcję łatania, ty, derusie, rekrucie! Patrz, jakeś kurtę urządził. Wisiałeś pewnie na jakimś sęku, zanim całe plecy się podarły

— Ej—mnie się nie chce takiej babskiej roboty—mruknął lekceważąco chłopak.

— Co to jest babska robota? Nie każę ci dzieci rodzić ani karmić—co jest jedyne specjalnie kobiece. Zresztą każda robota każdemu człowiekowi równa. Nawet może ja lepiej łatam jak Drozdowa.

— Pantera zna tylko jedną kobietę — Drozdową.

— Już piętnaście zim swarzymy się — można poznać.

— A Pantera nie miał żony?

— Żony? A ty miałeś?

— Ja jeszcze nie, ale Pantera ma już pewnie trzydzieści lat.

— I siedm, rekrucie. Ale mi to jeszcze nigdy do głowy nie przyszło.

Począł się śmiać i zwrócił do Żurawia.

— Doktorze — możebyśmy sobie pofundowali po żonie?

— *Spirea palustris!*—zamruczał Żuraw, pisząc.

— A wuj przecie był żonaty!—rzekł Coto.

Rosomak milczał chwilę, bo zębami przytrzymywał wicie.

— Tak. Miałem żonę i matkę! Obiedwie zmarły, ale żyją w mej duszy — czczone i bardzo umiłowane.

Dlatego dziwne mi, gdy kto lekko o tych rzeczach mówi—wogóle rozmawia, i równie mi dziwne, gdy sły-
szę wyrażenie: baba, babskie. Zdaje mi się, że tacy
nie pamiętają — co jest matka, siostra, żona — albo są
nieszczęśliwcami, którzy tych trzech rodzajów istot
najświętszych nie mogli kochać, ni szanować.

Coto spuścił głowę i poczerwieniał, ale Rosomak
dobrotliwie po głowie go pogładził.

— Leśny zakon, chłopcze. Miłować, szanować!

Zapanowało chwilowe milczenie, ale niespokojny
Pantera wyjrzał oknem i krzyknął:

— Patrzcie! Nie mówiłem! Dudek wyleciał ze
skrzynki.

— Doskonała okazja prysnąć od łatania i jeszcze
raz zmoknąć! — zaśmiał się Rosomak.

— Nie. Mam dosyć. Tylko nie wiem dlaczego.
jak zwykle w slotę, nie zaśpiewamy chórem. Tylko
niech wódz wtóruje na skrzypcach, bo inaczej nie wy-
trzymam. Żurawiu—zaczynaj prym!

— Poczekaj do wieczora. Terazbyśmy napróżno
sprzątali, by znowu się roztasowywać. Ja za godzinę
kosze oblatam, Żuraw zawalisko roślin uporządkuje.
Tymczasem możemy śpiewać nie kunsztownie—ot, jak
trznadle.

I zaintonował Koszykarza. Coto i Pantera przy-
łączyli się ochoczo, ale bez wielkiego talentu. Żuraw
czasami nerwowo ręce do uszu podnosił, aż wresz-
cie począł spieszenie składać swe rośliny — oswaba-
dzać stół.

— Ratunku, Pantero! Bierzesz jeden ton pierwszy — a potem nagle dwa tony wtóru. Przestań, bo wszystko sobie w uchu popłaczesz.

— Co tam — byle wesoło! odparł figlarz ze śmiechem. Właśnie tak wyciągałem — żeby ciebie rozdroczyć. Teraz będzie koncert.

Coto bawił się całą duszą. Pieśń po pieśni, ludowe, narodowe, kipiące krakowiaki i oberki — smętne rusińskie dumki — płynęły z całych płuc, aż dygotały ściany chaty, aż im się śmiały oczy, pokraśniały twarze. Kuba skoczył na piec przerażony — Tupcio stoczył się z łóżka i ukrył się w kącie, za płotem ukazały się, zapatrzone ze zdumieniem w okno, głowy Hatory i kłaczy. A oni naprzemian śpiewali i śmieli się z uciechy.

— Taka słota się nie sprzykrzy — rzekł wreszcie Coto.

Nie sprzykrzyła się, choć trwała tydzień. A ile się nauczył! Na trzeci dzień już związał porządny kosz na rybę, wiązał sieć prawie tak prędko jak Rosomak, łaty wstawiał geometryczne, a pozatem ile się nasłuchał tajemnic puszczy, ile przewertował atlasów — ile wykłuł teorii z Naumanna, Brehma i Taczanowskiego, a ile się nauczył nowych pieśni, śmiesznych zagadek i przypowieści Pantery, a ile razy zmokł, zmarzł, bez szkody żadnej dla zdrowia, a jak się zżył z towarzyszami — jak się czuł swojsko wśród nich o tyle starszych, a tak młodych duszą!

Aż któregoś dnia dostąpił zaszczytu, że Rosomak posłał go w swoim zastępstwie by przejrzał parę bliższych koszy rybnych! Oni z Panterą założyli w iz-

bie warsztat stolarski i obrabiali brzożową czeczotę na skrzynki, które Pantera fabrykował bardzo kunsztownie zimą.

— Przywiąż sobie od razu dwa pęcherze pod pachy, bo się utopisz!—rzekł chłopcu na pożegnanie niepoprawny kpiarz.

Ale Coto nie był już nowicjuszem. Wylał wodę z czołna i naśladował ruchy Rosomaka powolne, obrachowane. Nawet w braku fajki trzymał w zębach łodygę tataraku.

Parę razy zmylił drogę wodną, ulgnał z czołnem w szlamie, parę „hatów“ nie odnalazł — ale w rezultacie nawet się z głową nie skapał — i ze sporym workiem ryby do domu zawrócił. Nagle wśród jakiejś gęstwy trzcin, w ciasnej „prości“, usłyszał tuż obok głos ludzki.

Jak już zdziechał i stał się ostrożnym na wzór tubyleców puszczy — to okazał jego ruch z jakim wiesłem się całą siłą odepechnął i ledwie się obejrzawszy umknął. Mignęła mu jakaś głowa wyrastająca nad haszcze i tyle.

Gdy wylądował i wszedł do izby z rybą, rzekł. — Widziałem człowieka! — tonem jakby mówił: — widziałem hipopotama.

— Co znowu! W tę słotę! To chyba jakiś śmiertelnie chory do Żurawia.

— Kładki muszą być znowu pod wodą. Żuraw stęknął — i czekał na los.

— A może to był leśny duch. Uważałeś jedno miał oko czy parę? Róg sterczał na głowie?

A Coto szczerze raportował.

— Nie trafiłem do wszystkich „hatów“ — i dwa razy ugrzązłem na mieliźnie. Ale rybę przywiozłem. Są szczupaki i jазie.

— Ho ho! Jakie to już mądre i gadające, ten projekt na „leśnego ludzia“!

Pantera wytrząsł ryby w ceberek i zaczął je sprawiać, a Coto się przebierał u ognia, gdy wtem skrzypnęły drzwi wejściowe i głęboki głos pozdrowił.

— Jakże żyjecie, synkowie?

Zerwali się wszyscy. Oczy Rosomaka zabłyśły tak, jak tylko do swych ukochanych ptaków, uśmiechnął się radośnie Żuraw i wszyscy jednym głosem odpowiedzieli.

— Witajcie, ojcze!

Do izby wszedł olbrzymi chłop. Twarz miał suchą, z orlim nosem, parę siwych bystrych oczu, usta osłonięte przystrzyżonym siwym wąsem — na głowie gęsta, krótka, szpakowata czupryna, a w całości swej typ przepyszny — sarmackiej siły i powagi. Miał na sobie burą kapotę, nogi w rzemiennych chodakach — przy jednym boku borsuczą torbę, przy drugim łubiankę — puzderko — na plecach strzelbę pistonówkę — za pasem rzemiennym siekierę. Pozdrowiwszy — podniósł oczy na Królowę i odmówił ich zwykłą modlitwę: Salve Regina, potem zaczął się rozbierać i zawieszać swe rzeczy w alkierzu Pantery — na zwykłych widocznie miejscach i mówił, odpowiadając na ich pytania.

— Bylbym już u was, synkowie, dawno. Co mi kładki! ja znam przejścia zawsze dostępne. Ale mi

córka rrsztatkę urodziła i trochę zachorzała. Musiałem tedy być za gospodynię i niańkę. A potem chrzciny! Trza było całą „okolicę“ ugościć. Teraz już z wami zostanę, aż przez sianokos. Trawy, widzę, dobre, ale z rybą ubogo w tym roku. Za wielka woda—i jeszcze dolalo. Ale od nowin stanie dobra pogoda. A to widzę chłopak wam przybył do kompanji. Swój, czy cudzy?

— Siostry syn!—odparł Rosomak.

— Jasnooki i czarnowłosy — jako wasz ród. Krzepki w sobie i suchawy—pożyje długo, byle rozum miał. A mądry dzieciuch! Jakem na niego zawołał, to ino okiem rzucił i umknął. Tak chłopcze zawsze czyni, jak w pustce obcego spotkasz. Obcy a wróg to prawie jedno!

Stary był widocznie u siebie. Zajrzał do spiżarni, do sieni, do komory — umył ręce, rozwiesił swą kapotę na ciepłym piecu, rozsiadł się ze swą kobiałką za stołem.

— Gościńce przyniosłem. Tytoń swój zeszłoroczny, na podziw się udał. A te nici na siatkę z samych „płoskuni“, odebrane po zdźble. Nie zerwie się, nie zgnije! A taki pantofel, macie?

— Remiszowe gniazdo!—krzyknął Pantera.

— A to dla doktora, z tej góry piaszczystej nad rzeką.—Bieda było, żyć wtedy jak tą siekierą trzeba było i drzewo ciąć i zwierzyne zabić.

— Przepyszny okaz! — radował się Żuraw.

— Jasiak tego masę nazbierał i trzyma dla doktora schowane w swironku. Są i skorupy—i całe garnki!

— Skarby!

— Jak co, komu! Dobrze uciechę sprawić. Jako mnie kiedyś chorążego strzelba! Nie znaleźliście przypadkiem?

Potrząsnęli głową; była to manja starego odnalezienia strzelby—ukrytej w czasie powstania.

Pantera dostał parę przepysznych rzemiennych chodaków, a resztę zawartości kobiałki stary zaniósł do śpiżarni.

— Magda napchała jaj i manny. Powiada, że czajcze się sprzykrzą! A teraz dajcie no robotę — i powiadajcie—jak się wam wiodło od przybycia.

Zaczęły się opowieści. Stary wziął się do wiązania sieci, oni do swych robót.

Przed obiadem Coto wymknął się za Panterą do obrządku zwierząt — i spytał.

— To ów sławny Odrowąż. A on kto właściwie?

— Mędrzec nad mędrce—w leśnym bycie. On to z nami chałupę stawiał, on nas wszystkiego, co umieć uczył. A dla niego niema nic nieznanego tutaj.

— A on chłop. Bo mnie się zdaje, jakby z Matejkowskich rycerzy ożył.

— Jego pradiady byli dworzanami pradiadów Rosomaka, kiedyś, jak cały ten szmat łądu i wody do tego rodu należał. No i tak trwało przez wszelkie katastrofy. Ten Odrowąż był ze stryjem Rosomaka w powstaniu, uratował go od śmierci i Sybiru—wywiózł za granicę, i ledwie go ubłagano, zmuszono, by przyjął folwark w nagrodę. Ma tedy folwark, dworek, jedynaczkę córkę — tak urodziwą jak ziemia w Maju,

zięcia mruka, ale bardzo porządnego człowieka, Szczepańskiego, wnuka Jasia—no i nowonarodzoną wnuczkę, niewiadomego mi jeszcze imienia.

— Co lato tamci spędzają z nami parę tygodni, bo koszą siano po polanach, ile im siły starczy — w czym i my im pomagamy—a stary, byle miał czas wolny — z nami bytuje. Zina pilnuje naszego raju!

Gdy na trąbkę przyszły do obroku zwierzęta — Odrowąż je obejrzał starannie, uwolnił od kleszczów, których Pantera nie dopatrzył, pochwalił żrebie, dojrzał dziurę w dachu obórki, i zaraz ją zapchał szuwarem, a wracając do chaty rozejrzał się po niebie i ziemi, zawęszył i rzekł do Rosomaka.

— Jutro będzie pogoda, a że woda zgórowała na niższe zalewy — możemy poszukać ryby w szuwarach z nakrywką.

— Wuju—i ja popłynę! — zawołał Coto.

— Terefere kuku! Popłyniesz — ale po ziemi ze mną—i z motyką do kartofli—zaprotestował Pantera. — Kto z garnka żyje—musi do garnka przysporzyć.

Coto milczał—wdrożony do posłuszeństwa leśnego, ale łamał głowę, jakby i robotę złatwić i rybołówstwa nie stracić. Jakoż, zaledwie sprzątnęli po obiedzie statki, chwycił motykę i pomimo słoty popędził na warzywnik. Wrócił tryumfujący przed wieczorem i zastał w chacie tylko Żurawia.

— Odziobałem całe pole. Wolnym na jutro.

— Pantera tego właśnie chciał!

— A gdzie tamci?

— Popłynęli obejrzeć wysokość wody — ot — wracają. Przynieś no wody z krynicy.

Wrócili i wnet się wzięli do porządkowania jakiegoś cudacznego kosza, który Rosomak zniósł ze strychu.

— Podobne do muchołówki — takiej szklanej — zauważył Coto.

— Twój wujko — majster do rybołówu. Zobaczysz, jaka to sztuka.

— To weźmiecie mnie ze sobą?

— Poprobujemy — czyś udały. Rybactwo, to jak w karty grać, ślepa rzecz. Bywa kompan szczęśliwy — bywa i złococzny. Poprobujemy — jakiś ty!

— Umiem już kosz zastawić, i pływać na mnie wuj nauczyć, i racze pieczary znam nad jeziorem, i wiem jak się każda ryba zwie.

— Nawet i taka, co piszczy? — uśmiechnął się Odrowąż. — I pewnie kielbie umiesz łapać.

— Nie — piszczącej nie znam — ani kielbi. Niech mi ojciec opowie o strzelbie z powstania — będę słuchać do północy.

— Hej — gadki się prawi po Św. Marcinie — albo spoczywając w skwarne, niedzielne południe. O tej porze światła nie wypada świecić wieczorem. Ze słońkiem trza iść spać — na żórawia wołanie wstawać.

Jakoż stary kubek mleka wypił na wieczerzę — i zaraz poszedł spać do alkierza Pantery; który zalokował się na stryszku chaty.

Coto postanowił świtu nie zasnąć, ale zbudziły go nie trąby żórawie, ale monotonne, przeciągły głos ludzki.

To Odrowąż odmawiał Godzinki, a na świecie był pogodny ranek.

— No, odwalona słota—wiedział!—rzekł wesoło Pantera, zeskakując z góry i stanął, nasłuchując.

— „Tyś niezwyciężonego plastr miodu Samsona”—to jeszcze dobrą chwilę potrwa—nim dziad skończy—szepnął.—Chodź, pokażę ci pływanie.

Świat, deszczem obmyty, aż oczy rwał krasą. Polecieli, prawie nadzy, do ruczaju i Pantera, po swemu, wciągnął chłopaka od razu w głęboką zatokę, że się wnet zaczął topić i bezradnie, rozpaczliwie młotać się w wodzie. Tedy go podtrzymywał i, bawiąc się sztuki pływackie pokazując, ośmielił, lęk przemógł—sposobów uczył.

— Nie takie to straszne, jak się zdaje—rzekł Coto, gdy po pierwszej próbie na brzeg się wydostał.

— Niema tu nic straszego, bo jakby się nawet utopił, to raz śmierć!—zdecydował filozoficznie Pantera, wycierając się garścią szuwaru i naciągając suchą bieliznę.

Gdy wrócili na śniadanie Odrowąż Godzinki odśpiewał i ozuwał się na przyźbie.

— Zaraz ruszymy?—spytał Coto!

— Ryba nie zwierz—nie żeruje o świecie. Lubi słonko—jak owad! Chyba wiosną to z łuczywem jej się szuka i bije. I za godzinę będzie czas.

Nie kwapili się. Przy śniadaniu zaczęli sobie opowiadać różne rybackie wydarzenia; potem wypalili po parę fajek i nareszcie ruszyli.

Na przodzie czółna zajął miejsce Rosomak, mając pod ręką cudaczny swój kosz Odrowąż umieścił się w tyle, a Coto przykucnął w środku.

— Do koszów i zagładać nie warto—woda poszła wyżej *hatów*. Od razu płynmy za jezioro w tataraki!—rzekł Rosomak, biorąc się do wiosła.

Coto podziwiał jak czółno w ich wodzy zwrotne było, zwinne, lekkie. Przemykało przez ciasne przesmyki, kręte prostki. A oni, wiosłując od niechcienia, gwarzyli o zwierzu i borze, o życiu letniem i zimowem tej Bożej głuszy, tylko nie było mowy o ludziach.

Wreszcie wypłynęli na bezbrzeżną połąć zatopionych nizin, porośłych szuwarem i tatarakiem. Zrzadka jak bukiety stały łożowe krzaki i wypryskały nad kobierzec zielony czuby wodnych żabieńców i kobylnika.

Badawcze oczy rybołówów objęły to wodne pole umilkli—fajki wsunęli w zanadrze, przysposobili się do roboty.

Odrowąż wiosło ujął staranniej, Rosomak swoje ujął w lewą rękę i z koszem w prawej stanął na samym czubie łodzi, kędy tylko na dwie stopy było miejsca i najłżejsze zachwianie groziło przymusową kąpielą.

— Może ja pomogę wam wiosłować, ojcze,—rzekł Coto.

— Cyt! siedź cicho! nie przeszkadzaj! — fuknął dziad, wpatrzony w Rosomaka. Czółno posuwało się przez — prawie dnem muskające o trawy.

bez Rosomak oczami badał toń—i niekiedy ruchem

Lato letnich ludzi.

wiosła wskazywał kierunek. Coto oczy wytrzeszczał, ale ani co widział, ani cośkolwiek rozumiał.

Nagle Rosomak kosz w wodę cisnął i nogą go przydeptał — jednocześnie wiosłem utrzymując łódź w miejscu. Było to mgnienie oka, ale w tej sekundzie Odrowąż swoje wiosło zaparł w grunt, a Rosomak nogę cofnął, kosz poderwał i wytrząsł zeń sporego szczupaka.

— Udało się. Dobry czas! — uśmiechnął się Odrowąż wyjmując wiosło i garnąc znowu wodę powolnym ruchem.

— Jakże to? Jak wuj wiedział, że tam jest ryba? — spytał Coto, aż oszołomiony sztuką.

— Uważam na ruch traw, gdzie ryba żeruje. Nie zawsze się trafi! — odparł Rosomak spokojnie.

— To straszna sztuka, wuju, tak się utrzymać i siebie, i kosz, i łódkę. Jak wuj to potrafi! — zachwycił się chłopak. — Jabym się skąpał.

— I jam się nieraz skąpał — i z innym sternikiem nie dam rady. To rybactwo wymaga by dwaj byli jak jeden. Widzisz — ot tam — ryba chodzi!

Umilkł, znowu się cały we wzrok skupił — i na preżony do rzutu i skoku ruchem lewej ręki dawał znaki.

Zapał ogarnął Cota. Podniósł się i aż drżał. Znowu rzut kosza, małe drgnienie łodzi, przedziwna zwinność rybaka w utrzymaniu równowagi — i znowu błysnął w słońcu biały brzuch ryby, spadającej z kosza do czołna.

— Dzieciuch ma szczęście! — rzekł Odrowąż. — Zbieraj ryby do torby i nie stój, bo mi zasłaniasz

— Boże, żebym ja tak potrafił! — westchnął chłopak.

Bywały jednak rzuty chybione. Wtedy Rosomak mruczał: — pudło! — a Odrowąż spluwał w wodę. Bywała zdobycz marna, płotka, drobiazg. Wtedy Rosomak mruczał: — szlak znaczy, jakby krynolinę nosiła — a Odrowąż komenderował chłopcu: — Wyrzuć do wody z powrotem, nie dla nas taki towar!

Po tym zielonym łanie płynęli zygzakiem, nawracając, krążąc — pochłonięci namiętnością łowiecką — nie rachując ni czasu, ni sił. Słońce dogrzewało mocno, po twarzy Rosomaka spływał pot, chłopcu, od wpatrywania się, latały płatki czerwone przed oczami. Aż wreszcie z kosza na dno łodzi spadło coś czarnego wielkości talerza.

— Ot i czerepacha, tfu! — splunął Odrowąż. — Już nic nie złowim po niej.

— Żółw! — krzyknął Coto. — Będę go hodować!

A Rosomak spojrział na niebo, odłożył kosz, i zstąpiwszy w środek łodzi, usiadł i wydobył fajkę.

— Południe — ryba w głąb poszła. Możemy spocząć. Pod ławką jest torba z chlebem. Jedz chłopcze.

Starsi palili, rozglądając się. Ptactwo wodne krążyło z wrzaskiem — czajki i hryce najzuchwalej dopadając i łając intruzów.

— Dzieciuch ma szczęście! — ozwał się nagle Odrowąż, dając wyraz myślom, które snuł. — Bo i z rodu szczęśliwego ma krew — choć nazwisko inne. Takto chłopcze — możesz się górnio nosić. A żebyś wiedział w czem rodu szczęśliwość — w tem, że umie jednako, bez lęku, tracić — i nie rachuje, dając. Trzeba dać

wszystko—da—ani się zawaha, ani pożałuje! Tego nie potrafi ni głupi, ni cham! Na to potrzeba wiele razy wszystko stracić, wszystko oddać! Powiadał mi mój dziad — co był w insurekcji z panem — że nawet podjezdek w stajni nie ostał, a sprzedali nawet guzy od szat. A jak się mój dziad frasował — to pan się śmiał: „Co się krzywisz, jakbym na marmuzele stracił! Rzeczypospolitej dano — skrypt mam“. I szramę głaskał na twarzy!—Zadumał się Odrowąż, fajka mu zgasła i potem, jakby do siebie, zamruczał.

— Jaśnie wielmożna Pani. Trza jej wszystko dać. Tak się należy!

Wytrząsł fajkę, wstał—wziął za wiosło—i pechnął czółno.

— Poprobujemy na Pohybelniku — tam jазie okrutne się trafiają, a może i sum z głębi na mieliznę wyjdzie.

Pokręcił głową Rosomak.

— Tam spód torfowy, jałowizna, zimno. Kierujcie przez jezioro—na zalany ług.

Rozpoczęły się znowu łowy.

— Wuju,—zaczął prosić Coto,—żebym ja raz spróbował! Już widzę ruch ryby — już rozumiem jak wuj nakrywał! Raz jeden spróbuję!

— Niech zbędzie ochoty! Tu płytko; nie grzask! Niech się skąpie—woda ciepła!—poparł go Odrowąż.

— Co się mam skąpać! Potrafię!

— Na wszelki wypadek zdejm koszulę i z chodaki!—rzekł Rosomak.

— Ale ja czuję, że potrafię!—upierał się chłopak.
—To tylko zrazu wydaje się takie trudne. Teraz rozumiem.

Rosomak zeszedł ze swego stanowiska oddał mu wiosło i kosz.

Coto stanął na krawędzi, zachwiał się, podtrzymał wiosłem.

— Na obu nogach twardo i śmiało stój.

— Ja wiem, tylko... o—już stoję.

— Wiosło podnieś, bo czółno trzymasz bez ruchu!—komenderował Odrowąż.

— Zaraz, zaraz! Tak się to zdaje łatwo. O—już!

W tej chwili stracił równowagę i głową naprzód wpadł w wodę.

— Aha—już!—spokojnie rzekł Odrowąż.

— Mówilem — zdejm koszulę!—dorzucił równie spokojnie Rosomak.

Chłopak zerwał się na nogi i chwycił oddech. Trochę się zląkł, a najbardziej stracił rezon. Wgramolił się do czółna—a Rosomak, jakby nic nie zaszło, wyłowił wiosło, kosz, kapelusz i zajął znowu swe miejsce.

— Oczom wszystko łatwe się zdaje, jako myśli i językowi—rzekł Odrowąż.—Nic to! Skąpiesz się raz i drugi — za trzecim dostoisz. Potem, kosz ciskając, znowu się skąpiesz — a wreszcie sposób zrozumiesz — i byleś uparcie chciał i rybactwo lubił — to będzie ciebie i łódź, i woda, i ryba słuchała. Władzę nad każdą rzeczą tak można wziąć.

— Ojcie, na lewo, żywo! Tam coś wielkiego chodził—szepnął Rosomak.

Podał się naprzód, wypreżył i skoczył. Cisnął kosz i siebie zarazem. Woda bryznęła pod nim, zakotłowało w koszu—nie podnosił go—ale przez wierzchni otwór ramię zanurzył.

— Jest! jakiś ludojad!—zawołał.

Odrowąż czołnem nawrócił — Coto zelektryzowany skoczył też do wody i do kosza się cisnął.

Po chwili trudu Rosomak zdobywcę przytrzymał—Odrowąż wiosłem kosz podważył, Coto go do czołna wygarnął:

— Sum wásacz! Osobliwość! Trzymajcie pod koszem, bo wyskoczy! No, teraz do domu wracać. Udało się, jak w bajce.

— A czemu wuj nie rzucił koszuli i chodaków!—zaśmiał się Coto, gdy obadwa, do cna zmoczeni, znaleźli się w łodzi.

— Bo mi nie poradziłeś!—uśmiechnął się Rosomak.

Teraz dla rozgrzania parli łódź żywo, a Odrowąż takie znał prostki i przesmyki, że ani się obejrzeli, byli w swej przystani.

Rosomak huknął — nikt mu nie odpowiedział, tylko Kuba przyśmigał po gałęziach i skarżył się, że głodny. Odezwała się też klacz i nawet apatyczna Hatora oznajmiła, że jej się należy południowy obrok. A słońce stało dobrze po południu. Chata była pusta. Na stole leżała kartka od Żurawia, że przyszedł po niego chłop o ratunek dla chorej żony i że wróci za ledwie na noc. Ale Pantera o sobie żadnego nie składał raportu i Rosomak głową pokręcił.

— Figiel jakiś, komuś płata, albo zasnął w puszczy. No — bierzmy się do roboty! Rozpalaj ogień, chłopcze, i przebierz się. Ja domowników nakarmię i krowę wydoję. Zaraz nam trzeba ryby oprawić, bo upał. Naści, Kuba, orzechów — nie lamentuj!

Odroważ nie dbał o obiad i spoczynek. Zaraz suma na trawę wywlókł, zabił i jął śluz ze skóry wiechem i popiołem oczyszczać. Coto skoczył mu do pomocy.

— Pantera opowiada, że raz w brzuchu suma znalazł żydowskie bogomolje. Podobno połknął cyrulika, który się utopił.

— A pantofle strawił. Ho, ho, Pantera widział pewnie i króla węzów z kamykiem, co czyni niewidzialnym. Tego kamyka on często używa!

— On także opowiadał, że dał gadzinie rozdrażnionej gałązkę lipową do ugryzienia. No — i gałązka zrobiła się gruba jak kolek. Czy to być może!

— Wszystko być może — byle znalazł się głupi, co kłamcy uwierzy.

— On mi obiecał to pokazać, tylko zmii nie spotkaliśmy temi czasy.

— Jak się trafi zmija, to właśnie lipowej gałązki nie będzie pod ręką.

Rosomak przyniósł im mleka i chleba, na gotowanie obiadu nie było czasu.

Zajęli się wszyscy trzej sprawianiem ryby; i tego się zmachali, gdy wreszcie ukazał się Pantera, niosąc w ręku przepysznego zielonogłowego kaczora.

— Byłem u pszczoł na Puhaczym Ostrowiu!—zagadał swą fugę.

— Lada dzień będą się roić! Okrutna siła. A wracając—patrzę: z sosny zrywa się jastrząb—i coś błyszczący przy rosose. A to on, szelma, kaczora tego tam przyniósł—i zaczął drzeć. Ot, naszyi znaki. Odebrałem! Ale i wam wyprawa się udała. Suma pod nakrywkę wódz wziął! Ot—majster. Dajcie, ojcie—zastąpię was! Palcie fajkę od komarów.

Odrowąż się wyprostował, obejrzał kaczora i, krzesząc ogień do fajki, powoli odparł.

— Z sumem też osobliwość się stała. Płyniemy, płyniemy—patrzymy: sokół leci i pęc: coś nam w czołno upuścił. Tenci sum był.

— Ho, ho! Musiał nie sokół a nurek być! — zaśmiał się Pantera.

— Nie. Sokół—i pewnie ten sam, co tego kaczora na wędę ułowił.

I Odrowąż pokazał dziób ptaka, rozdarty żelazem haczyka.

Coto na razie nie zrozumiał i patrzył zdumiony, aż go objaśnił wybuch śmiechu Pantery.

— Ot, i dopatrzył. Przed wami nic się nie ukryje. Mówiłem ci, rekrucie, mędrzec nad mędrce ten nasz nauczyciel.

— No, to opowiedzże, jakieś polował? W jeziorze, z harbuzem na głowie?

— Nie. Z brzegu, na Tęczowym moście. Kaczki tam stadami żerują. Nawłokę kijanek na haczyki, puszcze na wodę, a sam leżę i czekam. Fatyga nie

wielka, a sznurki od wędek o nogę zaczepić, to i przespać się można. Jak kaczka się złapie, to sama znać da i obudzi, za nogę ciągnąc!

Rosomak ryby sprawiał i ani słowem się nie odezwał, ale milczenie to dobrze Pantera rozumiał, bo po chwili zaczął się usprawiedliwiać.

— Właściwie myślałem, że się szczupak złapie, ale te kaczki to takie obżarte, że szufluje błoto—na nie nie zważając. No i te kaczory, to nieponie. Gniazda nie patrzy, samki nie pilnuje, o małe nie dba. Łobuzy błotne! Prawda, wodzu? Rospustniki to — i byłyby pewnie nawet pijaki, żeby kto tam na bagnie wódkę szynkował.

— Jeśliś się uczynił kaczym misjonarzem, to w ten sposób obyczajów nie poprawisz.

— Zawszeć o jednego zbereźnika mniej!

— Pozostali cnoty nie nabiorą, ale chytróści w unikaniu — misjonarza!

— Gotowe!—zawołał Pantera, prostując się.—Teraz niech nam doktor gotuje głowę suma, a ryby do pieca. A żeby wódz na mnie nie był krzywy za tego marnego kaczora — to ja powiem, że odkrył osobliwość. No — mówić?

— Pleć, pleciugo!—zaśmiał się Odrowąż.

— Znalazłem gniazdo kaczki na drzewie. Dali-bóg — na sośnie.

Rosomak ruszył ramionami, Coto parsknął śmiechem.

— Bywa!—potwierdził Odrowąż.—Nawet ci opowiem jak małe wyprowadza, bom widział: brała każde

w dziób, zносиła na ziemię i kładła łapkami do góry. Leżały spokojnie na grzbiecie, aż zniosła ostatnie. Wtedy każde odwróciła na łapki — i poszły za nią — sznurkiem—do wody.

Nikt mu nie zaprzeczył, a Coto jął się napierać, żeby go Pantera zaraz do gniazda prowadził.

— W niedzielę pójdziemy. A teraz, Pantero, chat nim ładem się zajmij, bo Żuraw wróci dobrze w nocy. Zresztą on już swój miesiąc odsłużył. Na ciebie kolej.— Pantera obładował się rybami i ruszył do chaty pośpiewując:

Oj dej dy dy oj dydy,
Zagnali mnie do bidy!
Oj do bidy, do jakiej.
Dali latać przetaki.

Bujne wyprawy, wałęga po puszczy, cudaczne łowy i pomysły — wszystko trzeba było przerwać, zaprządz się do orki domowego gospodarstwa — na cały długi miesiąc.

Przez chwilę osowiały był Pantera, potem — coś sobie wymyślił na pociechę, bo zaczął pogwizdywać i uśmiechać się do siebie i zabrał się do roboty z wielkim rozmachem.

Z n ó j.

Zapanowało nad ziemią słońce w całej potędze. Wieczorne zorze nie gasły. Ledwie się stały bursztynowe na zachodzie — już wschód opalowy się czynił i po krótkiej nocy budził się świat do czynu. Bujały liście, kwiaty — stały się dywany coraz barwniejsze, po wszystkich gniazdach samki ogrzewały jajka, lub zaczynały karmić pisklęta. Miodowa woń biła ku niebu z polan kwietnych — upajała szarą ómę pszczelą, podniecając do rójki. Jak srebrne flety grały po lesie wilgi — ostatnie przybysze letnie! Nie było jeszcze lato, ale zaczynał się znój i gorączkowa praca tworzenia owocu z kwiatu, hodowania przyszłości.

Pod sosnami, w słońcu, zabarwiły się poziómki; w cieniu wystrzeliły pierwsze wielkie dzwonki; łąki zaczerwieniały od smólek.

Wszystkie te oznaki zbierał w myśli Pantera, przykuty do chaty — oczekując na coś — co go uwolni od gotowania i krzątania gospodarskiego.

Obierając kartofle, sprząając, piorąc bieliznę, rąbiąc drwa, zawsze zerkał w kierunku kładek, które prowadziły do dalekich ludzkich osiedli.

Aż pewnego odwieczera, gdy szykował ryby do suszenia, posłyszał szelest w haszczach — i na polanie ukazał się chłopak wyrostek.

— Jasiek! A gdzie matka?—krzyknął Pantera, czując wielką ochotę do fiknięcia koziołka z uciechy.

— Idzie z ojcem i z siostrą. Bo wiecie, mamy dziecko! Marynka! A gdzie dziadzio?

— W puszczy. Aleście marudzili z przybyciem w tym roku!

— Czekalim na ciotkę, która się aż do Kalwarji pieszo ofiarowała. Nie można było domu bez opieki ostawić! A wiecie? W tym roku już i ja koszę!

Stał chłopak wyprostowany i dumny, że do znoju już jest godny — jak do sławy. Na ramieniu niósł już kosę i grabie i z pod kresów słomianego kapelusza patrzyły mu zuchowato czarne oczy. Kosę starannie zawiesił w cieniu, pozbył się torby i spencera płóciennego i, skwarem spragniony, poszedł do wiadra z wodą.

A na polanę wyszło dwoje ludzi. Kobieta smukła, wysoka, z dzieckiem na ręku i mężczyzna czerniawy — obładowany kosami, grabiami, łozową kołyską i torbami.

— Pochwalony Jezus! — pozdrowiła kobieta, uśmiechając się z serdeczną życzliwością.

— Na wieki! Witajcie, matko! — odparł Pantera. — Oczy wypatrzyłem — tak was wyglądam! Łąki czerwone — gotowe do cięcia — a was niema i niema.

— Ale zato robotnica nam przybyła! — zawołała wesoło.

Pantera zdjął kapelusz, ukłonił się nisko szerokim ruchem.

— Panie ojczy, pani matko. Pięknie proszę o rękę tej panienki.

— Z miłą chęcią. Bierzcie i trzymajcie! — zaśmiała się, podając mu dziecko.

Pantera wziął je na ręce.

— Witam cię, panno młoda, i biorę cię sobie za żonę. Wolno pocałować? Bardzoś trafnie w matkę się udała. Oczki masz jak barwinek, a włoski ciemne. Na warkocze i ząbki jeszcze trzeba poczekać, widzę! Proszę panią do chaty — zaraz gniazdo jak dla wilgi uszykujemy!

— Kiedy żona dała wam córkę, mnie wypada dać posag! — rzekł czerniawy zięć Odrowąża, zdejmując z ramion swój ładunek i podając misterny łożowy koszyk na sznurach, pierwotną kołyskę.

W parę chwil instalacja nowoprzybyłych została dokonana — wedle corocznego porządku. Kobieta z dzieckiem zajęła alkierz, posłanie Odrowąża wyniesiono do sieni. Dla Cota i Szczepańskiego z synem wysłano obficie siana na górze i Szczepańska wnet objęła chatne rządy.

Pantera bawił się dzieckiem, przekomarzał się z matką i promieniał radością, że zbył zmudnego obowiązku, po dziesięciu tylko dniach dyżuru.

Udawało mu się tak co roku.

Ruszyli też zaraz we trzech obejrzyć trawy i wrócili wszyscy razem, bo się wnet zhukali w puszczy.

Coto wnet się z Jaśkiem poznał i zaczął napierać się kosy.

— Jakże to! — nudził Rosomaka — on ma tylko trzy-
naście lat, i kosi, a ja mam szesnasty.

— Ho, ho — ja mam trzydzieści siedm, i ledwiem
się dziś ożenił. Pojąłem waszą wnuczkę — ojczy. Zaraz
ledwiem ją poznał, bo bałem się, że mnie Żuraw ubieg-
nie! — śmiał się Pantera.

— No i na teściową zdałeś swą robotę.

— Ale za to wyręczę żonę w grabieniu.

— Coto, dostaniesz kosę — nie lamentuj — mam
zapaśną. A dogodzę ci przez wdzięczność, żeś mi dora-
dzał małżeństwo. Pyszny wynalazek. Zaraz mi przy-
było powagi!

I, na zadokumentowanie tej powagi, dał susa
w gąszcze, zabeczał jak kozioł i krzyknął.

— Hej, Jasiek, Coto — kto zgoni Panterę?

Chłopcy pognali.

— On ich godzinę będzie wodził, a wreszcie gdzieś
się przyczai, zmami — że i do wieczora będą szukać! —
zaśmiał się Odrowąż.

Jakoż gdy przyszli do chaty zastali Panterę z „żo-
ną“ na ręku i Kubą na ramieniu. Trochę tylko był
zdyszany.

— Gdzie chłopcy? — spytał Rosomak.

— Szukają Pantery po puszczy.

Rosomak i Żuraw powitali Szczepańską, ale Odro-
wąż nie dał długo gawędzić.

— Póki jasno narządźcie i poklepcie kosy: Jutro
z rosą trzeba zaczynać.

Wziął tedy każdy kowadelko, młotek, kosę bez rękojeści i rozpoczęło się staranne, delikatne kucie.

— Hej kwiaty, zioła, manny, kustrzewy, tomki wonne i kto was tam zliczy i nazwie. To wasza śmierć kosę ostrzy i zębi!—rzekł Rosomak jakby z żalem, i z cicha, że go tylko druh Żuraw słyszał.

— Jedno dla drugiego żyje i ginie. Zostanie w ziemi korzeń — jak dusza! — odparł Żuraw.

— Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń! — podzwaniały po stali młotki, jakby dawały sygnał roboczego boju, a Odrowąż, jak wódz, każdą kosę niby klingę szabli pod słońce obejrzał, za godną uznał, lub sprawić jeszcze polecił, a dla Cota sam ostrze wyklepał, wrękojeść osadził.

A właśnie i chłopcy nadbiegli — zjajani, zamoczeni — w odzieży podartej, ale rozbawieni i śmiejący — niosąc w tryumfie kapelusz i chodak Pantery.

— Tropiliśmy jak ogary, ale Pantera od ogarów śmiglejszy! — wołał Coto.

— Rzuciłem wam chodak i kapelusz i widziałem jakęście lecieli, z nosem u ziemi — a ja siedziałem na Proszalnej Babie — nisko nad ziemią, a potem zeskoczyłem i poczedłem do chaty. Z was, rekruty, myśliwi z torbą na śliwy.

Odrowąż skinął na Cota i wyprowadził go na polanę.

— Masz, dzieciuchu, kosę. Przypatrz się jak osadzona. Tu oto ostrze, założone na dzierżak, pierścieniem żelaznym i klinkiem umocowane. Czasami, bywają okazje u nas, że się na sztorc oprawia, i wtedy kosiarze już się kosynierami zwa i koszą wraże łby.

Narzędzie to tedy szanowne i nobilitowane—więc trzeba je szanować i utrzymać w takim ohydóstwie, jak żołnierze broń utrzymują, bo niewiedomo kiedy i naco będzie potrzebne. Rozumiesz?

— Rozumiem, ojcze!—odpał Coto, mimowoli prostując się jak szeregowiec przed wodzem.

— To dobrze. Jak nauczysz się ciąć trawę, pokażę ci — jako się robi, gdy na sztore założysz. Teraz tedy ujmij — ot tak, stój prosto—ramionom daj rozmach i za każdym rzutem, przy końcu zakosu, prawą koniec ostrza nieco w górę poderwij. Ot tak. Nie kręć się cały jak wiatrak, ino w krzyżach jak na śrubie się obracaj. No—próbuj!

Coto stanął w pozycji, zaczął machać.

— Niczego sobie. Pojmiesz!—zachęcał go stary.—Ramiona rozprężaj, nie garb się. Swobodnie, drobno zagarniaj, grzywy nie zostawiaj — podrywaj u końca. A jak czujesz, że tępieje—popraw „menteszka“. Ot tak! W takt, równo—możesz zagwizdać: „Ej ostre, ej ostre, ej ostre kosy nasze“.

— A jak na sztore postawię, to będzie: „Bartoszu, Bartoszu, nie traćwa nadziei“—zaśpiewał Coto.

Uśmiech wygładził bruzdy na licu Odrowąża.

— Umiesz? Pewnie matka nauczyła? No to i chwała Bogu! Zdasz się do roboty.

— „Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi“ — podchwycił Jasiek.

— Panie, rzekł Odrowąż do Rosomaka — może już oni doczekają sądu i wolni będą.

— Może oni—może ich dzieci lub wnuki.—Sprawiedliwość przyjdzie—i sąd być musi—odparł poważnie Rosomak.

Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń! wydzwaniała lita stal kos. Chłopaki zawzięcie ślali pokosy. Ledwie ich zwołano na wieczerzę, a potem leżąc obok siebie na sianie gwarzyli.

— Jabym chciał dostać się do Ameryki!—mówił Jasiek. Ojciec powiada, że tam już jest z naszych wojako, co tu przyjdzie—Mochów i Szwabów prać.

— U nas w szkole jest tajny związek wojskowy. Po nocach się ćwiczą. Mają rangi i odznaki—i przydomki. Ale to wielki sekret — i małych się nie przyjmuje, bo mogą się wygadać. A za zdradę kara śmierci. Ten, co stoi na czele, nazywa się Kruk—i tylko dwóch wie, który to.

— Jabym się chciał nazywać Strzała.

— A ja, Tur.

— Spać, smyki!—zawołał Pantera ze swego legowiska. Koszulę to jeszcze w zębach nosi, a już spiskuje. Wojaki, Tury, Strzały! A do krynicy po wodę w nocy śleka się iść, a byle za furtkę—to już zabłądził! Ojczyznę chce odwojować gębą, ale sam sobie w żadnej biedzie nie poradzi!

— To się pokaże przy okazji!—odparł zuchwale Coto i zaczęli szeptać z Jaśkiem.

Zdawało im się, że wcale nie zasnęli, to też bardzo byli zawstydzeni, gdy ich Pantera wyciągnął z siana za nogi, wołając, że kosiarze czekają.

Ranek był ledwie perłowy i słońce nie wstało, gdy ruszyli szeregiem za przodownikiem Odrowążem, znacząc ślad ścieżki na rosie. Stary półgłosem odmawiał pacierze, a wszyscy milczeli.

— Śniadania nie będzie?— spytał Coto Jaśka.

— Z rosą najlepiej się kosi. Jak słońce wstanie matka śniadanie przyniesie. W południe będziemy spać!

Wyprowadził Odrowąż swą gromadkę na szeroką haliznę wśród lasu—przeżegnał się i zakos pierwszy położył. Za nim stanął Rosomak—i po kolei wyciągnęli się w szereg, siekąc równe sznury, ścieląc jednostajne wały trawy.

— Całe głupstwo!—myślał Coto, machając zajadle za Żurawiem, który czynił jakby od niechcenia, ruchem swobodnym, bez wysiłku. Doszedł do skraja Odrowąż i, zachodząc na następny zakos, po robocie śledził.

— Coście się tak zgrzali, chłopcy! Za łakomo zajmujecie—ot, grzywy zostawiacie. Drobniej, wolniej, a to i do południa nie wytrzymacie!

— Ale o! Weale nie ciężko!—odparł Coto, zsuwając kapelusz z czoła i stając w pozycji do ostrzenia kosy.

— Zobaczymy tęłatwość jutro!—ozwał się Pantera. Machasz jak wiatrak skrzydlami i znaczny będzie twój pokos na każdej polanie. Szczęście, że jutro, ani ręką nie ruszysz, po tym impecie. A kosę ostrząc nie gap się na drozdzie gniazdo, ale patrz jak i poco pociągasz „manteszka“, bo i do południa ostrze bez klepania nie starczy.

Ale Coto w swej zarozumiałości ino ramionami rzucił.

— Pantera zawsze do mnie coś czuje!

Legł jeden pokos i drugi, aż się ukazała Szcze-
pańska ze śniadaniem. Spoczęli tedy w cieniu na krótką
chwilę posiłku i wrócili do pracy. Słońce poczęło mocno
dogrzewać, kosili tylko w bieliźnie, pot spływał po
twarzach i rękach, lica gorzały krwią. Nie odzywał
się nikt, rozprężały się płuca pospiesznym tchem, spie-
kały się wargi pragnieniem.

Gdy zachodzili na nowy pokos ledwie był czas
obetrzeć twarz rękawem, a już niestrudzony Odrowąż
odsadził się naprzód i słał trawę na nowy wał.

Aż wreszcie na słońce spojrzął i stanął.

— Jedenasta,—rzekł— teraz poleżymy, prześpi-
my się, posilim, aż żar spadnie. Na wieczorną rosę
trza poczekać!

Na to hasło sforna jego komenda w mig się roz-
przegła, zostawiając kosy jak broń na placu boju.

Okazało się, że kosząc każdy coś sobie upatrzył.
Rosomak odszukał łożowy krzak i wynalazł w nim
gniazdo, Żuraw nożem wykopywał jakiś korzeń, Szcze-
pański wyrąbał specjalnie zgiętą brzostową gałąź,
Odrowąż wycinał hubę dębową, Pantera dopadł do na-
pół dojrzałych poziomek.

Tylko chłopcy padli na ziemię jak martwi i na-
tychmiast zasnęli.

Nie słyszeli sygnału na obiad, nie było sposobu
ich rozbudzić.

— Niech śpią—zdecydował Rosomak—przynie-
siemy im tu jedzenie. Ochwacili się doszczętnie.

Gdy się zbudzili, był wieczór. Zerwali się, obejrzeli—byli sami na skoszonej polanie. Obok nich stały dwojaki z jedzeniem i dzbanek z wodą.

— O Jezul!—krzyknął Jasiek—przespaliśmy cały dzień.

— I jak im się pokazać na drwiny Pantery—jęknął Coto.

Zamyślili się frasobliwie.

— Bo i wstyd!—szepnął Jasiek, blizki płaczu.

— Już lepiej wcale się nie pokazywać.

— A jakże?

— Uciec.

— No i co?

— Gdzieś osiąść osobno w puszczy, na jakimś niedostępnym oblewie.

— Tobie można, ale nie mnie. Matka będzie się trapić!—odparł poważnie Jasiek. Chyba jej powiem.

No to leć i powiedz.

Pobiegł Jasiek, a Coto zaczął tworzyć plan owego osobnego bytu: schroniska na drzewie, posiłku z jagód i jaj ptasich—i zaczął mu się ten projekt podobać—gdy nadbiegł Jasiek.

— Matka mówi, że dziadzio zostawił dla nas rozkaz, żebyśmy poszukali raków na wieczerzę. Umyślnie nas zostawili.

— Może to nie prawda?

— Matka mówiła, słyszysz! Matka i za górę złota nie powie nieprawdy!—oburzył się Jasiek, i gotów był do bójki, żeby tamten ośmielił się pisać.

Miał już ze sobą siatki i torby i na przełaj ruszyli do jeziora.

— Bolać cię kości?—spytał Coto.

— Iii, nie! Trochę!—bąknął Jasiek.

Woda orzeźwiła ich i brodzili z rozkoszą, a że raki dobrze się brały, potrosze zapomnieli i wstydu i zmęczenia.

Gdy wrócili ze zdobyczą do chaty, tamci zawzięcie klepali kosy, nikt jakby ich i nie zauważył, a przy wieczery Pantera stękał, że ręk i nóg nie czuje ze zmęczenia, a inni przytakiwali mu.

— Po lacku robimy, nie po chłopsku—rzekł Odrowąż—a nawet i chłopci połamani się czują na początku. Nie to, trza się wykapać i przemódź! Za parę dni zapomnimy! Żeby ino ten upał deszczu nie sprowadził.

Pokładli się zaraz spać i Coto śnił, że po dachu bębnią krople ulewy i można będzie leżeć w sianie do południa.

Ale był to tylko sen i zdało mu się, że chwilę zaledwie spoczywał, gdy go zaczął budzić Pantera. Pogodny świt wzywał do znoju.

Ale Coto podniósł się i ze stęknieniem napowrót upadł na posłanie. Okropny ból wszystkich mięśni, kości, ścięgien wyciskał mu łzy z oczu, przyprawiał prawie do mdłości.

— Nie mogę się ruszyć!—wyjęczał z płaczem. Zostawcie mnie. Chyba to paraliż.

— Paraliż! Czego to się zachciwa! Przemęczyłeś się, niezwykajny roboty. Teraz się przemóż, bo

inaczej i tydzień męczyć się będziesz. Każdy z nas trochę nadwyrężony, ale się to w robocie *rozejdzie*! Żeby zatnij i ruszaj się. Ot i Jasiek skureczony i krzywy, a chodzi.

— Nie ruszę się, nie mogę!—płakał Coto.

— No to leż, płakso, smarkaczu!

— Damy ci imię Robotna Gęba!—zadrwił Pante-ra i zniknął w otworze strychu. Coto, jakby po policzku zerwał się i, potniejąc z bólu, popełził do drabiny.

Zginie, a nie zostanie. Umrze, ale bez wstydu. Ból aż mu kureczył twarz, ale niesłychanym wysiłkiem zszedł na dół. Wszyscy chodzili sztywno—to go pocieszyło.

— Bardzoś połamany?—spytał Jaśka.

— Nie pytaj! Strach, jak wszystko boli. Nie chce się słuchać, bo jak uważasz, to aż w gębie kwaśno się robi. Tamci nie po sobie nie pokazują, to i wstyd mazać się. Matka mówi, żeby się wykąpać, to woda ból wyciągnie. Chodźmy!

Zawlókł się Coto do kąpieli i rzeczywiście na tyle go to wzmocniło, że mógł iść bez wielkiej męki. Ale gdy stanął w szeregu z kosą—myślał, że zemdleje przy pierwszym ruchu.

Szczęściem nikt go nie pędził. Kosili małe polanki, rozpierzchli się po zakątkach. Za nim kosił Rosomak i folgował. Gdy po chwili stanął, by poprawić ostrze rzekł:

— Chłopcze, będziesz miał teraz dla trudu ludzkiego zrozumienie i cześć, bo sam to przecierpisz, co inni znoszą. Nie kosić się uczysz, ale przechodzisz

szkołę zrozumienia pracy. Jutro już ci lżej będzie, ale pamięć bólu zachowaj.

Coto obejrzał się, że są sami i rzekł z cicha.

— Ale wuju, poco my się tak męczymy żeby było Odrowąża miało siano!

Rosomak się uśmiechnął.

— A pocoś się obejrzał i zcicha mi to mówisz. Czujesz, że zła to myśl. Przestań robić, jeśli tak czujesz, na nie twój trud.

— No, ale po prawdzie, tak jest.

— Po prawdzie pracujemy dla pracy, z ochoty. Mniejsza czyje było przekarmi się nasza praca, byle sytość stworzeniu - pomocnikowi dał nasz trud. W mróz zimowy to siano da ciepło i siłę bydlęciu, które pracuje dla człowieka. Współtowarzysz to pocziwy! Zagarniaj, chłopcze, starannie tomki pachnące, groszki i tymotki i myśl jak ci wdzięczne będzie zwierzę za opiekę i pożywienie. A czyje ono? Nasze czy nie nasze? Niech o tem myśli taki, co nie rozumie, że ino dusza jest nasza własna, a wszystko inne—dzierżawne i czasowe!

Umilkli, tylko z cichym szelestem słała się trawa i Coto wstydził się swego odezwania.

— Hop, hop. Śniadania!—rozległo się wołanie Szczepańskiej.

— A co? Ruszacie się, chłopaki!—spytała.

— Ee, całkiem przeszło!—odparł Jasiiek.

— Jutro już im nie nastarczymy!—rzekł Żuraw.

— Jutro odprawimy ich ruszyć pokosy.

— Jak pogoda posłuży—w sobotę trzeba stóg złożyć. Siano będzie jak szafran. Trzeba się związać, bo z pełni się zasłoci! I głuchy Święty nas posłyszyl!

— Jaki głuchy Święty?—spytał Coto.

— A ten patron od deszczu. Przykazał mu Pan Bóg: idź gdzie proszą—a on dosłyszał: idź gdzie koszą. No i byle posłyszał ostrzenie kos—leje!

O południowej przerwie Żuraw zawołał Cota, by mu pomógł w kopaniu leczniczych korzeni—i zaprowadził go na pierwszą skoszoną polanę. Usiedli na pokosie już chrześzczącym i Żuraw rzekł.

— Masz gorączkę chłopcze i możesz dostać zapalenia stawów. Weź ten proszek i rozbierz się. Trzeba cię wysmarować! Jak się zaniedbasz, odleżysz tygodnie.

— Jaki doktor dobry!—szepnął wzruszony Coto.
—Istotnie, ledwie żyję!

I poddał się cierpliwie masażowi, a potem zasnął w cieniu, nakryty z lekka wonnem sianem i zbudził się, jakby odrodzony.

Przy obiedzie dowiedział się od Jaśka, że i on przeszedł przez umiejętną kurację doktora.

— On taki dobry, że aż strach!—mówił Jasiek. Dwa lata temu odratował mnie od śmierci—tyfus miałem. Jak dzień tak noc mnie pilnował, bo i matka ledwie była wstała!

— No, chłopcy. Wy już do grabienia się bierzcie, a starajcie się nam nastarczyć. Pojutrze całą gromadą stóg stawimy—zakomenderował Odrowąż.

Była to folga w znoju, inny ruch ramion i nie jednostajny wysiłek.

A największa była dla chłopców uciecha, że pracowali pod komendą „matki“.

Matką nazywali Szczepańską wszysecy.

Była dla tych wszystkich mężczyzn symbolem majestatu kobiecego, a zarazem kobiecego czaru i wdzięku. Żeby godnie czcić, a zarazem kochać, dali jej tę nazwę szczytną a pieśczośliwą zarazem.

Więc rano Coto brał na plecy kołyskę, Jasiek grabie, „matka“ na ręce „pannę młodą“ i szli doroboty.

Kołyskę zawieszano w cieniu na drzewie, dzieciak osłonięty od owadów zasypiał, a polany, gdzie grabili, rozbrzmiewały wnet śpiewem i śmiechem.

Coto wnet zrozumiał, jak siano zbiera się w wały, jak się je potem gromadzi na „szczyńki“ i znosi na grabiach wysoko, nad głowę, i kładzie w kopce. Oni znosili, „matka“ składała, uwijali się na wyścigi, podnieceni, rozbawieni, śmiejący, pomimo, że skwar sma-lił ich lica, a pot parował na plecach. A gdy skończyli kopiec i chłopcy odpoczywali i dopadali chciwie do bakłaszk z wodą, „matka“ odwiedziła gniazdo zawieszane na gałęzi, dobywała swe pisklę, karmiła je i — ucałowawszy — usypiała kołyszając i nucąc.

Dzieciak był widocznie zdrów, bo nie grymasił, i jakby rozumiał, że nie mają ludzie czasu do zabawy, zasypiał posłusznie.

Czasami od kosiarzy dochodziło ostrzenie kos i pod wieczór zjawiał się Pantera, jak mówił: w kon-

kury do żony. Brał dziecko na ręce i nosił je, pokazując kwiaty i motyle, i prawil różne gadki.

Matka zostawiała ich wtedy i szła do chatniego gospodarstwa.

Umiała je prowadzić i miała czas na wszystko. Chata była umyta i ukwieciona, posiłek zwarzony, bydlatka dopatrzone, odzież i bielizna uprana. Gdy wracali z roboty, mogli spoczywać, nawet drwa znajdowali urąbane i pościele czysto zasłane, a kobieta uśmiechnięta, jasna wewnętrzną szczęśliwością miała dla każdego dobre słowo, żart i staranność.

W duszy Cota, którą miasto, koleżeństwo i złe książki już skaziły, odzywały się czasem głosy jakby wstydu i skargi. „Matka“, jakże on bywał dla swojej zuchwałym, lekceważącym, niechętnym. A profesorka! Boże, czy Pantera o niej zapomniał, czy nie żartuje kiedy, wobec tej „matki“, i co ona wtedy o nim pomyśli. A wiersze, które pisał do Wandy Albersówny, znajomej ze schodów, rozczochranej, rudej załotnicy, pensjonarki!

Przechwalał się przecie z jej zaczepek, spojrzeń i chichotu przed kolegami, mówili przecie często o rozpuszcie i drwili z panien. Coto nie śmiałby odezwać się o tem do Jaśka, z którym przecie zawarli przyjaźń i zmawiali się na różne awanturnicze wyprawy i snuli fantastyczne życie.

Najbliższym celem tych marzeń było otrzymanie leśnych nazw i przyjęcie w poczet leśnych ludzi.

— Tobie pół biedy, Jaśkiem Cię wołają, ale mnie jak kto powie: Coto! — to jakbym w ucho dostał. Już się

o nic nie pytam, już wszystko leśne rozumiem i zawsze: Coto!

— Trzeba czemś się wslawić, coś zdobyć. Żeby tak nazwali Lisem?

— Lis, dobrze! Ale jak to zdobyć?

— Czekaj! Jak się z sianem skończy, poszukamy jam. Wykopiemy całe gniazdo! Wódz Rosomak będzie rad, bo lisy tępi. Albo żeby znaleźć orle gniazdo, ale to chyba na przyszły rok! Ot, Orłem się zwać!

Marzenia te przerywały sen, a może i we śnie dalej się snuły, bo często w nocy Szczepański lub Pantera trącał chłopaków i upominał:

— A to rajkocą i krzyczą przez sen jak żaby w błocie.

Chłopcy milkli przestraszeni:

— Ojej, jeszcze nas Okrzakiem lub Bąkałą nazwą!—szeptał Coto.

Gdy kopic postawili kilkanaście, zjawił się pewnego ranka na polanie gdzie grabili Pantera oklep na Łatanej skórze, ubranej w chomont i zawołał:

— Coto, postąpisz z piechoty do konnicy.

— Aha, jutro stogi staną!—ucieszył się Jasiek.

— Nie jutro, a dziś. Do południa trzeba kopice wszystkie ściągnąć ot, tutaj, a od obiadu cały leśny naród stoży.

— Rozkaz ojca Odrowąża, bo jutro ulewa!

— Oj, to dobrze!—wyrwało się chłopcom.

— Że pokosy zmokną to dobrze? Oj, gospodarze, z was, co mają tylko stodołę pod kapeluszem, a w niej wróble się gnieźdzą! No, żywo, bierz Jasiek linkę, a ty

Coto, gramol się na szkapę! A może ci zydelek podać? Zaczynajcie od najdalszych. Muszę, matko, z żonką się przywitać! Wziął dziecko na ręce i zaczął z niem tańczyć, pośpiewując:

Pada deszczyk, pada, po drobnej krzewinie
Kochaj że mnie, żonko, ino nie zdradliwie.

— Oj zięciu, zięciu, deszczu nie wywołuj, córki mi nie bałamuć, a chłopaków pokieruj!—śmiała się Szczepańska,

— Prawda! Coto pewnie pojęcia niema, czy koń ciągnie pyskiem czy ogonem.

— Są ludzie, co ciągną tylko językiem!—warknął Coto.

Pantera parsknął śmiechem.

— A toci rekrut pyskаты. Ochrzczę cię napewno Gęba Rusznica. Zobaczysz! No, jazda smyki!

— Może pyskować Coto, gdy mu ubliżają!—ujęła się Szczepańska.—Za dwóch robi i składnie mu idzie na cud!

— No, kiedy matka za nim, to już nie ubliżę. Zajeżdżaj Coto do tej kopiey. Stój!

Tedy otoczył kopiec linką, przyciągnął na supeł, założył zań orezyk, który się włókł za postronkami chomąta, i uderzył dłonią po grzbiecie klaczy.

— Jazda, kieruj po równem, na polanę.

Zgarnęła się w sobie Łatana Skóra i posunęła się jak żywa kopica. Jasiek z Panterą eskortowali.

Gdy trzy kopice były ściągnięte, Pantera zostawił robotę chłopcom, a sam zaczął łożę rąbać i ułożyć

spód pod stóg. Na sygnał obiedni robota była skończona i chłopcy oba konno ruszyli do chaty—śpiewając.

— Będzie deszcz! Dziadzio się nigdy nie myli. Popłyniemy na jezioro, na raki, na rybę—będziemy pływać, nurkować!—cieszyli się rzetelnie, jak dzieci!

Odraważ po niebie frasobliwie śledził, nie dał chwili spoczynku. Ledwie przełknęli stawę, już pędził.

— Żywo, widły, grabie! Wszyscy! Chałupę zostawić pustą. Żywo, bo nie zawierszymy!—Pobiegli wszyscy kłusem. Założono stóg, stary stanął na tym podzie, a wtedy wszyscy, z gorączkowym pośpiechem, zaczęli zbierać siano na widły i podawać mu w górę.

I znowu przekonał się Coto, że był głupim rekrutem. Gdy tamci wszyscy nabierali na widły naręcza ogromne, że aż się gięły pod ciężarem, gdy wznosząc brzemię zadawali na stóg, jemu siano umykało, rozsypywało się, że donosił puste widły, i rozpoczynał robotę napróżno blizki płaczu, a omdlewający z nieużytecznego wysiłku.

A towarzysze byli tak zajęci, tak spieszyli, tak ciężki mieli trud, że wprawdzie nikt zeń nie drwił, ale też nikt nie uczył i nie pokazywał sposobu. Pracowali mileząc, popędzani jakąś grozą, która się zbierała w niebie, wypełzała z ciemniejącego widnokregu.

Stóg rósł, niknęły w nim kopice—był już tak wysoki, że przystawiano doń drabinę, wbito między szczeble żerdź, na której konno umieścił się Szczepański, odbierał pełne widły i podawał wyżej. Zwijali się

zajadle, gorączkowo, bez chwili odetchnienia, aż z góry rozległ się głos Odrowąża.

— Zawierszam. Dobra nasza! Zbierajcie czysto, obierajcie boki grabiami, szykujcie powrósł! Już nam deszcz nie straszny. A deszcz już leciał, już wicher się zrywał, chmury wychodziły nad las, zaczynało w nich huczeć, jak werbel na bitwę.

Ludzie jeszcze zajadlej pospieszali.

— Powróż prądź, ot tak!—zawołał Jasiak zdyszany, przypadając z Cotem do stogu i snując zeń siano, które Szczepańska skręcała w powrósł.

A tamci zbierali rozstrzęsione resztki kopie i podawali, wołając ochryple.

— Zabieraj — hop — odbieraj!

Wicher począł się z nimi borykać, szarpać siano, wydzierać z rąk brzemiona.

— Dawajcie sznur!—krzyknął Odrowąż.

Podano mu dwa, skrzyżował je na szczycie, końce utwierdzono w ścianie, z wideł uczyniono parę stopni, po których stary zsunął się na ziemię.

Tędy się przeżegnał—jakieś litery w powietrzu w stronę chmury nakreślił.

— Nad chudobą naszą i nami Bóg łaskaw, dał czasi siłę—by dokonać. Niech Mu będzie cześć i chwała.

— Na wieki wieków Amen!—dopowiedzieli.

I stali chwilę wszyscy na widłach wsparci, dech łapiąc i znojone twarze do wichru zwracając, a wtem lunął deszcz i grzmot uderzył z chmury.

Tego wieczora, gdy Coto chciał wziąć łyżkę do ręki, nie zdołał zgarnąć palców.

Zawstydził się i spojrzał, czy kto to widzi. Ale wszyscy jedli i gwarzyli, tylko Żuraw nań patrzył, głową skinął porozumiewawczo i nieznacznie wywołał go do komory.

Kazał mu się rozebrać, położył na swej pościeli i jał ramiona i ręce masować. Chłopak usypiał, śmiertelnie znużony i tylko szeptał:

— O, dziękuję, dziękuję. Bylem mógł jutro z wami razem się znoić! O, byłem mógł.—I zasnął. Żuraw go okrył i rzekł z cicha do wchodzącego Rosomaka.

— Zwyciężył leśny duch. Rodzi się w nim nasza dusza.

— Chwała Bogu! Będzie szczęśliwy!—odparł Rosomak, przesuwając serdecznie ręką po ciemnej głowie śpiącego.

Nazajutrz padał deszcz, ale Odrowąż zakomenderował kośbę, więc chłopcy nie mieli wakacji, ale zato koszenie mokrej trawy było lżejsze i upał nie obciążał, więc dotrzymywali starszym kroku.

Dopiero po dwóch dniach, gdy dużo było zwalonej trawy, a pogoda się nie ustalała kosiarze spauzowali i rozpierzchli się. Rosomak z Odrowążem popłynęli na połów, Szczepański z Żurawiem i Panterą darli łożę i pletli chodaki, a chłopcy pobiegli w las, by wyszukać lisich jam zamieszkałych. I tak myszkując, gapiąc się, zaglądając do gniazd, usłyszeli w powietrzu dziwny szum. Nad polaną nisko leciała szara kula.

— Rój, rój! — krzyknął Jasiek i pognął; skoczył w to i rozpoczął się szalony pościg. Przez krze i zwa-

ły pędzili, ciskając na rój garście ziemi, liście, gałązki, krzycząc zdyszani, podrapani, a zajadli.

Jakaś pierwotna żądza zdobyczy ogarnęła ich— jakaś pasja praojców bartników. Darliby się tak przez bagna, trzęsawiska, wody—nie ustaliby—chyba martwi.

Aż wreszcie rój zmęczony opadł na krzew kaliny, na spoczynek.

Ciemne mrowie owadu uczyniło jakby szare gro-
no i znieruchomiło.

— Wody, wody! Kropić, bo się za chwilę porwą.—
komenderował Jasiek.

Coto przyniósł wody w kapeluszu i prysnęli na rój.

— A teraz co? Co z nimi robić?—pytał zdyszany.

— Dawaj koszulę, moja podarta!—jąkał Jasiek bez
tehu, pomagając towarzyszowi rozebrać się.—Związuj
kołnierz i rękawy witką łożową—mocno—ot, tak, prę-
dzej, nim się opamiętają i zaczną ciąć. Podsuń koszulę
pod gałąź. Trzymaj, uważnie, żeby wszystkie zamknąć.
O, już się burzą! Ani drgnij! Trzymaj, niech tną, my
przecie leśne ludzie. Cierp, cierp—zaraz gałąź utnę.

Coto zaciął zęby, spełniał rozkazy, otoczyła go
szara ćma, poczuł na ciele piekący ból, brzęk gniewny,
zapach kwaśny jadu, ale się zapamiętał w postanowie-
niu, ani pisał, ani się opędział.

I oto tryumfujący stanęli po dokonaniem dzieła.
Obadwa spoceni, zziajani, brudni—jeden do pasa na-
gi—i poznaczeni śladami żadeł.

I trzymali jako zdobycz cudaczny worek z ko-
szuli, w którym huczał rozpacznie uwięziony rój.

— Czyja będzie zdobycz? Bo teraz napewno dostanie się nazwę!—rzekł Jasiek.—Dobrze będzie, jak nazwę Bartnik! Ja straszną mam do pszczoł ochotę. Ale i tyś gonił, i wodę przyniósł, i koszulę dał, i ciebie więcej ścięły! Chcesz—to nieś!

Zawahał się Coto—pomyślał. Byłaby to jego pierwsza zdobycz i pozbyłby się nienawistnego przezwiska, ale czuł, że toby było fałszem.

— Nie, tobie się należy. Jabym nie wiedział co to leci—anibym ścigał, ani wiedział jak uwięzić! Nie! Ty nieś!

— Dziękuję ci. Teraz z nami braterstwo na śmierć i życie.—wykrzyknął rozpromieniony Jasiek. Włóżże moją koszulę, a ja lecę z rojem. To się wódz ucieszy! Świętojański rój—to skarb!

W osadzie zeszli się wszyscy na obiad, gdy wpadł Jasiek, nagi po pas, ze swą zdobyczą w garści i zdyszany wołał:

— Do wodza, niosę zdobycz.

Rosomak wyszedł z chaty, a chłopak wyrecytował orację, którą sobie ułożył.

— Leciał rój—ja za nim. On na skrzydłach—ja piechotą—i dognałem. Zebrałem w com miał na sobie—i przyniosłem. Proszę wodza o borową nazwę, i żem jest leśny ludz—jako wy starsi!

Coś mu się splątało w oracji—ale Rosomak zrozumiał i, biorąc mu z rąk zdobycz, rzekł bez uśmiechu, bardzo poważnie.

— Zuch jesteś. Rozważymy twe życzenia i dowiesz się wieczorem naszego postanowienia.

— Oszałał chłopak. Nagi biega po puszczy! Nie wstyd ci? — wdała się matka i wepchnęła Jaśka do alkierza.

— Do wieczora barć masz wystroić na przyjęcie twego roju! — zawołał za nim Odrowąż.

Mam, dziadu, mam — chojar upatrzony! — odpowiedział chłopak zdyszany, kręcąc się w rękach matki, byle prędzej się oblec i lecieć.

Umieszczono rój w cieniu, uwieszony u gałęzi, i wnet wszyscy ruszyli, by mieszkanie mu urządzić. Zabrali ze sobą długą drabinę, sznury, narzędzia i Jasiek tryumfujący poprowadził.

— Będą ludzie z dzieciaka — rzekł Odrowąż, gdy stanęli przy starej, samotnej sośnie wśród leśnej polany. Ma oko! Dziupła ku wschodowi, konar nad nią jak okap. Byłe wewnątrz nie za obszerne, będzie barć cudna! No, chłopcze, strójże sam.

Jasiek już był na drabinie, a że nie sięgała, „leziwo“ ze sznurów urządził i, zawieszony u wylotu dziupli, dłutem i siekierą otwór oczyścił i wewnątrz spenetrował.

Nie mogąc beczynn timer wytrwać, Pantera wnet po sznurku z hakiem aż na górny konar się wydźwignął, konno na nim zasiadł i jak dwa dzieciocy kuli!

Podawano im z dołu narzędzia, mech, glinę, wreszcie zatwór z deski i ćwieki.

Po paru godzinach karkołomnej roboty zeszli na ziemię i pokładli się jak martwi ze zmęczenia — ale barć była gotowa.

— Będzie ta sosna Piastem się zwać—rzekł Rosomak.

Odrowąż spojrział na słońce.

— Biegaj, Jasiek, po rój! Można osadzać.

Nadchodziła najcięższa próba bartnego egzaminu. Bez żadnej osłony twarzy i rąk, bez skropienia wodą, bez dymu—musiał Jasiek rozdrażniony niewolą rój przeprowadzić do nowej osady.

Gdy wstępował na drabinę, w zębach trzymając huczące pszczoły—Odrowąż komenderował.

— Żebyś się nie spieszył, żebyś się nie oganiał, żebyś się na nie nawet w myśli nie rozgniewał. Po głosie słyhać, że matka jest—więc się nie zerwaj. Za pazuchą łyżkę masz. Pomalutku czerpaj, i do oka puszczaj. A uważaj na matkę, żebyś nie uraził.

— Pomogę mu!—rzekł Rosomak, porwany swem amatorstwem i wciągnął się po sznurze na górny konar.

— Wolę się gapić z dołu!—mruknął Pantera.

We dwóch na górze było lżej. Rosomak związkę pottrzymał. Jasiek się wygodnie na leziwie umieścił. Otworzono więzienie, szara ćma otoczyła ich, ale już Jasiek pierwszą garstkę do oczka przysunął—i z cicha, radośnie szepnął:

— Idą.

Obadwa wlepili oczy w szarą, ruszającą się masę i nagle Rosomak, przechylony zupełnie głową na dół, zanurzył rękę w mrowie i szepnął.

— Matka.

Pięść jego szara była jak kłębek. Przesunął ją do wrót barci i obadwa zaśmieli się cicho, radośnie.

— Poszła!—szepnęli.

— Niechże jej będzie szczęśliwie!—rzekł z dołu Odrowąż, kreśląc krzyż nad barcią.

Teraz mądra ćma rzuciła się do barci całą masą—jakby rzeką szarą, jakby armją karną. Szły, szły, jakąś piosnkę nucąc, poruszając skrzydły jak proporcami, obładowane miodem, kwietnym pyłkiem, błyszczące od blaszek wosku.

Miały ze sobą wszystko co trzeba, by swe państwo założyć, pobudować, rozmnożyć się na miliony syte, karne i bezmiernie pracowite.

Teraz już tylko trzeba było czekać by przeszły. Te, co zleciały, opadały i maszerowały nie gniewne, te, co były obsiadły ludzi, szły po rękach, nie tnąc wcale.

— Na podziw dobre!—rzekł Jasiek.

— Mądre—dodał Rosomak. Jakem matkę trzymał, ani jedna nie ucięła. Ależ bogaty naród. Będzie ze dwa garnce!

— Mam dla nich bukiet na nowe siedlenie—zawołał z dołu Żuraw, ciskając wiąz malissy i macierzanki.

Uchwycił Rosomak i zatknął nad zatworem barci.

— No, złażcie!—wołał Pantera.—Pójdą i same, bez waszej namowy.

— Ale!—upomniał Jasiek.—Nie wolno się spieszyć! Nam tu dobrze. Tak cudnie pachnie żywicą, miodem i ziołami—i tak pięknie patrzeć jak ordynkiem maszerują i śpiewają.

— Różne bywają przyjemności—trzeba wierzyć. Wódz już pół godziny głową na dół leży, a ty siedzisz na pętli, bez oporu pod nogami.

— Wiadomo, bartnicka robota i uciecha—rzekł sentencjonalnie Jasiek.

— No, to się ciescie—my idziemy kosy klepać.

Tego dnia, gdy spożyli wieczerzę i zapalili fajki, Rosomak się odezwał.

— Czy jest tu między nami Jasiek Szczepański?

Chłopak oczy podniósł, ale nim usta otworzył, odpowiedział Pantera.

— Niema tu nijakiego Jaśka Szczepańskiego, jest Bartnik borowy, nasz druh i towarzysz.

— A czy ten młody bartnik miłuje pszczoły, nie krzywdzi ich, nie rabuje, nie gniewa się gdy kłóją, nie chowa ich dla przekłętogo pieniądza?

— Nie handlarz, a miłujący jest!—rzekł Odrowąż.

— I będę!—szepnął Jasiek.

— A czy ten Bartnik, co chce naszym być—miłuje Boga, Stworzyciela tego boru?

— Miłuje, pacierz serdecznie mówi i nigdy nie kłamie.—rzekła matka.

— A czy ten Bartnik miłuje i nie uczyni krzywdy wszelakiemu bożemu stworzeniu, co tu z nami żyje i rośnie w tym lesie?

— Jako towarzyszy i przyjaciół miłuje i szanuje!—rzekł Żuraw.

— A czy ten Bartnik nie ma w lesie czegoby się lękał w dzień, czy w ciemnej nocy?

— Ja się ino lękam wstydu!—odpowiedział hardo Jasiek.

— A czy ten Bartnik umie wszelką leśną robotę, by w boru mógł żyć—choćby sam został?

— Potrafi!— rzekł krótko, zawsze milczący Szczepański.

— Tedy Bartnik borowy jest naszym druhem i towarzyszem rodzonym!—zakończył Rosomak, wyciągając do chłopca prawicę do uścisku.

Powstał Żuraw i Pantera—podali także dłonie. a potem chłopak wyrwał się na boży świat, bo nie chciał, by kto ze starszych widział, że mu z oczu leciały łzy, a w piersi tak się tłukło serce, że słowa nie potrafił wymówić. I odtąd nikt nań nie zawołał: „Jaśku“, boby nikomu nie odpowiedział—ino dla matki czynił wyjątek.

Po tym chrzcie leśnym, mężczyźni wzięli się do klepania kos i Odrowąż rzekł do Rosomaka.

— Widzi się dziecinną zabawkę—ale taką co jej chłopak nie zapomni przez żywot. A pokieruje go w pracy i uchroni od podłości. Dzieciuch Bartnikiem zostanie. Milczał chwilę Rosomak, zapatrzony w klingę kosy—potem się wyprostował, objął oczami rozkochanymi las i niebo.

— Dziecinność!—rzekł zamyślony.—Mnie się zdaje wielkim skarbem, że my tu wszyscy mamy dusze imieli dziecinne. Może idziemy ku Królestwu Niebieskiemu, wedle Chrystusowych słów obietnicy.



Jak Coto zdobył leśne imię.

Dziesięć zamożnych stogów stanęło po polanach, owoc ich znoju i trudu. Czerwiec się kończył, słonecznego tryumfu i majestatu miesiąc, przepych barw, wzrostu i woni. Las był cały w kobiercach kwiatnych, rozświegotany młodzieżą ptaszą, a już owocny, bo jagodniki dojrzały i barwiły ziemię.

Ludzi znój i trud zeczernił, zesuszyl, ale skrzepił, a Coto tak wyrósł, że odzież Żurawia nosił, a w drzwiach chaty musiał się schylać. Gdy skończyli sianokos, Odrowąż posłał Bartnika do domu, by obejrzał zboża, czy gotowe do żniwa, a pozostali zajęli się rybołóstwem, zaniedbanem przez pewien czas. Brodząc po wyschniętych zalewach, Pantera z Cotem obmyślili zapalić Kupalny Ogień, bo była to właśnie wigilja Św. Jana. Brodzili i wyciągali raki z pieczar. Połów był wspaniały, okazy olbrzymie.

— Ja to miejsce znam oddawna w sekrecie— śmiał się Pantera. To raczy matecznik. A spełzło się to plugastwo tutaj, od zeszłego roku—do zadartego przez wilki łosia.

— Zadarły olbrzyma, bo się walił ciężarem w lód, a one wierzchem się trzymały. Ale jak zadarły, ginąc, w głąb poszedł i tylko rakom się zdał. Przypadkiem, brodząc, znalazłem w wodzie łeb i rogi. Siedmnaście miał rosoch. Patryarcha był.

— Czerep i rogi wydobyliśmy z wodzem, ale co do raków tom mu się nie pochwalił. Oni czasem trzy dni nie dostaną, a ja idę jak do spiżarni.

— Co my teraz będziemy robili, jak siano gotowe?—spytał Coto.

— Pomożemy w żniwa Odrowążom, a potem wódz myśli groblę rzucić na tę topiel do starych Puhacznych Chojar, żeby tamtą stronę módz zbadać dokumentnie. Tamtędy można będzie do Żurawich Lęgów się dostać i może remizy znaleźć. Hej! roboty nam nie zbraknie, ale w dzisiejszy dzień—nas wszystkich pierwszy smętek trąca!

— Dlaczego?

— Słońce od dziś mniejszeje! Idzie ku jesieni, ku zimie, ku nocy. Ha, trudno!—stęknął i, aby smętek odegnać, dodał:

— Kupalę zapalim na Wdowiej Górze. Widna będzie aż na stałe lądy—gdzie ludzie mieszkają. No, mamy ćwierć raków—dosyć na wieczrę. Zostawimy matce w chacie i skoczymy stos kupalny przygotować.

Szczepańska, czyniąca wielkie porządki w chacie, przyjęła mile zdobyecz, a oni, nie czekając powrotu towarzyszy, pobiegli w bór, a gdy wrócili o zachodzie słońca—Pantera oznajmił:

— Wodzu, palimy Kupalę. Ściągnęliśmy stos pod niebo wysoki.

— Dobrze. Wszyscy pójdziemy! Tylko ryby mnóstwo do sprawienia. Gromadnie trzeba pracować, żeby do wieczora skończyć!

Mniej się to Panterze podobało, ale stanął z innymi do roboty.

— Nie będzie głodu w post, mówił. Żeby jeszcze grzyby obrodziły—to zimować będziemy jak króle. Ot—i Bartnik wraca.

Bartnik przyniósł więź kłosów żytnich i ciężki toból zapasów—przytem różne wieści ze świata.

Ziarno wyluskał na dłoń Odrowąż — obejrzał, w zębach sprobował.

— Dopiero po Św. Pietrze można zacząć — zdecydował.

— Pobujamy jeszcze tydzień po borze!—szepnął radośnie Bartnik do Cota.

— Jagodny tydzień!—rzekła Szczepańska.—Raki gotowe—chodźcie wieczerzać!

Zasiedli w koło stołu—gdzie się barwiły misy—pełne—i wśród chrzęstu łamanych kleszczy Pantera rzekł:

— Coto, wiesz ty—że ci trzeba samemu iść do Wdowiej Góry i stos zapalić!

— Dlaczego?

— Bo pierwszy raz Kupalę palisz i nie masz kwiatu paproci.

— A wy macie?

— Wszyscy.

— Eh—ja ta w to nie wierzę.

— Przyznaj się, że tchórzysz, albo, że nie trafisz w émie!

— Żadna sztuka trafić, ani się lękam.

— No—to idź! Dokaż!

Spojrzał Coto po wszystkich. Zdało mu się, że Bartnik się uśmiecha, że Rosomak bada go wzrokiem wąpiącym, że Odrowąż brwiami poruszył.

— Co to strasznego? Pójdę!—rzekł śmiało.

— W boru, po nocy, niesamowito!—rzekła Szecepańska.—Pantera się ino droczy—pójdziemy gromadą—śpiewając. Kto niezwyčajny—to może i zabłądzić i załęknąć.

Ale to tylko podnieciło chopaka.

Zerwał się, wziął kapelusz, zapalki, zatknął siekierę za pas—i wyszedł.

— Oświecę wam drogę!—rzucił junacko, zamykając drzwi.

Ale na dworze, z jasności izby, ogarnęła go ciemność i długą chwilę szedł znajomą ścieżką—na oślep. Gdy się opatrzył, nie bardzo rozpoznawał—gdzie jest, ale szedł śmiało polaną, licząc, że przecie na szlak trafi. Jakoż odnalazł przetarty trop, ale zarazem wnurzył się w gęstwą, że już gwiazdzistego nieba nie miał nad głową, i ogarnęły go tajemnicze, niepokojące nerwy szmery boru. Zaczęła go trapić niepewność drogi w mroku, drażnić szelesty, trącania gałęzi, mdłe światelka próchna i wreszcie stanął, czując, że mu serce bije na trwogę, a pot występuje na skronie.

I zaczął sobie w myśli powtarzać słowa Bartnika przy leśnym chrście.

„Ja się lękam ino wstydu”—i poczuł, że mu się dusza krzepi.

I nagle zaczął śpiewać, bo mu strzeliła myśl. „Najlepsza kompanja — piosenka — i strach prysnął jak czarem; rozejrzał się przytomnie, poznał tuż obok olbrzymi jałowiec — był na ścieżce.

— „Hej bracia sokoły“! — śpiewał coraz głośniej — i ruszył naprzód, już opanowawszy trwogę. Gdy się z gąszczy wydostał, poznał, że drogi nałożył, ale się na haliźnie po niebie zorjentował i pewny kierunku tryumfował:

— Pantera się okpi na mnie! Trafię! Bylebym dobrze ominął tę małą topiel i odnalazł suchy brodek, między torfami. — Już się nie lękał. Tylko raz zadygotał gdy mu z pod nóg jakiś zwierz się porwał i z łoskotem runął w gąszczę. Ale to sekundę trwało i już za zwierzem skoczył — myśląc:

— Ten mi bród wskaże, bo nie głupi topielą iść.

Jakoż po chwili odnalazł przesmyk suchy, zatlił zapalkę i trop na piasku obejrzał.

— Dzięk! — ależ gmach! Odludek — emeryt — szepnął.

A potem wnurzył się w bród i człapał po wodzie bezpieczny, że nie ugrzęźnie i że dopiął swego.

Przed nim wznosiło się Wdowie Wzgórze. Był to najwyższy punkt tej wielkiej połaci dzikiego kraju, jałowe wzgórze piasków, usypane przedhistorycznemi pracami przyrody.

Przez czasy mnogie macierz przyroda nie znośząca jałowości zasiała tam żdźbła nasienne, nauczyla rośliny żyć na wydmie. W zagłębieniach osiadły wrzosa, tworząc zwarty kilim; na łysych czubach chwyciły się ziemi szorstkie trawy o siwych wiechach puszystych—machy i porosty—a wśród nich jak klejnoty barwiły się w lato słoneczne żółte nieśmiertelniki, karłowate macierzanki i drobniutkie czerwone gwoździki.

— Patrzcie, jak się nasza Wdowa „wypimpiszyla” — mawiał Pantera.—Nadziała na siebie bursztyny, amethysty i nawet nieco rubinów. Babsko udaje tylko nędzę!

Na najwyższym szczycie wydmy czerniał tej nocy stos olbrzymi, u którego Coto się wyciągnął i czekał przybycia towarzyszy.

Noc była cicha, przejrzysta, bezmiesięczna, ale pełna gwiazd i rozmarzającej lubości letniej.

Lelaki i sówki przemykały lotem bezszelestnym, polując na ćmy; z gąszczów odzywały się nawoływania żerującego zwierza, chrzęsty, szmery—z jakichś bardzo odległych ludzkich osad dochodziły szczekania psów.

Coto zapatrzył się w gwiazdy, zadumał. Pieśni płynęły mu z duszy—jakby wtopionej w to niebo i byt natury.

Czuł się zarazem bardzo małym—i bardzo potężnym:—atomem—ale atomem olbrzyma. A wtem z daleka dobiegła doń melodia.

Towarzysze szli od chaty i Rosomak nocy tej czarownej przygrywał na skrzypcach.

Wtedy Coto zapalił stos.

Płomień jął się suchego igliwia i mchu, zaczął biegać—jako jego obyczaj był, spieszenie, łapczywie—wydzierać się ku górze, klaskając, pogwizdując, zbierając moc do wybuchu.

A oto do tonów skrzypiec dołączyły się głosy ludzkie—kobiecy, wysoki, górujący—i stare, jak owe bory, nawoływanie odwiecznej pieśni: „Łado, Łado—o Kupalo“.

Stos zapłonął—strzelił ogień ze szczytu—zabarwił purpurą i złotem niebo, oświecił jaskrawo całe wzgórze.

— Zuch, Coto!—zawołał Pantera.—Północ! Znajdziesz, rekrucie, kwiat paproci.

Ostapili wszyscy ogień, kończyli obrzędową pieśń, a potem Rosomak rzekł:

— Może przed wiekami—to jedno wzgórze sterczało nad masą wód jakiegoś wewnętrznego morza, i ludzie, mieszkający nad wodą, krzemieniem uzbrojeni—w skóry i łyka odziani—w tęż noc—aryjską pieśń do słońca już śpiewali.

— Tu są na szczycie wzgórza odwieczne lisie nory—rzekł Żuraw.—W wygrzebanym piachu znalazłem raz parę krzemiennych grotów.

— Hej, co w tej ziemi nie leży. Ludzkich kości i skarbów!—rzekł Odrowąż.

— Bośmy się położyli jako stróże na szlaku łupieżców, rabusiów i barbarzyńskiej dziecy, albo jak tama chroniąca ład od zalewu. Przez wieki ileż razy na tej może samej górze płonęły nie tylko kupalne ognie—a znaki płomienne czujności, trwogi—wołania:

Orda idzie! Kozactwo idzie! Hetmańskie, starościńskie, wojewódzkie wici ogniste: „Kto duży—do znaku, kto słaby—w tajnie boru!” Wy jeszcze, ojcie, takie znaki widzieli—my już nie, i dlatego myśmy zawsze w duszy smutni!

Zapatrzył się Rosomak w ogień, a wtem chłopcy poszeptali ze sobą i kopnęli się w las. Rozległ się łoskot siekier i wrócili uginając się pod ciężarem rosochatego, smolnego pnia.

Rozchybotali go i cisnęli w środek żaru.

— Łado-Kupało! — zawołał Bartnik. — Płońże, płoń na nasze młode szczęście, byśmy doczekali ognistych wici—do Znak!

— Ot—i nie smęćcie się, Panie! — rzekł Odrowąż. Doczekacie się i wy. Jak żywie duch—to śmierci nie trza się lękać. Sen - ci to tylko czasowy!

A chłopcy spojrzeli po sobie, wyprostowali się, wyciągnęli po żołniersku:

„Jeszcze Polska nie zginęła“ zagrzmiało jak sygnał trąbki bojowej.

Wszyscy powstali i odkryli głowy.

Hej—rubieże dalekie Rzeczypospolitej, hej kresy ciche, puste, zdławione, wyludnione, wymordowane, wysiedlone, zamarte dla szpiegowskiego oka tryumfującego łupieżcy—kata, kordonami bagnatów i ziemskiej mocy, dokumentami rządów potężnych i kongresów od Macierzy oddarte i z kart wykreślone!

Taki wasz głos i takie w tobie kości i skarby leżą i oczekują na zew od Matki - Pani!

I, gdy pieśń przebrzmiała, Odrowąż zaczął opowieść, co była jednym paciorkiem w różańcu dziejów.

— Jak nas rozbili pod Horkami, przedarliśmy się we czterech i zapadli w bory. Pan Seweryn, wasz stryj, ranny był w rękę, ja ino draśnięty po karku, ale było z nami dwóch kolegów z Korony. Jeden z Siedleckiego—i chorąży, Warszawiak. Podlasiak już miał pod czterdziestką, żonaty i dietny; chorąży, dzieciuch gołowąs—kędys ze Starego Miasta łyk, a zwał się Stacho Dziembor.

Małe to było, chude, czerniawe, pyskate, kłótlive i szczekliwe, a zacięte i śmiałe jak jazwiec. Kulę dostał w biodro i wynieśliśmy go na rękach. Krwawił i mdlał—i tylko do mnie szeptał.

— Daruję wam Segelasówkę moją—tylko wynieście mnie, by psie krwie *Orła* nie dostały.

A sztandara z garści nie popuścił—aż gdy go gorączka do cna zmogła już w bezpiecznej kryjówce, a i to co się ocknął—to wołał: Mój Znak, mój Znak.

No, dobrze! Zapadliśmy w takie tajnie, com tylko ja jeden znał—i legliśmy. Pan Seweryn, że się na ranach znał, opatrzył wszystkich i mnie wysłano na przesłuchy. Dotarłem do dworu, poszeptaliśmy z kobietami—przyniosłem szmat, chleba, kordyałów, maści, no i tak lizaliśmy się z ran.

Jak gorączka panu spadła, przyszła wieść ze dworu, że ucieczka za granicę konieczna i przygotowana—więc złożyliśmy naradę. Podlasiak i chorąży musieli zostać. Jeden ciężko był ranny—drugi miał go pilno-

wać—aż ja wrócę, pana wyprowadziwszy za kordon. Wtedybym ich dwóch przeprowadził.

Chorąży tedy mi powiada: Kolego, pamiętajcie, że Segelasówka wasza, bo juchom Orła nie daliście, i mnie na plecach wynieśliście. Coś mi się roi, że na Powązkach nie spocznę, ale tu w waszym borze. Mniejsza, żołnierski cmentarz—zielona dąbrowa!

Byle pod swoim Znakiem! Podlasiak mnie dopilnuje i strzelbę doręczy.

Daj wam Boże szczęśliwie.

A Podlasiak powiada: Mnie szpetnie jakaś gorączka nęka, a muszę w swoje strony wracać, bo mam od naczelnika depozyt—całą sakiewkę dukatów mnie przed bitwą zlecił—ostatek kasy partji. I przykazał pod przysięgą—żebym odniósł do Narodowej Rady—wedle tajnego adresu. Tedy pośpieszajcie, kolego, z powrotem.

— A jeśli zginiemy?—powiada pan Seweryn.

A żeśmy żołnierze byli i twardzi—tedy Podlasiak powiada:

— Kto z nas żyw zostanie będzie tu czekać mnie—a po miesiącu sam ruszy, bo smierć wam stanęła na przeszkodzie. Rachowalim, rachowali—zgodzili się!

Bo—nam było, zda się, suto czasu, a im trudno było wytrzymać dłużej przy życiu w borze, bez ognia i ciepłej strawy.

I takeśmy się rozstali—na wieki.

Na granicy—w ostatniej chwili, postrzelili pana Seweryna *objeszczyk*—żem go ledwie uniósł przed po-

ścigiem—trza się było kryć po mściwych sztopach, mi-
trężyć, ranę goić—i dopiero po siedmiu tygodniach
wróciłem w swoje strony—na śledztwa, przesłuchania, ciąga-
niny—i baty.

Wykręciłem się jakoś cudem—i, ledwie wolny,
poleciałem w bór. Kryjówka była pusta. Schodziłem,
zdeptałem, przeszukałem puszcę—pytałem każdego
drzewa, każdej piędzi ziemi, zwierza, ptaka, gadu—
przetrzęsłem gniazda i schroniska, każdą dziuplę
i wykrot zbadałem i nic nie odnalazłem. Potem i na
Podlasie powędrowałem, dopytałem o dzieci naszego
kolegi—nie wrócił do domu.

I tak obydwaj tu leżą—i czekają Bożej chwały.

— Anioł Pański zwiastował Maryi Pannie—zain-
tonowała Szczepańska.

— I poczęła z Ducha Świętego—odpowiedzieli
wszyscy.

Stos płonął, pryskał, łuną na niebie kwitł—po
pieśni żołnierskiej—żywi wspominali modlitwą boha-
terskie kości.

Ale Pantera nie mógł już dłużej utrzymać swej
natury na tak wysokiem napięciu i, gdy skończyli mo-
dlitwę, zaczął podjudzać chłopców do skakania przez
ogień i różnych łamanych sztuk. Zaprosił potem *pan-
nę młodą* do tańca i pośpiewując, pohukując okrążał
ognisko.

Potem namówił do śpiewu i przy skrzypcach i flet-
ni Żurawia szła pieśń za pieśnią daleko w ciszy nocnej.

A wreszcie zaczęła Szczepańska prawić baśnie
o kwiecie paproci i skarbach.

Wyciągnięty u ognia, milczący—Rosomak słuchał. Dorzucił słowo Pantera, Odrowęż, nawet Żuraw—nawet mruk Szczepański. On zapatrzony w niebo milczał.

— Wódz zadrzemał—ozwał się Pantera.—A pewnie nie bylejakie cuda widział i słyszał. A, chodząc nocami po puszczy, może w chodaku miał kwiat paproci.

— Nawet go zawsze mam, a i to wam powiem, że każdy z nas go posiada!—odparł powoli. Wszyscy utkwili weń oczy pytające.

— Bo tak—mówił dalej.—W baśni tkwi cała mądrość pierwobytu i trzeba baśń w życie wprowadzić. W baśni śmiałki zdobywają królowny i szklaną górę, i żywą wodę i taką wolę i wytrzymałość trza mieć. Zdobywają szczęście, bo ofiarowują siebie, by słabych, uciemiężonych, zaklętych wyzwolić. W baśni silny wspiera słabego, głupi dobry zwycięża silnego złego—i w baśni stworzenie boże, ptaki, zwierz, gad, owad wraca do przyjaciółstwa z człowiekiem, do zrozumienia się—jako być powinno.

W baśni—życia, siły, uzdrowienia, mądrość i jasnowidztwo dają źródła wody—krzepkość daje zbożowe ziarno, na szczycie, na tronie zasiada pastucha rodem, ale bohater z duszy i czynu.

Kto baśń zrozumie—i żyć wedle niej będzie, ten posiadał kwiat paproci.—Ten ma „oczy co widzą, uszy co słyszą“. Ten żyje mądrością przyrody. A jest li kto z nas tu bytujących—coby z doli swej nie był rad,

drugim zajrzał, czegoś cudzego, obcego, dalekiego, innego pożałował?—Milczeli wszyscy.

— No, toć kwiat paproci mamy w zanadrzu głęboko—z kąd nie wypadnie: w sercu.

Powstał Rosomak, przeciągnął się—spojrzał po niebie.

— Ot i świt niedzielny. Żórawie stróże już grają. Do dom!

Nikt nie myślał o śnie. Cudny, pachnący, rośny świt wstawał nad puszcza. Chłopcy z Panterą kopnęli się do kąpieli, a Szczepańska rzekła.

— Niedziela jagodna być powinna. Nikomu obiadu nie dam, kto pełnego dzbanka nie przyniesie.

— Trudno—trza matki słuchać—idziemy!—rzekł Rosomak.

— Ale pierogi na wieczerzę sobie zamawiam!—dodał Odrowąż.

Jakoż, gdy chłopcy wrócili po kąpieli, znaleźli chatę pustą—a na progu trzy puste dzbanki i trzy kromki chleba.

— Aha, znaczy—jazda po jagody!—zaśmiał się Pantera, porywając najmniejszy dzbanek.—Można się będzie przespać, najeść czernie i poprosić drożdów, żeby pomogły zbierać.

— Do barci zajrzę, bo tam najwięcej poziomek—rzekł Bartnik.

A Coto, widząc Łataną Skórę idącą wolno na pastwisko, wskoczył na nią i tak ruszył w las, na beztroską wędrówkę.

Za matką dreptała mała Agatka, kropka w kropkę, łatka w łatkę pstra miniaturka klaczy—i, bawiąc się, skubała go za chodaki, bo zwykli byli swawolić i uganiać po polanach.

Dzień się zapowiadał upalny i Cota sen morzył, więc się wypraszał.

— Na odwieczerz, Agatko, pohulamy, teraz zaprowadźcie na polanę, pod omszony wykrot, w paprocie, i godzinkę się prześpię.

Klacz też kierowała się na odkryte polany i wyprowadziła go na Murawiewską trybę, gdzie rosła dąbrówka wonna—i wtedy zaczęła się pożywiać pilnie.

Coto ześlizgnął się na ziemię, obejrzał, szukając najwygodniejszego legowiska.

Stare, samotne dęby rosły z rzadka, a zwały porąbanych olbrzymów, oplecione zielskiem, wyglądały jak zielone, mogilne kurhany. Coto wdrapał się na jeden, między suchymi konarami się umieścił i wpół siedząc i wpół leżąc patrzył, czując jak powoli rozkosznie zasypia.

Klacz pasąc się oddaliła się znacznie. Agatka przystała, skubiąc dla zbytku paprocie pod jednym z olbrzymów.

Była taka cisza, że słyszać było brzęk owadów. Puszcza stała bez ruchu, bez głosu, pławiąc się w słonecznem południu.

I oto nagle posłyszał Coto trzask złamanej suchej gałęzi na dębie, nad Agatką.

Podniósł oczy—i zerwał się jak puszczone z łuku strzała.

Cały dramat trwał sekundy. Na konarze mignął mu potwór w skoku—piorunem strzeliły z mózgu myśli-obrazy: Lithuania, śmierć—ryś—i cisnął się jak pocisk między ten skok zwierza—i żrebię.

Zwierz zwał się na niego—wszczepił pazury w lewe ramię—obalił na ziemię.

Ból rozdartego do kości ciała, groza tamująca dech—instynkt drapieżny obrony. U twarzy zamajaczała paszcza czerwona, cuchnąca trupem, oczy zieloną źrenicą przecięte—i chłopak za gardło uchwycił bestyę dławiąc rozpaczny wysiłkiem.

Sekundy to trwało, i długo trwać nie mogło: ramię traciło moc, krew z rozprutej arteryi bluzgała strugą—oczy zachodziły mgłą—jeszcze sekunda—i będzie koniec.

Walka odbywała się w milczeniu, gdy wtem rozległ się tętent—i gasnącemi oczami ujrzał Coto nad sobą ostatni obraz:

Rozdęte nozdra, błyskające źrenice—łeb klaczy zmieniony wściekłością. Dziko chrapiąc dopadła do zwierza i skoczyła obu nogami na krzyże drapieżnika.

Ozwał się chrzest łamanych kręgów—zdławiony spazmem śmiertelnym pomruk bólu—i paszcza zwisała bezwładnie na piersi chłopca—ale on tego już ani widział, ani rozumiał, bo stracił przytomność.

I oto zawrzało w puszczy. Klacz, przygważdżając kopytami wroga, podniosła łeb i rżała dziko, a na to hasło „krwi“—pędem z gęstwiny ukazała się Hatora i dopadła miejsca mordy, rycząc dziko, kopiąc racica-

mi ziemię dokoła. Przytulona trwożnie do boku matki wtórowała dyszkantem Agatka.

Ten sygnał zwierzęcy usłyszeli Rosomak i Żuraw, zajęci obserwacją jakiegoś porostu na zmurszałej osice.

— Domownicy na krew trąbią. Coś się tam stało. Lećmy na ratunek.

I pobiegli; dopadli w porę.

Rozległy się sygnały, trąbki, gwizdki, wołania.

Nieprzytomnego chłopaka w mig przyniesiono do chaty—oddano w ręce Żurawia, do ciężkiego, bolesnego opatrunku.

Kręcił markotnie głową Żuraw, a wszyscy stali nad nim bez głosu, przerażeni; dopiero, gdy krwotok doktor zatamował i obandażował ranę, Odrowąż rzekł.

— Nie sumujcie. Żyw będzie. Doktor niech swoje robi, a ja do domu zaraz pójde i przyniosę swoich leków. Mówię wam—żyw będzie, tylko szmat krwi stracił, to i omdlał. A wy: Pantero ze Szczepańskim skórę rysią pięknie obciągnijcie, a głowę zaraz do mrowiska zakopcie dla oczyszczenia. Rzadka sztuka, i trza będzie przeszukać, kędyś gniazdo być musi i małe, bo mleczna samica—bestya.

Gdy się Coto ocknął—leżał w komorze na posłaniu Rosomaka i czuwała nad nim Szczepańska. Przy oknie na stoliku Żuraw przyrządzał miksturę.

— Łatana Skóra!—szepnął chłopak.

— Co, dziecko?—szepnęła kobieta.

— Łatana Skóra uratowała. Już było po mnie. Dajcie pić! Doktorze—pewnie lewej ręki nie będzie?

— Będzie, będzie! Na skrzypkach grać będziesz, tylkoś ranny. Jakże to się stało?

— Na Agatkę miał skoczyć—z konaru. Więc myślałem, że odepchnę, uduszę! Nie wiem, nie nie myślałem.—Małej żal było!

Ale to potwór—żeby nie kłacz!

Mówił szeptem—rwały się słowa i zapadł w jakieś senne majaczenia. Wieczorem dostał gorączki—i powtarzał.

— Widzi Pantera, widzi Pantera—pokaże się w okazyi, zem nie Gęba Rusznica, ani Coto głupi! Aha, Pantero, aha!

Czuwali nad nim na przemiany wszyscy—o świecie wrócił Odrowąż—z torbą pełną flaszek i maści i rzekł do Żurawia.

— Dopusci mnie doktor do pacjenta?—Uśmiechnął się Żuraw—i spojrział wokrag puszczy.

— Od kilku lat pod waszym rektoratem uczę się w tej Almae Mater—jakżebym waszej nauki nie czcil.

Stary mędrzec wziął tedy chłopaka w kuracyę, zlał ranę pięknie pachnącym balsamem, ugotował z ziół napoju, na rozpaloną głowę przyłożył okład chłodzący, i to sprawił, że po dwóch dniach gorączka spadła i chory zażądał posiłku, a potem spał jaknajspokojniej i poto się tylko budził, by wołać:—jeść.

A wreszcie zbudził się pewnego dnia z uczuciem ozdrowienia i jakiejs wielkiej radości życia.

Wokoło panowała cisza i słoneczność, przez otwarte szeroko okno alkierza słało się ciepło letnie

i zapach żywicy. Rozejrzał się Coto—był sam, ale za drzwiami słyhać było jakiś roboczy szmer.

— Matko!—zawołał.

Ale zamiast Szczepańskiej ukazał się Odrowąż z miską w ręku.

— A co? Jeść chcesz!

— I jeść, i żyć, i gadać, i śpiewać! Opuściła mnie słabość. Tak mi dobrze! Dziękuję, ojcie.

Zaczął pożerać z wilczym apetytem polewkę, gęstą od ryby i kartofli, zaprawioną obficie śmietaną.

— Matki niema?

— Nikogo niema. Wszyscy u żniwa—ale co wieczór jeden przybiega o ciebie się dowiedzieć.

— Mój Boże, a czy dla mnie żniwa starczy? Już wstanę, ojcie, tylko lewa ręka jeszcze nie słucha!

Usiadł na posłaniu i poczuł pod stopami futro—spojrzał.

— Bestya!—zaśmiał się.

— Należy ci się pod nogami ją mięć, a i czapkę ci Pantera zdobył.

I pokazał Odrowąż dwie małe skórki kociąt.

— Znalazł w dziupli dębowej. Podrapały mu szpetnie ręce, ale całe gniazdo zczezło, dzięki tobie. A ot—i czerep masz na pamiątkę boju—mrówki oczyściły cudnie.

— Straszny zwierz—chyba mocniejszego niema w puszczy?

— Niema—tylko szczęściem rzadki. Dawniej bywało, że i niedźwiedzia zadarł. Teraz niedźwiedzi niema, ale łos mu się też nie obroni.

— Wyście go ojciec bili kiedy?

— Mało. Ostatni był lat dziesięć temu. Zadarł łanię i tak się przeżarł, że go śpiącego na drzewie dopatrzył—i zabił.

Coto siedział zasłuchany.

— Tak dziwnie cicho!—szepnął.

— Bo już lato, Lipiec. Ptaki skończyły gody—owad tylko w skwarze hula i brzęczy.

— To już dawno leżę?

— Trzeci tydzień.

— O Boże! Tyle czasu bez roboty.

— Nie wiele. Zdrową masz krew. Po kłach i pazurach rany jadłem jakimś zachodzą i ciężko się goją. Bogu dziękuj, żeś miesiące nie odleżał.

Ujął go za rękę i począł palce jakimś tłuszcem maścić i rozcierać

— Będziesz władzę miał, ale nie zaraz. To nie! Grzyby zbierać zdołasz, a to będzie pierwsza robota. Z nowiu już powinny się wysypać, bo ziemia kwitnie.

A wtem prędkie kroki rozległy się w ogródku—i w progu stanął Bartnik, zdyszany i uśmiechnął się radośnie.

— Już uciekasz z posłania. Chwała Bogu.

Uścisnął dłoń chorego, pocałował dziada w rękę i prędko raportował.

— Wódz przysłał po miód—bo jutro u nas dożynki.

— Już—tak prędko!—zdziwił się Odrowąż.

— A bo tak! Jak ludzie zobaczyli doktora z kosą—tak się zlecieli z chorobami—a on powiada:—Zboże nie może czekać; niech kto mnie wyręczy przy kosie, to

idę. Tak się zaraz rzuciło pięciu i kobiety do wiązania. A potem znowu przyszła gromada do wodza—żeby jakiś spór graniczny rozsądził i w mig go wyręczyli. No—i położyliśmy żyto i jęczmień i rychlik już koszą. Ino huczy u nas na polu, a śmiechu, a śpiewu, a ochoty—że ha! Wódz kazał miodu przynieść i skrzypce! Zaraz do barci po miód skoczę—inobym chciał mleka się napić, bo straszny skwar—a doktor krzyczy, żeby wody nie pić, bo ludzie zaczynają na biegunkę chorzeć. Ojciec już mendle zwozi na gumno!

I poleciał chłopak, a Coto też zaczął napierać się na Boży świat, ale ino na przyźbie usiadł tak jeszcze był słaby i na płacz mu się zbierało, że lecieć, pracować, znoić się i cieszyć z nimi nie może.

— Nie to!—pocieszał go Bartnik, gdy wrócił z lipówką pełną miodu, i dał mu na miseczce kawał plastru jeszcze przejętego ciepłem i wonią ulla—nie to! Ale co się dla ciebie szykuje, żebyś wiedział! Pantera z wodzem szepcze, alem podsłuchał.

— Co?—powiedz!

— Nie wolno mi gadać! Zobaczysz!

I śmiejąc się, chłopak tobołki zabrał, pożegnał się i poleciał z powrotem.

— Ojcie! Co mnie czeka? Pewnie wiecie?—napadł Coto na Odrowąza.

— Nie wiem! Ale myślę—że cię czeka to, co się należy zuchowi: chwała i honor—odparł stary—głaskając go po głowie.

Minał jeszcze jeden cichy, skwarny dzień letni. Coto już od rana wyszedł na podsień i rozkoszował

się życiem. W naturze czuć było przesilenie, koniec jednego okresu. Wśród gałęzi drzew i krzewów ćwierkała młodzież ptasia, dopominająca się u rodziców pożywienia, przelatujące nieśmiało z konaru na konar w skwarnem powietrzu bujały wielkie bąki, gzy i motyle—monotonnie gruchały turkawki, czasem przerywał ciszę krzyk sójki, zwiastującej jastrzębia, a tło letniej muzyki utrzymywały świerszcze, bezustannie strojące swe jednotonowe skrzypce.

Słońce stało w potędzie dojrzewania.

Na jarzębinach poczynaly się barwić paciorki i wielkie liliowe dzwonki kwitły pod pniami brzoź—na których już gdzieniegdzie błyskały pojedyncze złote liście.

Świerszcze, owady lotne, turkawki śpiewały kołysankę, co wreszcie uspiło Cota, który się w ogródku na derce wyciągnął i dał się słońcu wzmacniać i goić. Aż gdy się ocknął—miało się na odwieczerz i z puszczy wynurzył się Odrowąż i z zawiniętej poły kapoty wysypał na przyzbę kupę żółtych lisic i syrojadek.

— Ot—i pierwsze grzyby już są. Będzie urodzajny rok.

— Myślałem, żeście ojcze poszli na dożynki.

— A ciebie miała łania karmić, jak świętych na puszczy! Zanimbym zeszedł, to i oni wrócą. Pewnie na noc będą.

Zaczął stary grzyby na wieczerzę obierać i prawie leśne baśnie—i tak im zeszło do wieczora.

Chłopak upierał się doczekać towarzyszy, ale musiał po wieczerzy już spać do alkierza, bo jednak

jeszcze go ten dzień zmęczył. A zresztą chciał przespać niecierpliwe oczekiwanie tego, „co się dla niego szykowało“.

Nazajutrz chata zawrzała zwykłym gwarem. Od świtu rozlegały się rozprawy Pantery przy obroku i doju, rozhowor Rosomaka z Odrowążem o żniwie, pogwizdywania Bartnika, kłótnie Kuby z Żórawiem o orzechy i Coto począł do nich wołać, witać.

Ale przedewszystkiem odbył się opatrunek kalectwa, z wielką pociechą i radością, bo rana bliźniła się świetnie, a potem Pantera wziął się do tualety chorego!

— Na gody, panie młody, na gody!—mówił strzygąc go, czesząc, szorując, oblekając w czystą bieliznę.

— Co za gody? Na jakie gody?—pytał Coto—dopomagając jak mógł jedną ręką.

Ale Pantera stroił cudaczne miny, a potem po swojemu „prysnął“ w las, stęskniony za bujaniem i swobodą.

Rozeszli się wnet inni, każdy do swej namiętności: Odrowąż z Rosomakiem na połów, Bartnik do pszczoł—tylko Żóraw pozostał na gospodarstwie, ale się też zatopił w segregowaniu mnóstwa okrzeseł, krzemiennych grotów i siekier, skorup i glinianych paciorków—zdobyczy z dalekich łądów.

Po południu przybiegła Szczepańska. Zawiesiła kołyskę z „panną młodą“ w alkierzu, jęła się po swojemu do roboty, napełniła weselem i śpiewem całe obejście.

— Bez kobiety—śmiecie się u was gromadzi!—
śmiała się do Żurawia.

— Nie może być ładu bez matki!—potwierdził.

Zaczęła tedy Szczepańska szorowanie gruntowne,
umiała kwieciem izbę, bieliznę brudną wyniosła do
wody, a pomagał jej Coto wedle sił—oczekując nie-
cierpliwie wieczora.

Nareszcie, gdy obsiedli wszyscy stół z wieczerzą,
ozwał się Rosomak.

— Jest tu wśród nas Coto?

W chłopcu zabiło na gwałt serce.

— Niema u nas żadnego Cota—odparł Pantera.

— Jest leśny nasz druh, Orlik bojowy, co z gołemi rękami na rysia się rzucił.

— A dlaczego się rzucił? Czy życia swego bronił?

— Nie bronił swego, ale cudzego życia—i takiego
słabego stworzenia—zwierzęcia, co człowiekowi służy ci-
che i posłuszne, a bywa od ludzi zwykle wyzyskiwane
tylko i krzywdzone. A Orlik bojowy jako bratu i przy-
jacielowi skoczył na ratunek—i omal swego życia nie
postradał. Przeto mu cześć i chwała za taką duszę mi-
łosierną.

— Chwała!—powtórzyli wszyscy.

— A czy Orlik bojowy czei w tej puszczy Boga
Mistrza, co te cuda uczynił, i bratem się czuje każdego
stworzenia, co z nami tu żyje.

— Czczę i szanuję!—szepnął wzruszony chłopak.

— A czy Orlik bojowy opanował nocny lęk pu-
szczy i nie trwoży go wodna toń, ni bezdeń trzęsawisk?

— Śmiały jest i spokojny! — rzekł Żuraw.

— A czy Orlik bojowy trudzi się i pracuje z umiłowaniem trudu i pracy.

— Radosny pracownik jest! — poświadczyła Szczepańska.

— Tedy Orlik bojowy jest naszym bratem i druhem serdecznym — rzekł uroczyście Rosómak, powstając i wyciągając prawicę.

Powstali wszyscy, ale w tej chwili rozległ się za chatą ruch, szamotanie i rzenie końskie.

Nikt poprzednio nie zauważył, że Pantera z izby się wyslizgnął. Teraz rozwarły się szeroko drzwi chatnie i, tupiąc hałaśliwie kopytami, wkroczyła Agatka, cudacznie przystrojona.

Miała na szyi wieniec z nieśmiertelników złotych — na grzbiecie rozpostartą rysią skórę, a u grzywy przy uszach skórki kociąt. Stała na środku izby, trochę wystraszona i zarżała.

Na to hasło w otwartym oknie ukazał się łeb Łatanej Skóry, patrzącej dobrodusznie — i odzywającej się uspokajająco.

Za Agatką ukazał się Pantera i rzekł.

— Domownicy proszą wodza ze swym przyjacielem i obrońcą, i polecają mi złożyć mu łup zdobyczny.

Coto nie znał słów na odpowiedź, tylko objął Agatkę za szyję i całował ją w chrapy — wycierając nieznacznie o sierść łzy wzruszenia.

A potem wyprowadzili się razem na polanę i poczęli harcować we troje, bo i Bartnik przyskoczył do kompanii.

Patrzała na tę swawolę z pobłażaniem Łatana Skóra, a z pewną krytykę flegmatycznie przeżywająca Hatora.

I patrzył zazdrośnie z płotu Kuba, ale się trochę bał przyłączyć do harców.

I odtąd nikt już Orlika bojowego nie nazwał Co-tem, bo drogo swą leśną nazwę zapłacił.

Dziewiczy ład.

Wedle przepowiedni Odrowąża w kilka dni potem wysypały się grzyby.

Pantera pierwszy zjawił się z pełną kobiałką i dał hasło zbioru.

Jakaś zaciekleń chęć zdobyczy opanowała leśnych ludzi. Był to przecie dar natury, szczodry do przeobfitości, dar puszczy, owoc ziemi pierwotnej—i pierwotną była ich radość z owej manny cudownej.

Zaniedbano wszelkie zajęcia, nie pilnowano godzin posiłku, nie odczuwano trudu. Ledwie świt—pustoszała chata, rozbiegali się pojedynczo, bo każdy miał swe rewiry i zakąty, o których nie mówił innym, chcąc się największym zbiorem pochwalić.

Tylko Bartnik towarzyszył Orlikowi, by mu pomóc w dźwiganiu kosza i Rosomak trzymał się w pobliżu Szczepańskiej, wyręczając ją czasem w piastowaniu dziecka.

Grzyby znoszono do ogródka na osobne stosy, które wieczorem rachowano i przygotowywano do suszenia.

Stanowiły też codzienny posiłek, bo na polów nikt nie wypływał, a obierać kartofli nikt nie chciał, tak bywali zajęci i zmęczeni.

Po paru dniach Rosomak jednak dzielenia i rachowania zabronił.

— Zsypywać będziemy na jedno miejsce, a jeśli chcecie, wszystkie wieczorem rachujcie. Nie nasz obyczaj—jeden przed drugim się przechwalać.

— Bo i prawda. Bóg daje każdemu i wszystkim!—rzekła Szczepańska.

Mileżał przecząco Pantera i chłopcy, ale uledez musieli.

Co wieczór palono w piecu i co rano—ale zbiór się nie mieścił do suszenia—i trzeba było nadmiar wysyłać wozem za Tęczowy Most, lub dostawiać do kładek—skąd zabierał do folwarku Szczepański.

Ludzie byli zapracowani, ale rozpromienieni robotą, pomimo całodziennych marszów, dźwigania ciężkich koszów—i całodziennego głodu, gdyż brali ze sobą tylko chleb, a pragnienie tłumili jagodami.

W chacie zapanowało takie gorąco, że nocowali na dworze—na pomoście, który wśród konaru starego esionu zbudował z żerdzi i desek Pantera.

Szczepańska z dzieckiem sypiała na podsieniu.

Z wypraw tych, z bobrowania po wszelkich zakątkach przynosili zarazem i inne trofea: mchy rzadkie, węzoweskórki, narościa drzewne, czeczoty—gniazda, pióra—a wreszcie Orlik z Bartnikiem znaleźli łosie, siedmioletnie rosochy i przydźwigali z trudem, mając do roboty we dwóch tylko trzy ręce.

Urodzaj grzybów był bajeczny i ogarnął cały ten kraj. Szczepański przybył też z folwarku opowiadając, że wsie były puste i roboty polne zaniedbane; wszyscy wybiegli w lasy.

Opowiadał też, że chłopci zachodzili nawet na tę stronę trzęsawisk, ale że pewnego dnia wrócili w popłochu, bo się im ukazał i gnał, strasznie wyjąc — dyabeł leśny czy wilkołak.

Oczy Rosomaka podniosły się na Panterę.

Nad stosem grzybów, oczyszczając je i sortując do suszenia, klęczeli we trzech Pantera i chłopcy, szepcząc coś tajemniczo. Po twarzach latały im śmiechy. Zdawali się wcale nie słyszeć co mówiono na podsieniu.

— Jednego dyabła tylko widziano? — rzekł Rosomak, głos podnosząc. Ja bo widziałem trzech.

Orlik nie wytrzymał, podniósł głowę, a Pantera podchwycił.

— Wódcz to nawet jasnowidzenia miewa.

— Za trzy dni grzyby się skończą — już robaczeją. Dopiero za miesiąc znowu się wysypią! — zdecydował Odrowąż.

— Mam na ten miesiąc wielką robotę — rzekł Rosomak, gdy zasiedli do wieczerzy. Takich suchych błot nie było lat wiele. Moglibyśmy się do Pohybelnika dobrać. Jak myślicie, ojcze?

— Można spróbować. Tam nawet zimą w krąg oparzeliska. Trzeba będzie łożyć słać i mościć przesmyk. Siła nas teraz — to dokonamy.

— Przedewszystkiem do Puhaczego Ostępu się dostać — tam jeszcze grzyby nietknięte czekają.

— To na jutro zatem wyprawa.

— Bo i po drodze na Pohybelnik.

Ruszyli nazajutrz o świcie wszyscy sześciu na całodzienną wyprawę. Las był cichy i zadumany, jakby w sobie skupiony i ciężki dojrzwaniem nasienia i owocu. Ćwierkała nieuczenie młódź ptasia, z jagodników porywały się drozdy spasiono, pod stopami chrzęściały zioła i mchy poschnięte skwarem, a z brzoź oblatywały już pozłoczone liście. Jarzębiny stały strojone w purpurowe korale i różowym nalotem poczynwały się barwić kaliny i borówki.

Wrzosa były już w pączkach, a po polanach kwitły tysiączniki i goryczki — późne kwiaty.

— Jesień idzie! — rzekł ze stęknieniem Rosomak.

— Trzeba zacząć zbierać jarzębiny i zioła — zauważył Żuraw.

— Ba, jeszcze orzechy nie gotowe. Jeszcze zabawimy ze sześć niedziel — pocieszał się Pantera, coraz to wychodząc z szeregu i zbierając grzyby.

Chłopcy wypatrywali gniazd, ale wszystkie były już puste, tylko znaleźli mchową chałupę wiewiórczą, a w niej późny lęg — czworo rudych wyrostków, które się rozpierzchły błyskawicznie po gałęziach.

— Kuba, to pewnie twoje dzieci! — zawołał Pantera.

Ale Kuba, siedząc na ramieniu Żurawia, obserwował tylko leszczyny.

Stanęli wreszcie nad halizną torfowisk, naprzeciw Puhaczego Ostępu i wzięli się do roboty. Błoto pożarło już wiosenne przejście, zaczęli tedy łozy rąbać,

w pęki wiązać, a Odrowąż ścieżkę słał, wybierając wedle swego doświadczenia mniej przepastny szlak.

O południu, trochę pełznąć, trochę się topiąc, przedostali się do sosen i rozłożyli obozowisko, spoceni i obłoceni posilali się chlebem i mlekiem i rzucili się, zamiast spocząć—do zbierania grzybów. Nikt tu do-
tąd nie był. Grzyby rosły jedną masą zwartą — całemi koloniami, różnego wieku i wzrostu. Bez trudu, bez szukania brano je i zrzucano na stos.

— Ale jak je ztąd wydostać!—pytał Orlik.

— Posuszmy na miejscu! Palcie ognisko—zakomenderował Odrowąż.

Wedle jego instrukcyi wykopano szeroki a płaski rów i zapalono w nim ogień. Stary pozostał, by go pilnować i zasilać, a oni się rozpierzchli, zbadać cały ostep.

Rosomak z młodej sosny zrobił pierwotną drabinę i dostał się do barci, Pantera z chłopcami zaszył się w gąszcza, i wnet z tryumfem przynieśli dwa, już puste, remizowe gniazda, Żuraw wydostał się nad dalsze halizny błotne — i znalazł kolonię kwiczołów—kilkadziesiąt gniazd po brzozech i chmarę ptaków żerujących na jemiolach.

Rosomak, znalazłszy pszczoły, syte, bogate i bardzo wojownicze, ruszył też na wyprawę.

Poskoczył za nim Orlik.

— Wuj, mogę razem pójść?

Skinął głową Rosomak. Zaszyli się w gąszcza i chłopak mówił szeptem:

— Jakoś mi tu dziwnie! Inaczej jak tam u nas. Jakbym był w kościele. I cisza tu inna.

— Chram natury. Rzadko i dawno tu ludzie bywali. Uważasz te szczeliny w gąszczu? To łosie i sarnie ścieżki. Idźmy cicho i milczkiem, możemy coś pięknego zobaczyć.

Ostęp stawał się coraz dzikszy. Stare świerki cieniły go olbrzymiemi, nawisłemi gałęzmi, przeszytymi u ziemi gęstwą młodych brzoź, osik i zwałami dra pieżnych jeżyn. Małe halizny czyniły powalone drzewa, osnute całe pełzającymi chmielami i powojem. Trzciny pokrywały nizy, kłębiąc się w ściany zielone, w fale nieruchome, w okopy roślinne.

I wśród tego wily się ciasne, przetarte szlaki, którymi leśni ludzie przesuwali się powoli, starając się stąpać bez szelestu, nie trącać zielonych ścian. Cisza była tak głęboka, że słyszeli kucie dzięcioła za topielą, brzęk pszczoł, żerujących na kruszynach i bicie swych serc. Nie odzywali się. Czasem Rosomak stawał i pokazywał to gniazdo rzadkie, to kwiat, to wiewiórkę na świerku, to sowę, przytuloną do pnia i prawie niewidzialną, to lelaka złożonego we śnie jak sęk drzewa, tak szli—czytając księgę lasu.

Nagle drgnęli—i znieruchomieli w cieniu świerku. Gdzieś na prawo, w gąszczu, coś się odezwało. Było to jakby pobekujące, głuche stęknienie i trzask łamanych gałęzi.

Rosomak wziął za ramię Orlika i wsunął go za sobą pod nawisłe gałęzie. Niewidzialni zastygli w nieruchomości—w oczekiwaniu, w napięciu wzroku i słuchu.

Gąszcze ożyły. Jakaś moc druzgotała krze i młode drzewa, jakiś huragan je chylił i roztrącał. Głuche, ponure mruczenie i trzask, jakby drewnianych kołatek.

Na roziskrzony, pytający wzrok chłopca, Rosomak szepnął prawie bez dźwięku:

— Łoś idzie. Olbrzym!

I nagle rozwarły się gąszcze, znikły jakby zdmuchnięte wichrem i na haliznę o dziesięć kroków przed nimi wynurzył się kształt potworny i fantastyczny.

Na razie Orlik nie mógł zrozumieć.

Zwierz to był, czy ruchomy roślinny gąszcz?

Nogi tonęły w krzakach, a potworny łeb był jedną masą zieleni, oplataną wokół kilkunastoramiennych rogów.

Masę tę zwierz rył, tarł wokół siebie, zbierając więcej i więcej chmielu, jarzyn, gałęzi. I oto, czemś zaniepokojony, stanął na [haliznie i wyprostował się w całej potędze.

Parsknął i zawęszył. Ciemne, poważne oczy rozejrzały się w koło, nagie, rozdęte chrapy zdawały się pytać, badać, myśleć. Doleciała go woń nieznana, tajemnicza, a instynktowi groźna—dymu.

Nie spłoszył się jednak—ufny w swą mocarność, śmigołość nóg, znajomość puszczy.

Parsknął raz i drugi ze wstrętem, z pomrukiem jał znowu drzeć rogami pnącza i powoli ruszył dalej, klekocąc racicami.

Za nim, korzystając z trzasku łamanych odrośli, ruszyli ludzie.

— Godowa pora!—szepnął Rosomak.

— Wieniec sobie nałożył na łeb! Ale mocarz. Szpetny zresztą—ale jakby zjawą bajeczna—cudny!

— Prawdziwe bożyszcze leśne. Zaprowadzi nas w najtajniejszy matecznik.

Łoś nie trzymał się szlaków. Parł przed siebie, miażdżąc łozy, młode drzewa, krze, trzciny sążniste, jakby szedł po gładkiej łące.

I tak doszedł do skraju szerokiej polaci oparzelisk i topieli, otaczających jak morze tę wyspę leśną.

Stanął, zawęszył, zabeczał donośnie.

Patrzył na drugą wyspę, czerniejącą w oddali.

Chwilę jakby słuchał stamtąd odezwu, potem skreślił w bok i zsunął się w wąską wodną strugę—wijącą się zygzakiem wśród kęp i niskich zarośli.

Brodził, zagłębiał się, wytryskiwał nad błotem jego łeb umajony i wreszcie znikł w szarzyźnie trzciny i mchów.

Jeszcze chwilę słychać było chlupot wody, coraz cichsze parskanie—i zjawą zginęła, jak sen prabytu.

Rosomak za jego śladem zsunął się w wodę i spróbował gruntu.

— Nawet Odrowąż o tym brodzie nie wie. Możemy brnąć; gdzie głębiej—płynąć. Ale to bezpieczny, starodawny przesmyk ciężkiego zwierza. Jutro możemy się dostać bez fatygi tam. Żórawie lęgi spenetruje Pantera, a wiosną przyszlą dostaniemy tam pewnie jaja gluszcza, bo tam ich toki grają co rok.

Zawrócili z powrotem, rozmawiając głośniejszym, podnieceni, uradowani. Nie szukali drogi—prowadził ich zapach mocny—suszących się grzybów.

Jakoż Odrowąż już stworzył pierwotną suszarnię. Nad żarem zasnuł ruszt z prętów i rozłożył grzyby.

— Do jutra przywiędną—potem się znowu żaru napali—i skończone. Cobyśmy nie zabrali w wóz—poniesiemy w torbach.

Towarzysze zebrali się już wszyscy. Żuraw czyścił jakieś korzenie, Bartnik plótk chodaki, Pantera rozłożył ognisko i piekł na żarze rydze.

— Coś taki milezący, Pantero?—zagadnął Rosomak, wyciągając się na ziemi.

— Nie widzicie, co robię?

— Widzę. Rydze przypiekasz. Tylko nie wiem dla czego nie solisz?

— Łzami solę! Czerwone jarzębiny, złoty liść z brzozy leący i rydze! Toć jesień!

— Milknie wszystko i tęsknieje. Ale żeby spoczynku nie było i ponurości jesieni i grozy zimy—nie byłoby szczęścia zmartwychwstania. Trzeba mieć ufność i mądrość ptaka, rośliny, zwierza. Mijamy a i trwamy.

Tu się zwrócił do Odrowąża i spytał:

Czy znacie, ojcze, zwierzy bród przez Pohybelnik do Medwidły?

— Nie.—Zdziwił się Odrowąż.—W Medwidle leżeliśmy wtedy, po powstaniu, aleśmy dobrnęli tamtędy—od jezior.

— Dziś nam łoś bród wskazał. Jutro spróbujemy. Zanocujemy tutaj—w domu matka jest—to domowników dopatrzy.

— Dwadzieścia lat w Medwidle nie byłem, bo

tam potem rzeka się zabagniła i odcięty ostęp ze wszech stron, a i nie łakomy, bo ani łąki, ni grzybów niema. Matecznik odwieczny. Na głuszcze kiedyś się wybrałem, ale po barki wpadłem i ledwie żywy wróciłem.

— Sprobujemy łośiego brodu. Teraz, chłopcy, trochę gałęzi na szałas urąbcie i przepłoszcie żmije, bo ich tu pełno. Powieczerzamy i spoczniemy!

— To może tam leży chorąży?—szepnął Orlik do Bartnika—i może ten łoś i te głuszcze, co tam mieszkają od wieków, znają jego mogiłę.

— I może tam żyją pszczoły po odwiecznych barciach i całe drzewa pełne są miodu.

— I może tam rysie się lęgną i siwieją ze starości.

— I może jeszcze są niedźwiedzie!

— A jedno pewne, że orzechów tam jest pewnie moc!—rzekł Pantera, układając na liściach pieczone rydze na wieczerzę.

Zmęczenie pracy i skwaru wnet objęło wszystkich. Zakopali się w mech szałasu, Odrowąż u wejścia rozpałił dymne, z mokrych gałęzi świerkowych ognisko, i tak zabezpieczeni od komarów i żmij posnęli—marząc o jutrzejszych odkryciach i cudach.

Zbudził ich rzeźwy chłód poranku.

Biała rosa leżała na ziemi, Odrowąż mruczając Godzinki, zbierał z rusztów grzyby. Żuraw szukał na próżno na brzegu bagna wody do mycia, Rosomak obierał z pleców Bartnika leśne kleszcze, pozbierane w gąszczach, Pantera już skwarzył na węglach rydze. A wszyscy się spieszyli, gnani ciekawością.

— Prowadź Orliku!—zakomenderował Rosomak.

— Byleś trafił—zaśmiał się Pantera.

Ale Orlik już się nauczył kierować, bo już umiał czytać las jak książkę. Poskoczył na czoło szeregu i bez wahania ruszył, w myśli sobie wczorajsze obrazy odnajdując.

— Przechodziliśmy obok olszyny—tej tam, co ma złamany średni konar—potem na tę czerwoną jarzębinę—potem na osinę z dziuplem, z której grzywacz wyleciał—ma tam pewnie małe! A teraz przez ten zwal—co na nim były pióra z jastrzębiego mordu a potem na ten świerk, co na nim hulała wiewiórka, i na ten zawrót ścieżki, co na suchej łożu ma pęczek sarniej sierści.

Przypominał, odnajdywał i prowadził bez wahania, aż wreszcie stanął i rzekł:

— Tu, z tych gąszczy wychynał—i stał. A myśmy byli.

— A widziałeś sroczę gniazdo, za plecami! —spyttał Pantera.

— Nie. Patrzałem na niego, jak na zjawę. A wtedy runął na przełaj—do brodu.

Stanęli wkrótce nad czarną wodną ścieżką. Rosomak na czoło się wysunął i zaczął się rozbierać.

— Odzież w tobołek i na głowę, bo może miejscami i nie zgruntujemy.

— Ba, ale nas pijawki żywcem pożrą—zaprotestował Pantera.

— Dobrniemy żywi, a tam się oczyścimy z plugastwa. Odzież bardzo będzie zawadzać.

Rozebrali się tedy i Rosomak zsunął się w czarną, wstrętną, gęstą wodę.

Spód był grząski, ale posuwali się naprzód, krzywiąc się i parszając z obrzydzeniagniłych, cuchnących wyziewów bagna. Woda sięgała pasa, następnie ramion, wreszcie Rosomak zaczął płynąć. Błotniaki pozrywały się z kęp, krzycząc z podziwu i trwogi. Bród się łamał i zakręcał. Zdawało się ludziom, że chyba nigdy się nie skończy. Orlik czuł, że lada moment wyciągnie się na kępę i umrze, taka go ogarnęła niemoc i rozpacz.

Aż w tem rozległo się wołanie Rosomaka.

— Już dopływamy. Mam grunt pod sobą—i Medwidły tuż.

Szczeliną wodna ścieżka wnurzała się w dwie ściany leśne, utworzone z trzcin, kolących krzów i bezkształtnych trupów jakichś zwalonych drzew. Na pierwszy pień wypelzł Rosomak i odsapnął.

Po kolei wynurzali się inni i obsiedli omszały czarny konar, dysząc i mileząc.

Wszyscy byli czarni od mułu aż do twarzy i wyczerpani zupełnie.

Odrowąż spojrział na słońce i rzekł.

— Brnęliśmy półtorej godziny. Musi być ze dwie wiorsty. Tęga przeprawa.

— Obierajmy pijawki!—zawołał Pantera.—A tu nawet niema gdzie się opłukać. A cuchnie to plugawe bagno. Chwilami chciałem nos schować do kieszeni—ale kieszenie w tobołku na głowie.

— Od dziesięciu lat nie było takiego suchego

lata i dlatego bród się okazał. Inaczej dostępu by nie było!—rzekł Odrowąż.

Ubrali się spiesźnie i zeskoczyli po za pień na stały ląd. Ale tam utonęli wnet po ramiona w splątanej masie zielska i krzaków i stanęli bezradnie.

— Szczęśliwy Kuba! Bo tu po ziemi niewiadomo jak się posuwać.

— Można wodną ścieżką.

— No, nie! — zaprotestowali. — Wolimy siekierą i nożem wyrąbywać przejście.

— Żeby choć zobaczyć co osobliwego!—stęknął Bartnik, zaczynając rąbać i krzesać.

Zacząli wszyscy pracować, w nadziei, że przecie dotrą do rzadszego porostu. Ale ostęp był jednolicie zwarty dołem, bo, gdy się wydostali z nadbrzeżnych łóz i oczeretów, znaleźli przed sobą ścianą olbrzymich leszczyn, czeremchy, kruszyny, jarzębin, kalin—wszystko splątane chmielem.

Gdy słońce zaczęło dopiekać, pokładli się na zwalonych pniach wyczerpani zupełnie.

Z zapasów mieli tylko chleb i suszoną rybę; na szczęście, gąszcz barwił się mnóstwem dzikich malin i jeżyn i bez trudu można było ugasić pragnienie, a leszczyny oblepione były mnóstwem na pół dojrzałych orzechów.

Odrowąż i Rosomak zamiast jeść i spoczywać ruszyli dalej.

— Tu w głębi—wtedy—była wśród świerków polanka. Ale to już temu lat czterdzieści!—mówił stary, ogarnięty wspomnieniami.

Na pół pełzli pod zwałami. Prostowali się czasem, wydrapywali na zmurszałe kłody—starali się zorientować w kierunku, nie zbłądzić z powrotem. Aż zagroziła im znowu drogę—wodna żyła brodu.

Zniecierpliwiony Rosomak zsunął się w błoto.

— Ostatecznie—łosie do czegoś dążą—do jakichś dalszych rewirów—ku jeziorom! Bród coraz płytszy.

Mieli ręce i twarz we krwi od kolących roślin—i żadeł bąków i komarów — odzież zabłoconą i podartą—było lżej brodzić, niż wojować z gąszczem.

Patrzyły na nich ze zdziwieniem węże, wylegające po pniach, pomykały z wrzaskiem sójki i orzechówki—i nagle posłyszeli plusk i beczenie.

Ledwie się wtulili do brzegu—przeleciało obok nich stadko saren—z rogatym kozłem na czele.

— Ładny rogal! — rzekł Odrowąż z żalem myśliwskim.

A Rosomak z uśmiechem radości patrzył za nimi.

Wydostali się z błota na zwierzą ścieżkę. Rosomak dobył swą gwizdawkę i dał sygnał towarzyszom,

— Dziki tu gdzieś niedaleko leżą; barłóg czuć! — zauważył Odrowąż — i wnet wskazał przemykający, niski, rudy cień.

— Co tu może liszka szukać o tej porze. Łup jakiś ma! Ot—i drugi smyrgnął.

Ruszyli żywiej naprzód — i wynurzyli się nagle na stratowaną haliznę.

— Ot co jest! — zawołał stary, wskazując.

Na środku polanki na więdnących ledwie zieliskach, zdeptanych jak tok, leżał nieżywy, młody łos. Miał złamane kręgi, wyprute wnętrzności i całe ciało stratowane racicami.

Pochylił się nad nim Rosomak.

— Ten olbrzym go pewnie zamordował, ten com go widział wczoraj. Ale bitwa była ciężka — udeptali ziemię jak na turnieju.

— A ile tu śladów. Rachuję, że klemp było ze siedem na godach. Spory młokos — siedmiolatek! Już go liszki napoczęły — tej nocy wilki dokończą. Żeby strzelby, zasadzkę można zrobić — tylko, że skóry nie warte.

Rosomak zaczął gwizdać — w pewien, znany towarzyszom, sposób, by ich zwołać co rychlej.

Odpowiedziały odzewy coraz bliższe, wreszcie wszyscy się zebrali i gwar nappełnił puszcę.

— Patrzcie, smyki, do czego doprowadzają amory! — śmiał się Pantera do chłopców.

A Żuraw badał po naukowemu zwłoki i rzekł:

— Szkoda, żeśmy nie widzieli turnieju. Bronił się po bohatersku. Jedną rosochę ma zupełnie utraconą i przednią nogą złamaną. Upadł — i wtedy rozprół mu jelita i zdeptał.

— I poprowadził stado za sobą — tamtędy. Ławą szli, jak prawdziwe weselne grono!

Praktyczny Pantera z Odrowążem już rozpalili ognisko — już stary zabierał się do zdjęcia skóry.

Chłopcy gapili się ciekawie, Żuraw badał obsady

ogów—tylko Rosomak opodał się wyciągał na ziemi i oczy od tych jatek odwrócił.

I ozwał się nagle po długiem milczeniu.

— Uważam, że chcecie urządzić dziką, indyjską ucztę, pożreć tego trupa, no i ten grzech odchorować. Wolna wola! Ale uważam zarazem, że chcecie jako łup zabrać skórę i rogi.

— Rozumie się!—zawołał Pantera.

— W takim razie zastanówcie, się jak tę zdobycz przeprowadzić przez łosi bród?

Zatrzymali się wszyscy w robocie mocno strapieni

Aż Pantera, nawlekając kawał combra na drewniany rożen, rzekł:

— Jak się posilimy i spoczniemy — coś się wymyśli.

— Z żarcia rozum nie przybywał — mruknął Rosomak, zapalił fajkę i poszedł ścieżką w głąb ostępu.

Orlik dogonił go po chwili.

— Zupełnie mi wuj apetyt odjął!

— Oddawna już mięsa nie jadam i coraz większy czuję doń wstręt. Nad cielskiem tam jakieśmy przyszli—krążyły już wielkie muchy robaczarki—a po ziemi zbiegały się wstrętne żuki grabarze. We wnętrznościach gospodarowały już lisy cuchnące, a po gąszczach węszą już i zęby ostrzą wilki. Nie — w tej kompanii nie będę współbiesiadnikiem. Zresztą nie głodnym. Mam chleb—jagód nie brak.

— Zobaczą dokąd weselnicy poszli — utorowali wygodny szlak.

Jakoż szlak wyprowadził ich poza ostęp—znowu niezmierzoną bagien płaszczyzną.

Łosie poszły błotem — na przełaj, ku dalszym czerniejącym leśnym ostępom.

Ale gdy tak wynurzyli się z gąszczy — nagle naprawo—blisko—porwało się stado żórawi z ogłuszającym—bojowym wrzaskiem.

— Ot i żórawie legi!—ucieszył się Rosomak.

Szara chmura ptaków podniosła się w powietrze, zataczając koło — i oto z tej chmury jeden raptem spadł pod nogi ludzkie.

Instynktownie Orlik rzucił się ku niemu i porwał w ręce.

— Baczność!—krzyknął Rosomak.

Ale już było zapóźno. Ptak uderzył chłopca dziobem tak silnie w głowę, że ten jęknął z bólu i puścił go. Żuraw roztoczył skrzydła do wzlotu ale spadł powtórnie. Lewe skrzydło miał złamane. Tedy chciał umknąć piechotą, ale Rosomak z błyskawiczną szybkością cisnął mu na głowę swą bluzę — obezwładnił, skrepował i wziął pod pachę.

— Skazany na śmierć głodową. Niech idzie do nas na domownika. Taką zdobycz warto brać i trzymać. Możemy wracać — i rozkładać na noc obozowisko. Daj Boże jutro na wieczór wrócić do domu.

— I ten okropny bród do przebycia! — stęknął chłopak.

— Widziałem żeś ledwie dobrnął. Wrócisz wygodniej. Zwiążemy tratwę z leszczyny — naładuje-

my skórę, rogi, ciebie i przepchniemy do Puhaczego Ostępu.

— A tamci się głowią tymczasem.

— Odrowąż już pewnie leszczynę rąbie! — uśmiechnął się Rosomak.

Znaleźli towarzyszy śpiących kamiennym snem. Skóra łosia wisiała na gałęziach w dymie ogniska. Czaszka i rogi leżały na olbrzymiem mrowisku, już czarne od mrowia naturalnych preparatorów. Resztki ofiary — zawleczono w gąszenie, i obozowisko przybrały porządkny wygląd. Od ujęcia brodu rozlegał się odgłos siekiery — znaleźli Odrowąża przy pracy nad tratwą.

Obejrzał kalekę-żórawia.

— Trzeba go umieścić w ciemnym szalasiu, dać wody, ryb, ślimaków, robaków; często zaglądać, żeby się z człowiekiem zapoznał. Za parę tygodni się oswoi, do ręki przyjdzie po jadło i można będzie potrosze na swobodę puszczać. Dobry towarzysz, miałem takiego kilka lat na podwórzu. Nawet stróż bywa dobry.

— Tratwę robicie? — spytał Orlik.

— A cóż! Doktorby żałował czerepu i rogów, a Pantera nie porzuci skóry. Jakoś to zładujemy. A trzeba jutro wracać, bo chleba niema, a woda do picia obmierzła. Noc będziemy mieli z wilczym koncertem. Dziki dym poczuły i poszły. Tędy szły. Maciora z siedmiu warchlakami i dwa spore wycinki. Lisy czatują po haszczach. Szykujecie łożę do wiązania drzewa i mchu do zatkania szpar nadrzyjcie.

Do wieczora zwiążali tratwę bardzo wąską i pier-

wotną, ale trzymała się na wodzie i Orlik, odpychając tyką, przeprowadził ją kawał drogi na próbę.

— Wytrzymał! — zdecydował Odrowąż.

Wrócili do obozu i pobudzili towarzyszy.

W cieniu puszczy już zapadła noc.

Na hejnał żórawi odpowiedział żałośnie jeniec, spróbował poszarpać więzy, aż uznał bezsilność i znękanym skulił się do snu, odmawiając jednak zuchwale przyjęcia posiłku.

— Głupiś! — rzekł mu Pantera. — Żeby mi w tej chwili nawet Moskał chleba dał i czystej wody, tobym wziął.

— A jabym go „kujnał“ w sam łeb wraży! — zawołał Bartnik, spuchnięty na całej twarzy.

— Widzę, żeś barć znalazł! — rzekł Rosomak.

— Dziwaczną, w zwalonym pniu. Bogata strasznie, ale...

— Zrobiły z ciebie księżyc w pełni, jak na obrazku.

— Przyleciały za nim aż tutaj i doktor, Bogu ducha winien, też oberwał. Ledwieśmy dymem je przepłoszyli.

— Narąbcie i znieście drzewa na całą noc! — rozkazał Odrowąż. — Stróżować trzeba będzie po kolei, bo wilki mogą i skórę zepsuć. Z za trzech mil zwęszą i przyjdą. Kto się w dzień wyspał zacznie stróżę. My we trzech zaśniemy z wieczora.

Gdy ściemniało zupełnie u ogniska zasiedli do czuwania Żuraw z Panterą.

Pantera, który, gdy się nie ruszał, nie psocił, nie

pracował, wnet zasypiał, zaczął pleść chodaki, by nie zadrzemać. Żuraw słuchał.

Nie było pięknej ciszy odludzia. Z szalasu rozlegało się chrapanie Odrowąża, stękanie obolałego Bartnika, wokoło puszcza żyła niesamowitym ruchem i głosem drapieżników.

Słyszało się stapania, szelesty suchych trzein, czajenie się trwożne a żarłoczne, klekot krzywych dziobów sów i przeciągania ich skrzydeł, aż kędyś, bardzo daleko, rozległo się ponure krótkie zawycie, jakiś sygnał czy groźba.

Jakby na „baczność“ odpowiedziało beczenie czujnych kozłów i pomruk mocarny łosi.

I znowu po chwili zagrało posępne wycie, jakieś chrapliwe szczekanie i plusk wody.

— Błotami szelmy idą—jak gościńcem! — mruknął Pantera.—Żeby nie ogień—zjadłyby i łosia i nas—na deser. Óma tego się ściąga ze wszech stron. Już i tu na ostępie są. Słyszysz jak chroboczą gąszcza? Szkoda, że nie zatruliśmy mięsa—miałyby stypę!

— Jeśli w przyrodzie są i żyją — widocznie potrzebni.

— Et! — wzruszył ramionami Pantera. — Każdy ma bzika, albo parę. Ale w ten ład — toby trzeba było nawet pchły nie zabić. Żebyście spytali o zdanie bezbronnych i słabych, skazanych na śmierć w zarażeniu życia!

— Niebezpieczeństwo kształci obronę. Zresztą, my mamy wrodzony wstręt do mordu pod wszelką postacią.

Poprawił ognisko i cisnął polanem w gąszcz, bo mu się zdało, że „coś” już ruszało wiszącą skórę.

Wycie powtarzało się coraz częściej i bliżej.

Była w niem wściekłość i lęk, czasami łączyło się w chór posepny, wstrętny.

— Żeby jeden strzał! Toby dopiero ścichły. Dłuży mi się ta noc! — ziewnął Pantera. — Ciało piecze od potu, brudu, owadów i pijawek.

Niech sobie ten łąd zostanie dziewiczy, ja go nie poślubię. Wiosną warto przybrodzić po gniazda. Widziałem nawet puste orle na dębie. Zbierzemy jaja żórawi, paskotów, kwiczołów, krzywodziobów, puhaczy, głuszców! Ale żeby tu bytować, nie, za duszno i ponuro!

Doktorowi też tęskno za kąpielą w ruczaju?

I westchnął za swoim rajem, a potem zaczął się kiwać i zasnął.

Po północy zajęli straż Rosomak z Odrowążem i o świcie pobudzili wszystkich. Pomimo ognia i dymu znaleźli łosie jelita, już rozwleczone po gąszczu, i zabrali się spiesźnie do powrotu.

Ciężka była, długa i mozolna przeprawa.

— Moglibyśmy wszyscy odegrać rolę leśnych dyabłów! — Zdecydował Rosomak, gdy dobrnęli do Puhaczego Ostępu i odpoczywali przed ostateczną przeprawą na swój łąd.

A gdy wreszcie wieczorem stanęli przed chatą — Szczepańska splasnęła rękami.

— O Boże — jak ja tę bieliznę dopiore! A kto was pokrwawił, o Jezu!

— To nie—to tylko pijawki! — uspakajał ją Bartnik. — Ale cośmy zdobyli! O! i żórawia mamy do chowania! A co tam orzechów!

— Jeść! — jęknął Pantera.

— Kapać się! — zawołał Żuraw.

— Skórę solą i popiołem wytrzeć, od robactwa—
troskał się Odrowąż.

A Rosomak w kącie szałasów lokował jeńca.

— Mnie teraz nasz bór wygląda jak Marszałkowska ulica, w porównaniu z tamtym ostępem! — mówił Orlik idąc z Żurawiem do kąpieli.

— A co sobie myśli mój imiennik w stajni.

A właśnie w tej chwili rozległo się wieczorne granie żórawich surm i odpowiedział im żaloszny głos kaleki-niewolnika.



Hasło z mogiły.

Skrzydłatego żórawia nazwano Doktorem, wedle pomysłu Pantery i ze zgodą imiennika. Odrowąż zdecydował, że jest najwyżej trzyletni i że można go będzie łatwo oswoić.

Ale parę tygodni przebył ciężkich, opornych, że go Rosomak musiał gwałtem karmić i poić.

Najeżony, skulony trwał w buncie bezsilnym, sycząc jak żmija, gdy się kto zbliżał.

Aż wreszcie, jakby przetrawiwszy swą rozpacz, zmożony ciemnością i głodem, przyjął z rąk Rosomaka pierwszy posiłek.

— Nasz będziesz! — uśmiechnął się doń człowiek.

Jakoż przełamany został instynktowny strach i nienawiść stworzenia do odwiecznego kata.

Przestał syczeć i nastawiać dziób do razu i wreszcie pewnego dnia, słysząc gwizdanie, które mu zwiastowało przybycie człowieka, postąpił na spotkanie i odezwał się krótkim powitaniem.

— No widzisz, braciszku, że możemy być druhami — zaczął doń przemawiać Rosomak. — Nie wa-

żyłbym się pozbawić cię największego skarbu — wolności — żebyś zdrow był, cały i mocny. Żebyś mógł w waszym wędrownym szyku za morza lecieć i na tu-tejsze wasze wyraje wracać.

Aleś, braciszku, na głodową i mroźną śmierć skazany, twego młodego życia mi szkoda i dlatego cię do nas przyjął. Ale ci ślubuję, że z wiosną odniosę cię do rodzinnych łęgów, żebyś z braćmi latem się ucieszył.

Ptak słuchał, z ręki posiłek brał, patrzył spokojnie, a wreszcie pewnego dnia Rosomak szalas zostawił otwarty i pogwizdując poszedł ku chacie.

Więzień wyszedł na polanę, w słońce, i zaczął się bacznie rozglądać. Rozwinął i złożył skrzydła i zaczął w trawie zerować, a wreszcie pióra dziobem przebierać i chędożyć się.

A potem, zwabiony znanem gwizdaniem, poszedł powoli ku chacie.

— Nasz jest! — ucieszyli się wszyscy.

Sezonowem zajęciem leśnych ludzi były teraz orzechy.

Rosomak z Odrowążem wyjeżdżali codzien na połów rybny, ale reszta bobrowała w leszczynach i co wieczór znoszono do chaty całe wory.

Przeobfitość jesieni owocnej wyzierała zewsząd i zajęcia było mnóstwo.

Wieczorem w ogródku i na podcieniu piętrzyły się stosy zdobyczy „do obróbki” — wołał Pantera.

Stosy orzechów i grzybów, jagód, rydzów, ryby.

Musieli przed spoczynkiem ryby sprawiać, orze-

chy łuskać, rydze solić, a piec chlebowy ledwie radził suszeniu tych zimowych zapasów.

Suche, pomyślne, urodzajne było lato, przerywane z rzadka potężnymi burzami. Nagromadzone gorąco wybuchało straszną mocą gromów, krótkich, zwalanych deszczów i znowu wracała promienna pogoda.

Rosomak z Odrowążem miewali bajeczne połowy, bo susza przecięła szlaki rybie i uwięziła je po głębszych dołach. Razu pewnego przywieźli pełną łódkę przepysznych jaziów i okoni, a kiedyś w sadzawie, odciętej od rzeki, wzięli szczupaka potwora „ludojada“ chyba, którego siekierą trzeba było zabić, a potem polecić mrówkom spreparowanie muzealnego okazu. Przy sekeji Żuraw znalazł jakąś bezkształtną masę, wielkości pięści, którą gdy rozcięto, ujrzano wewnątrz resztki metalowego medalika.

Odrowąż zadumał się nad tem i oddał Rosomakowi.

— Lepsze macie oczy! Przypatrzcie się, może to Kodeńska Matka Boska. Miał taką nasz Podlasiak.

Ale najostrzejszy wzrok, ani lupa nie wystarczała.

— Nie mało ludzi na żer rybi poszło w tych bagnach—rzekł Pantera.

— I wielu takich, którymby się pomniki należały.

— Z *tamtej strony* pomniki tutejsze nie wiele więcej warte, co ta blaszka pewnie! Służbowe księgi tam też prowadzą, trwalsze! — rzekł Rosomak, chowając do zbiorów dziwną zdobycz.

Po jednej ze strasznych burz nocnych rybacy

ruszyli na połów około południa i zapędzili się do jeziora w nadziei zdobycia suma. Ale dzień był niepomyślny i po raz setny zastawiali brzeg siecią podwójną bez żadnej prawie zdobyczy.

Nagle Rosomak głowę podniósł, nasłuchując.

Gdzieś daleko zagrała trąbka, umówione hasło, dwa krótkie po sobie następujące tony.

Znaczyło to: „Wodzu“!

Rosomak swoją specjalną, kościaną świstawkę do ust podniósł i odzew dał.

— To chłopcy czegoś chcą! — rzekł, wracając do wiosła.

— Nogę który złamał czy rękę — mruknął Odrowąż.

— Nie. Wołaliby doktora. Oni nie wzywają do siebie, któryś do nas leci z wieścią. Coś znaleźli.

Trąbka powtórzyła znowu wołanie, potem ścichła, widocznie poszukiwacza doleciał odzew, i oto z gęstwiny wynurzył się Orlik spocony, zjajany, ubłocony i począł coś krzyczeć z daleka.

Odrowąż zwrócił ku niemu łódź.

— Ojcie, wodzu! — wołał chłopak, dech łapiąc. — Znaleźliśmy mogiłę. Choraży, strzelba i Orzeł! Nasz Znak! Znaleźliśmy! Chodźcie! Tamtych już zwołaliśmy. Bartnika zostawiłem na honorowej warcie. Lećmy!

Bez słowa — w wielkiem wrażeniu — wysiedli na brzeg i poszli za chłopcem. A on opanowany tem ich skupieniem i mileżeniem ścichł także.

Aż stanęli na miejscu, w czarnym borze, nad sen-

nym, wodnym zalewem. Nocna burza powaliła olbrzymi, napół suchy, prawnieczny dąb. Legł szczytem aż w wodę i rozdarł się jego pień, otwierając zmurszałe wnętrze.

Przy tem stał Bartnik, wyprostowany, zastygły w pozycji żołnierskiej, w kapeluszu na głowie, z nieruchomym skupionym wzrokiem warty—i stali Żuraw z Panterą obnażywszy głowy—bez głosu.

Pochylił się Rosomak i Odrowąż.

We wnętrzu dębu ujrzeli ludzki szkielet. Mały, szczupły kościec wyrostka zachowany w całości, jako był ujęty w ściany drzewa. U prawego boku leżała stara, rdzą przeżarta strzelba, a u lewego, przy sercu, zetlała szmatka amarantu z przebłyskującymi srebrnymi niemi.

Ku słońcu patrzyły głębokie oczodoły, a trochę rozwarłe, zdrowe zęby zdawały się uśmiechać; i tak leżał z bronią u nogi, z chorągwią swą u serca—Chorąży.

Wyprostował się Rosomak i, odkrywszy głowę, zaintonował:

Boże, coś Polskę przez tak długie wieki

Ramiona Bartnika drgnęły, jakby chciał sprezentować broń, a zbiorowy głos podchwycił:

Otaczał blaskiem potęgi i chwały.

Odrowąż klęczał i modlił się, a po zmarszczkach płynęły mu łzy, jak paciorki dusznego różańca.

A gdy skończyli, kazał Rosomak świerkowemi

gałęzmi zasłonić te prochy bohatera, zebrali się wszyscy na radę i nawet Pantera miał twarz uroczystą.

— Rozumiem jako było — ozwał się Odrowąż. — Gdy im zabrakło żywności i chłód ścisnął, musieli dążyć do osad. I tu gdzieś ranny oddał Bogu ducha, a Podlasiak wynalazł dąb spróchniały i zwłoki w nim ukrył, a potem dalej poszedł i, niewiedzący przejść, w bagnie utonął.

— Co teraz mamy czynić? — zagadnął Pantera.

— Pogrześć go, jako na to zasłużył, w tej świętej ziemi — odpowiedział Rosomak.

— Na tej górze, gdzie sygnały bojowe palono! — zawołał Orlik.

— Będzie całemu krajowi stróżował! — dodał Bartnik.

— Słusznie! — potwierdził Rosomak.

Zamyslił się Odrowąż i nagle wstał, na wnuka skinął i na Panterę.

— Pójdziemy do folwarku i nocą tu przyniesiemy deski, cichaczem, żeby do Moskali nie doszło.

— A my przy nim noc przewartujemy.

— Rankiem trumnę zbijemy i przeniesiemy prochy na górę. Ruszajmy!

Trzej wartownicy zostali. Orlik tę noc na życie zapamiętał. Księżycowa była, cicha i pełna duchowego majestatu. Rosomak się rozgadał, opowiadał mu co od rodziców wiedział, o czasach owych, o bojach, ofiarach, ruinach, we krwi utopionych nadziejach zmartwychwstania.

A potem milczeli przetrawiając bóle, nienawiść do kata, gorycz bezsilności, rozpacz niewoli.

Aż niespodziewanie ozwał się Żuraw:

— Słuchajcie! Moglibyśmy i słusznie rozpaczać i beznadziejności się oddawać, żebyśmy wartowali przy grobie zdrajcy! Ale ten, czego innego nas uczy! Spadek ojczysty wziął, obowiązek spełnił, wiary dochował. My żywi nic więcej nie mamy do roboty. Wiare zachować, obowiązek spełnić, trwać i przetrwać.

No — i tyle — resztę decyduje Bóg!

— Dzięki, bracie, za to słowo! — rzekł Rosomak. — Zawiniliśmy względem niego, Pieśń mu się należy bohaterska, nie bezrozumne ludzkie rozważanie. Masz swoją fujarkę, zaintonuj konfederacki hymn.

Silnie, twardo, na cały żywot ryły się w duszę Orlika: ta noc, ten grób wśród puszczy i te słowa:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec Boży.

Na długo przed zorzą wrócili z folwarku Odrowążów z deskami. Przyniósł Szczepański narzędzia i rano już drobna trumienka była gotowa.

Na posłanie z ziół i kwiatów ułożono kości i pokryto je szczątkami sztandaru. Po żdźble srebrnej nici wziął każdy na pamiątkę, a z grubego starego modlitewnika odczytał Odrowąż modlitwy.

Potem Rosomak podał mu strzelbę, a stary ją przyjął, jak święty spadek i oddał Bartnikowi.

— Masz. Twoja jest. Użyć trzeba, jako on używał.

— Słucham! — rzekł prostując się chłopak.

Ale Pantera przeszukiwał wnętrze dębu i wydobył spore, blaszane pudełko.

— To leżało w nogach — rzekł, podważając nożem wierzech.

Pudełko rozpadło się — i na ziemię bryznął deszcz złotych monet.

— Dukaty węgierskie! Kasa partji! — zawołał Odrowąż. — Nie ufał swym siłom Podlasiak i zostawił Chorążemu pod strażą. Co z tem robić?

— Rozważmy! — rzekł Rosomak, zbierając do chustki dukaty i szczątki pudełka. Na dnie były ślady papieru, może wskazówki, polecenie, ostatnia wola, już nie do odczytania.

W próchnie drzewnem znaleziono jeszcze parę sprzążek, guzików, resztki skórzanej torby, częstochowski medalik i dano zmarłemu do trumny, a potem wzięli ją na barki i, zmieniając się, nieśli na górę.

Skoczyli naprzód chłopcy do chaty, a gdy pochód wolno i ze śpiewaniem przybył na Wdowią Górę, na samym szczycie znaleźli już dół wykopany i pełno wokół kwiecia.

Czekała też Szczepańska z dzieckiem i stali chłopcy na warcie.

Orlik ze strzelbą Rosomaka, Bartnik ze swą dziedziczną Segalasówką.

Gdy spuszczone trumnę do grobu, Orlik dał dwa strzały i sprezentowali broń.

Poczęły padać na trumnę kwiaty i Odrowąż od-

mawiał modlitwy, a gdy skończył, spojrzeli wszyscy na Rosomaka.

— A on tak mówić począł:

Pozdrawiamy cię i cześć ci niesiem, przodowniku nasz, któryś boju dokonał.

Nie zmarłeś przecie i nie milczysz, a my słyszymy twe hasło i raport, bośmy jednej broni i powołania. Mówisz nam te słowa same, które przez wieki mówili ci, co legli na polach chwały, imienne wodze i bezimienne tysiące, a jednakie, jednej idei bojownicy.

Mówisz nam: Bóg, Honor, Ojczyzna!

Mówisz nam: Słodki jest dla Polski zgon!

Mówisz nam: Bóg mi powierzył honor Polaków jemu go oddam!

Ze wszystkich rubieży Rzeczypospolitej, ze wszystkich walk o wolność i całość, przez wszystkie wieki, jedno hasło słyszymy, panie Choraży, i powtarzamy jako pacierz ojczysty.

Stanie tu twoja mogiła jako graniczny kopiec i jako gród do straży i obrony.

Utrzymamy go póki życie i oddamy następnej po nas młodzieży!

Mówisz i do nich, panie Choraży, i jako my, oni słyszą.

— Słyszemy! — potwierdzili chłopcy.

— Zlecamy wam tedy tę mogiłę — zwrócił się do nich. — W Bogu wiara, że danem wam będzie doczekać chwili sprawiedliwości Bożej i że oczy wasze ujrzą na tej ziemi polski huf i polski znak na sztanda-

rze. Tedy im się zameldujcie i złożcie raport swego trwania i gotowości służby, a pierwszemu polskiemu naczelnikowi oddacie siebie do szeregu, a złoto owo, w mogile przechowane, na skarb ojczysty.

Słyszysz, panie Choraży, i ślubowanie nasze przyjmij. Niech żyje Ojczyzna!

Jak grzmot rozległ się okrzyk zbiorowy.

Rzucił pierwszą garść piasku Rosomak.

— Niech ci lekką będzie ta ziemia ukochana! —
i skinął na chłopców.

Wyciągnęli się jak struny i z żywiołowym rozmachem zaśpiewali:

Jeszcze Polska nie zginęła

Rwała się pieśń w zdławieniu wrażenia potężnego, w łzach, co znają tylko miłujący i mężni, i kwitła, pieśń nad mogiłą, jakby proporzec biało-amarantowy, a cichy bór słuchał i dawne czasy wspominał.

Mogiła wyrosła, złocąc się z daleka, a obecni pożegnali ją ostatnią obrzędową pieśnią „Anioł Pański“.

I został Choraży na swym posterunku samotny, a oni wracając do chaty, radzili:

— Dąb mocarny posadzić mu na mogile!

— Brzozę, coby go gałęzmi tuliła jak matka.

— Krasną jarzębinę, żeby mu ptaszki śpiewały.

— Lipę, żeby mu pszczoły gwarzyły.

— Głaz znam w gąszczu. Przywlecziemy i wykujemy kto leży pod nim.

— Uczyni każdy dar jaki zechce! — zdecydował Rosomak. Ja wam, chłopcy, złoto zdaję. Obmyście schronienie.

— Ja już mam! — zawołał Bartnik. — Złożymy na spodzie barci. Uchowa drzewo i pszczoły.

— Cieszę się, że nie ja je będę wyciągać, jak pora przyjdzie, ale zresztą zgoda na pomysł—rzekł Pantera.

Oddał Rosomak złoto powstańcze i chłopcy zaraz je pszczołom pod opiekę ponieśli.

W tydzień potem głaz już leżał na mogile i Odrowąż znaki jakieś na nim wykuwał i chłopcom tłumaczył.

— Nie powinien nikt rozumieć, tylko wy.

Nad karkiem Moskał jeszcze siedzi i szpieguje.

Drzew też nie warto sadzić, chyba krzepki jałowiec, żeby uwagi nie zwrócić. On i tak zmartwychwstanie, a tamci Bożego Sądu się doczekają. Jaki siew. takie żniwo, ino Bóg nie rychliwy, jako że wiekuisty.

I pokazując niezdarne kształty, mówił:

— To jest krzyż, a to orzeł, i korona, i drzewce, a tu 63. Stacho się zwał, pamiętam, a nazwiska nie. Więc to S—to jakby podpis, a tak się czyta: Chrystusów wyznawca, Chorąży z powstania—Stacho, a jeszcze dodam W—to znaczy z Warszawy. I głaz bokiem odwrócimy, żeby napis dla wiedzącego tylko był widoczny.

— Obejmą go wrzosi i mchy utają!

Wiatr rozwał biały piasek i osypał ziemię igliwem i liśćmi, po małym czasie mogiła Chorążego stopiła się i wsiąkla w barwę ziemi, została tylko pamiętna w duszach leśnych ludzi.

Odloty.

Pewnego dnia Rosomak wrócił z samotnej wędrówki i rzekł, siadając za stołem:

— Odleciały już wszystkie śpiewaki — i wrzosa w całej krasie płoną.

Nikt nie odpowiedział, bo rozumieli, co to znaczy. Dopiero po chwili Pantera stęknął:

— Dobrze ptakom. Które wytrzyma drogę — do słońca się dostanie i ciepła! Ale ja wrócę do Drozdowej.

Mimowoli zaśmieli się wszyscy.

— Ja — do sztuby — rzekł Orlik.

— Ja — do roli! — dorzucił Bartnik.

— Ja — do laboratorium! — mruknął Żuraw.

— Ja — do bibliotek i książek! — zakończył Rosomak. — Ale każdy do pracy, więc nie wolno wyrzekać.

— To czemu wódz nie śpiewa z uciechy! — warknął Pantera zbuntowany.

— Bo o tym czasie nikt w boru nie śpiewa — i dodał, zabierając się do jadła:

— Naszykuj, Pantero, wóz. Trzeba odstawić do ludzi zapasy i zdobyć.

— Wolalbym psy łapać, jak tę drogę. Przecież zabawimy jeszcze trochę?

— Zabawimy do dnia, gdy ruszą nasze żórawie! Lada dzień z północy, dalsze — już popłyną.

— Tak! Żegnania nadszedł czas! — westchnął Orlik.

— Ba! Co ci za bieda! Wrócisz do profesorskiej — zaśmiał się Pantera.

— Pantera zapomina, że już nie rekrut Coto, ale Orlik bojowy! — hardo chłopak odpowiedział.

— On zawsze jesienią jak mucha cięty! — przeciął możliwą sprzeczkę Rosomak.

Opróżniała się chata. Szczepańska wróciła do domu lny zbierać, Odrowąż z Bartnikiem do pasieki swej i młocki nasiennego ziarna.

Na połów rybny wypływał Rosomak sam i ścigał z dalekich *hatów* na strych do chaty kosze i więcierze. Reszta rozpraszała się po borze; zbierali jarzębiny, żołędzie, orzechy, szyszki — i klecili powietrzne szalasy, gdzie tę zdobycz składali na żywność dla zimujących ptaków. Pracował Orlik z Żurawiem, bo Pantera, o ile nie odwoził zapasów za Tęczowy Most, po całych dniach „żegnał znajomych“, jak mówił.

Słońce wyczarowało ostatni swój kilim i rzuciło go na wszelkie halizny, góry, pustkowia. Zwarta, puszysta, subtelnie jesienna szata wrzosów ustroiła ziemię. Na tem tle panoszyły się olbrzymie muchomory, krasne kozaki i syrojadki — ostatnie grzyby.

Ranki wstawały leniwe, w mgłach chłodnych, pod stopą chrzęściały zaschłe mchy, zioła i paprocie, a cisza była taka, że wieczorem, z oddali wielkiej, gdzie były wsie, słyhać było przeciągłe, smętne, monotonne granie jesiennych, pastuszych surm.

Bór stał zadumany i żegnał lato całą tęczą barw liści gasnących.

— Na śmierć się stroją, jak na gody! Nie tak, jak głupie ludzie, co się jej boją — mówił Rosomak, patrząc na złote i purpurowe drzewa.

Co wieczór Pantera nasłuchiwał żórawi i każdy ciągnący sznur oczami przeprowadzał, aż raz rzekł szeptem do Orlika, gdy szli spać.

— Dziś na łęgach naszych było cicho, a nasz domowy cały dzień krzyczał. Pewnie je poznał na niebie. Odleciały.

— Może wódz nie zauważył! — odparł Orlik.

— Oho, na to nie licz! On wszystko słyszy! Boję się o jutro!

Ale owo jutro była niedziela i Rosomak po pacierzach zakomenderował wyprawę.

— Weźcie chleba do torb, bo wrócimy na wieczór. Trzeba żerowiska zimowe obejrzeć, wszystko zlustrować, wszędzie dotrzeć.

— Ostatnie odwiedziny! — rzekł Pantera.

Nie na to nie rzekł Rosomak i poszli swym lekkim, wprawnym chodem, co bez trudu połykał mile. Odwiedzili pszczoły, jeziora, zakąty, tajenka ptasze, borsucze i lisie nory, obeszli stogi, ścieżki swe letnie, przesmyki po bagnach, o południu spoczęli we wrzo-

sach, ukołysani brzękiem pszczoł, biorących pilnie ostatni pożytek.

Porywały im się z pod nóg stada cietrzewi, a towarzyszyły po drzewach stada zimujących drobnych ptasząt, żerujących gromadnie.

— Patrz— pokazywał Pantera Orlikowi. — Zbierze się taka różnobarwna czereda: bogatki, modraczki, sosnowki, raniuszki, sikorzy naród. Dobiorą sobie parę zieb i parę dzięciołów i plondruje to gromadnie całą jesień i zimę. Całą puszcę z robactwa obiorą. Włóczy się to, ćwierka, a dzięcioły na alarm krzyczą, jak jastrzębia trwoga.

Czasami ciszę lasu przerywał chrapliwy krzyk sójki lub orzechówki, zresztą szli w ciszy i tylko szeleściły liście i trzaskaly suche gałązki.

Wracając z obchodu ku domowi, skręcił Rosomak na mogiłę Chorążego i odśpiewali mu narodowe pieśni, a potem, milcząc, skierowali się do chaty.

Słońce gasło. Żórawie nie grały, chłodne mgły wstawaly z bagien, długie cienie kładły gąszcza. Spotkali wracające z paszy swe bydłatka i wyszedł na ich głosy ku nim żóraw chowany, radośnie witając.

Znaleźli też Bartnika, który przyniósł miodu i świeżego, nowego chleba.

— Jasny jest i jakby jeszcze polem pachniał. Potem nabierze stęchliny śpichrzowej i już zimą go czuć. Więc matka mnie pechnęła jak jeszcze ciepły był, żeby wam smakował!

A miodu tośmy trzy faski naleli — i ojciec już wczoraj pierwsze żyto zasiał!

Umiem już cepem walić. Cztery dni z dziadem młóciliśmy: Łupu cupu, cupu łupu!

— Ale, aż tu słyszać było!

Tu Bartnik trącił Orlika i szepnął:

— Surmę przyniosłem, leży w łozach. Zadniem po wieczerzy. Ja cię nauczę!

Zasiedli do posiłku. Jasny chleb pożywali i złotą patokę i mieli wrażenie, że karmią się słoneczną mocą lata, co tę pierwotną żywność człowieczą wy-
czarowało z ziemi rodzicielki.

A potem Pantera dzban pieniacego mleka na stół podał—i zbytnie było rozpalanie ognia na kuchni.

Cichaczem wymknęli się z izby chłopcy i po chwili zajęczała żałośnie surma.

W chacie zapanowało milczenie, a wreszcie po chwili Rosomak zdjął skrzypce ze ściany i począł do tonu tego coś snuć.

— Rapsod naszego lata — rzekł Żuraw.

Bez tchu wrócił Bartnik i Orlik i wszyscy słuchali.

W izbie było ciemno, tylko rubinowa skierka lampki oświeślała Koronę Częstochowskiej, ale oto nad polanę wypłynął miesiąc i srebrną ścieżkę rzucił przez okno.

Przeciągłym akordem surmy zakończył Rosomak swe granie i wstał.

Chwilę jakby się wahał, zapatrzony w miesiąc, aż wreszcie spokojnie rzekł:

— Bartniku, skoczysz jutro rano do dziada i powiesz, że odjeżdżamy.

Nikt się nie odezwał.

— Czas nam. Popłynęły nasze żórawie. Dobrze było, Boże lato. Ileś znalazł nowych roślin, Żurawiu?

— Sto trzydzieści siedm — odparł ścisły Żuraw.

— Moja zdobycz mniejsza. Tylko jedenaście nowych gatunków ptasich jaj i gniazda puste remiza.

— Ale zato zbadany dziewiczy ostęp i tam na przyszłą wiosnę zdobędziemy puhacze jaja i głuszcze, i przypatrzymy się, jak remizy budują—rzekł Pantera.

— Tom rad, że już o wiosnie marzysz.

— A cóż! Gryzłem się, gryzłem, aż się przegryzłem. Zresztą sam nie zostanę na zimę. Bartnik mi przybył. Będziemy tu dojeżdżać — i we dwóch na wiosnę się szykować.

— O! Jużem się z matką rozmówił! Co dni parę do was przylecę. Mamy zróbkę młodą, co mi będzie służyć. Wódcz pozwoli książki nauki o borze i zwierzu i pszczołach czytać.

— Ile i jakie zechcesz.

— Ja w każde ferje do was przyjadę! — rzekł Orlik.

— No to i:

„Precz, precz od nas smutek wszelki“

zaśpiewał fałszywie Pantera.

— Ucieszmy się miesięczną nocą!—rzekł Żuraw. Wyszli z izby i obsiedli dębową podwalinę.

— Jako w Kwietniu. Pamiętacie?—rzekł Pantera.

Polana była przesycona srebrem miesiąca, a drzewa stały we mgle, jak nieziemskie.

Tylko cisza, i skupienie, i wielka powaga panowały nad tą jesienną nocą. Wszystko żywe skupiało i tało siły, by przetrwać do nowego zmartwychwstania, by przeżyć pozorną śmierć.

Tak było cicho, że słychać było spadanie liści, co się słały po ziemi, na ochronę mocy odrodzenia zawartej w korzeniu, i szelest robaczka, co rył sobie pod korą kryjówkę, by ożyć w niej na wiosnę.

Milczeli i ludzie, też o przetrwaniu myśląc, tylko Rosomak, w dal srebrną zapatrzony, miał oczy promienne i czasami drgnęły mu wargi wewnętrznem słowem.

Trącił go Żuraw w ramię.

— Mów! — szepnął.

Cicho i powoli zaczął—jakby z głębi duszy odrywały się myśli i, skrępowane ubóstwem wyrazów, szukały dla uczuć dźwięku.

— Pozdrowiony bądź Mistrzu, cudów piękna i mądrości stwórcy. Tyś jest tu z nami w każdym kształcie, dźwięku, woni—i z Tobą myśmy to lato przebyli. Niech Ci będą dzięki za dzień każdy i każdą chwilę, niech Ci będą dzięki, żeś nam otworzył oczy i uszy, by Twoje piękno rozumieć i żyć niem, jak chlebem. Niech Ci będą dzięki za zdrowie duszy i ciała, za słońce i źródło — kwiat i jagodę, za znój i spoczynek — za pogodę naszych serc.

Zachowaj, Ojczy, nas, co odchodzimy, i to, co tu zostaje, a z czem żyliśmy to lato jako bracia, w całości, i mocy, i zdrowiu, byśmy przetrwali i odnaleźli się

w radości nowego życia, na bytowanie w tym Twoim
chramie.

Serca nasze, Ojczy, na światy rozszerzaj, myśli
nasze ku Twojej mądrości kieruj i, jako w tym borze,
bądź naszym władcą i prawem!

— Amen, amen, amen! — potwierdzili uroczyście,
zapatrzani w niebo, zasłuchani w ciszę.

I tak się skończył ostatni wieczór lata leśnych
ludzi.

25 kwiecień 1920.



KONIEC.

Poz. ks. inw.

27
Poz. ks. inw.
w Siedlcach

M...